

Koszmar

Masterton Graham



calibre 0.9.43

Graham Masterton

Koszmar

Z angielskiego przełożył Piotr Roman

Tytuł oryginału: Unspeakable

„Poor Richard’s”

Na trzydzieste trzecie urodziny Katie i Doug zabrali ją do „Poor Richard’s” na rogu Broadwayu i 39 Północno–Wschodniej. Był wtorkowy wieczór, więc jako danie dnia oferowano stek i jej ulubione kraby, choć Doug wołał średnio wysmażone polędwiczki, ozdobione ponacinaną jak kwiat i usmażoną w głębokim tłuszczu cebulą.

W restauracji było pełno ludzi, panował ogromny hałas i trzeba było krzyczeć.

— Kto zamawiał mrożoną herbatę Long Island?! — wrzeszczał kelner. Holly podniosła rękę, więc podał jej szklankę. — Kto chciał Kędzierzawy Pępek?

Doug uniósł szklankę z piwem.

— Za Holly — najśłodszą dziewczynę, jaką znamy! Oby promienie słońca błogosławiły twoje dni, a twoje noce były pełne podniet!

— Doug... — zaprotestowała Katie, ale Holly pokręciła głową i roześmiała się.

— Nie martw się. To, że mam trzydzieści trzy lata i jeszcze się z nikim nie związałam, wcale nie oznacza, że zawsze będę żyć jak zakonnica.

— Nie rozumiem, dlaczego zerwałaś z Eugene’em — powiedziała Katie. — Nie był to co prawda Brad Pitt, ale sprawiał wrażenie takiego rozważnego...

Holly nadal się uśmiechała, choć jej usta przypominały wąską, wygiętą linię. Robiły się takie zawsze, gdy ktoś próbował układać jej życie.

— Nie szukałam rozwagi — odparła. — Potrzebowałam porywczosci. Chciałam dzikości. Poza tym nosił podwiązki do skarpetek.

— Podwiązki? O mój Boże... nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Kelner przyniósł zakąski — dla Holly krewetki *saute*, a dla Katie i Douga paski kurczaka w sosie *teriyaki*.

— Podać sosy? Ser pleśniowy? Majonez cytrynowy? Pomidory w miodzie?

— Miał jakąś obsesję na punkcie nóg. Twierdził, że ma nogi jak dziewczyna.

— No cóż... nie wszyscy możemy być owłosionymi goryłami!

Mniej więcej piętnaście jardów od nich, w ciemnym, wykładanym dębową boazerią barze, tleniona blondynka w błyszczącej zielonej sukience koktajlowej pochylała się do mężczyzny o siwych, ostrzyżonych tuż przy skórze włosach.

— Mam w lodówce szampana... — mówiła. — No, może nie prawdziwego, w każdym razie wino musujące. Moglibyśmy zrzucić buty, pić bąbelki i tańczyć...

— Nie mam ochoty zrzucić butów, pić bąbelków i tańczyć, jasne? Tak jak jest, jest w porządku. Jest w stu procentach... — mężczyzna zaczął szukać brakującego słowa, ale po chwili dodał tylko: — ...w porządku.

Kobieta zbliżyła twarz do jego twarzy i zaczęła bawić się płatkami jego ucha.

— Nie wiesz, co tracisz. Mogłabym sprawić, że twoje najdziksze marzenia staną się rzeczywistością...

— Nie mam najdzikszych marzeń. Nie mam nawet oswojonych marzeń.

Kobieta pogłaskała go po podbródku. Mężczyzna uniósł palec i barman nalał mu kolejną porcję jacka danielsa.

— Wiesz, kogo mi przypominasz? — zagruchała kobieta.

— Nie. Kogo?

— Burta Lancastera, kiedy był młodszy.

— Burt Lancaster nie żyje.

— Ale przypominasz mi go. Jesteś taki sam: spokojny, stuprocentowy mężczyzna.

Odrzucając głowę do tyłu, mężczyzna jednym haustem wypił jacka danielsa i znów uniósł palec.

Kawałek dalej przy barze siedziało dwóch mężczyzn w pomiętych „biznesowych” garniturach.

Rozmawiali i dużo się śmiali, a jeden z nich mówił właśnie:

— No więc gość ma siedemdziesiąt lat, siedzi w łóżku i czyta, otwierają się drzwi do łazienki i staje w nich jego żona. Ma gołe dupsko i krzyczy: „Gorąca cipa!”. Gość nawet nie podnosi głowy, przewraca tylko stronę w książce i mówi: „Poproszę zupę”.

W samym rogu po prawej stronie, przy niewielkim stoliku z blatem z młotkowanej miedzi, Holly zauważyła dwóch piwoszy. Jeden siedział odwrócony do niej plecami, a przez stojącą na stoliku lampę z czerwonym abażurem widziała tylko dolną część twarzy jego towarzysza. Mówił szybko, przez cały czas jedząc solone migdały.

— ...zależy od tego, kiedy chcesz, by to zrobić. Decyzja należy do ciebie. Cokolwiek zdecydujesz, zajmę się organizacją, najpierw jednak sam musisz wiedzieć, czego chcesz. Kiedy podejmiesz decyzję, nie będzie odwrotu, bo jak uruchomię gościa, gdy powiem mu o sprawie, nie będzie z nim więcej kontaktu. Zniknie — PUFFF! — i nie da się do niego w ostatniej chwili zadzwonić i powiedzieć: przykro mi, ale klient zmienił zdanie. Rozumiemy się?

Kobieta w błyszczącej zielonej sukience próbowała wsadzić mężczyźnie język w ucho, on jednak w dalszym ciągu odsuwał się od niej.

— Myłem przed wyjściem uszy, okej?

— Nie lubisz, jak się ciebie lize? Mogłabym polizać cię w parę miejsc, o których nawet nie wiesz, że istnieją...

— Daj mi spokój, dobrze?

— Dlaczego nie weźmiesz mnie do domu, żebym sprawdziła, gdzie najbardziej lubisz być lizany?

Doug zdążył się już zaczerwienić. Miał siwiejące włosy i bladą cerę z piegami i wystarczyły dwa bridgeporty, by skóra na jego karku zrobiła się purpurowa. Katie była blada, a w jej włosach było wyraźnie widać siwiejące pasma. Kiedy piła alkohol, zawsze zsuwała na koniec nosa okulary w drucianych oprawkach i robiła się bardzo, bardzo „głęboka”.

— Pomyśleliśmy sobie, Holly, że przydałoby ci się więcej interakcji społecznych — stwierdziła.

— Masz na myśli, że powinnam więcej wychodzić?

— Mam na myśli, że powinnaś wypróbować nowych ludzi. Rozszerzać krąg znajomych.

— ...no więc Japończyk idzie do banku wymienić jeny na dolary, nie? — mówił dowcipniś przy barze. — „Co jest grane? — pyta. — Wczoraj dostałem sto dolców, a dziś za tyle samo jenów dostaję dziewięćdziesiąt sześć. Dlaczego?”. Kasjer mu na to: „Skoki kursu”, a Japończyk: „No to mi naskocz!”.

— Jedziemy w weekend nad Jezioro Lustrzane i zastanawialiśmy się, czy miałabyś ochotę z nami pojechać. Doug od miesiący nie łowił łososi, a ja nabrałam wielkiej ochoty, by wyrwać się z miasta.

— Tylko my we troje?

— Hm... zastanawiałam się, czy nie zaprosić kuzyna Douga, Neda. Wiesz, zawsze lepiej być we czwórkę...

— Znam go?

— Nie sądzę. Nie, na pewno nie. Ale spodoba ci się.

Zajmuje się produkcją pulpy do papieru.

— To świetny facet — wtrącił Doug. — Ma wspaniałe poczucie humoru. Robi świetne kawały.

— Naprawdę ci się spodoba. Grał jako quarterback w Portland U. I mogę zagwarantować, że nie nosi podwiązek.

Mężczyzna w rogu mówił dalej:

— ...powiesz mi tylko dokładnie, gdzie ona będzie i kiedy, resztą sami się zajmujemy. Nic nie zmieniaj w codziennym rozkładzie zajęć. Zostań w mieście i miej koci zmysł, nie rób nic, czego nie robisz normalnie. To częsty błąd klientów. Umieją doskonale opisać, co robili, ale nijak nie mogą wyjaśnić, dlaczego zrobili coś nietypowego. Efekt jest taki, że gliniarze natychmiast zaczynają zadawać sobie pytanie, dlaczego człowiek zrobił coś, czego zwykle nie robi. To zawodowi niuchacze i za to im się płaci.

— Daj spokój... — jęknęła kobieta w zielonej sukience. — Zrobimy sobie bal. Obiecuję, że nie pożałujesz.

— W porządku. Jak chcesz. Wygrałaś. Zdejmowanie butów, wino musujące, lizanie, gdzie tylko chcesz. Ale bez tańców. Zdecydowanie żadnych tańców.

— Ale ja lubię tańczyć.

— Posłuchaj: będę szczęśliwy, jeśli uda mi się wstać. Wybierz sobie z głowy tańce.

— Może rzeczywiście powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój...

— Dlaczego? Zgodziłem się, nie? Dręczysz mnie przez cały wieczór, a teraz chcesz dać sobie spokój?

— Wiem, ale jesteś pijany. Może powinniśmy wrócić do tego tematu, kiedy wytrzeźwiejesz...

Mężczyzna odwrócił się i po raz pierwszy na nią popatrzył.

— Nie sądzę, aby czekanie, aż wytrzeźwieję, było dobrym pomysłem, bo jak będę trzeźwy, nie będziesz mi się podobać.

Holly roześmiała się. Kobieta usłyszała śmiech i marszcząc czoło, odwróciła się w jej kierunku. Była jednak zbyt daleko, by móc usłyszeć, o czym przyjaciele Holly mówią, odwróciła się więc z powrotem do swojego towarzysza. Wyglądała na rozzłoszczoną.

— Znowu czytasz z warg? — spytał Doug, zlizując z palców sos *teriyaki*.

— Wiem, że nie powinnam...

— No więc co z tym Jeziorem Lustrzanym? — naciskała Katie. — Będziemy mogli popływać, pojechać gdzieś łódką.

— I co jeszcze? Zamierzasz wyswatać mnie przy ognisku?

— Robię to tylko dlatego, że zależy mi na tobie. Jesteś wyjątkową osobą.

Holly popatrzyła na nią.

— Zastanowię się, dobrze? To, że jestem głucha, wcale nie oznacza, że masz mi wyszukiwać kochanków.

— Mówiłam cokolwiek o kochankach? Doug, powiedziałam coś o kochankach?

Holly spojrzała w kierunku stolika w rogu. Mężczyzna skończył piwo i wycierał usta starannie złożoną papierową chusteczką.

— ...nie będzie śladu, gwarantuję. Nawet nie będziesz wiedział, że kiedykolwiek istniała. W jaki sposób? Nie chciałbyś tego wiedzieć. Im mniej wiesz, tym lepiej. Facet jest w każdym razie zawodowcem. Na pewno po włączeniu radia nie usłyszysz, że ktoś znalazł jej odciętą głowę w dworcowej skrytce bagażowej.

Spotkanie ze „Szczupłym Mickeyem”

Mickey czekał pod restauracją. Rozpierał się w błyszczącym, czarnym oldsmobilu aurorze i palił papierosa, wyrzucił go jednak natychmiast, gdy ją ujrzał.

Pożegnała się z Katie i Dougiem.

— Było wspaniale. Naprawdę świetnie się bawiłam.

— Na pewno nie chcesz iść do „C. C. Slaughter’s”? Jezu, dopiero piętnaście po dziewiątej!

— Z chęcią bym poszła, ale naprawdę jestem zmęczona. Daisy ma jutro sprawdzian z matematyki, a o dziewiątej mam spotkanie z Josephami.

— Och... Josephowie... oczywiście, będziesz na nich potrzebować wszystkich rezerw.

Pocałowali się i rozchodząc się, pomachali sobie. Przecięła chodnik i podeszła do oldsmobila. Mickey pochylił się ku drzwiom pasażera i otworzył je od środka.

— Jak się czuje najseksowniejsza pracownica wydziału opieki nad dziećmi na Północnym Zachodzie?

— Rok starzej. Mam dziś urodziny.

Mickey był bardzo szczupły, miał długie, patykowane kończyny i niemal zawsze ubierał się w czarny garnitur z czarną koszulą i muchą. Jako pierwszy przyznałby, że nie jest szczególnie przystojny. Krótko ostrzyżone czarne włosy zaczynały mu się już cofać nad czołem i miał spiczasty nos, miał też jednak szare oczy zranionego jelenia i ostre rysy wygłodniałego człowieka, które zdawały się podobać niemal wszystkim kobietom, z którymi się spotykał.

Naprawdę nazywał się Mickey Kavanagh, ale przed wielu laty jeden z jego sierżantów nazwał go „Szczupły Mickey” — nie dlatego, że był chudy, otrzymał ten przydomek ku czci napitku kloszardów z lat pięćdziesiątych — ginu z DDT — który równocześnie nakręcał i dołował. Określało to dość dobrze jego osobowość.

— Dzięki za sprawozdanie — powiedział, kiedy Holly wsiadła do auta. — Są jeszcze w środku?

— Nie, wyszli jakiś dziesięć minut temu.

— Widziałaś ich?

— Niewyraźnie. Ten, który przez cały czas gadał, miał może czterdzieści pięć lat, szerokie ramiona i długie siwe włosy, związane w kucyk. Kanciasta, pobrużdżona twarz, dzioby po ospie lub blizny po trądziku. Mówił z nietutejszym akcentem. Sposób, w jaki połykał końcówki wyrazów, świadczy niemal na pewno o tym, że jest z Chicago. Użył określenia „koci zmysł”, a mało kto spoza Chicago go używa.

— A drugi?

— Nie widziałam ani razu, jak mówi. Przez większość czasu był odwrócony do mnie plecami, ale wyglądał starzej, bo był mocno przygarbiony. Miał na sobie zielony płaszcz przeciwdeszczowy, a w rękę trzymał małą składaną parasolkę. Wydaje mi się, że mógł mieć wąsy.

— Powiesz mi, o czym dokładnie rozmawiali?

— Było to dosyć zawoalowane, ale moim zdaniem rozmawiali o przygotowaniu zabójstwa kobiety. Ten z kucykiem powiedział, że znajdzie do załatwienia roboty prawdziwego fachowca. Dosłownie brzmiało to tak: „Nawet nie będziesz wiedział, że kiedykolwiek istniała”. — Chcesz pojechać ze mną na komendę i obejrzeć kilka zdjęć?

— Mickey, mam dziś urodziny. Daisy na mnie czeka.

— Wynagrodzę ci to. Obiecuję. Zabiorę cię jutro do „McCormicka i Schmicka”, a potem

pojedziemy do ciebie i będziemy się kochać, aż nam dym pójdzie uszami.

— Wybacz, Mickey...

— Jeśli chcesz, możemy pojechać do mnie i tam kochać się, aż nam dym pójdzie uszami. Będziesz musiała tylko uważać, by nie uklęknąć w kociej kupie.

— Obejrzę sobie kilka zdjęć w domu, dobrze? Jeśli będzie wśród nich twarz, która wyda mi się znajoma, zadzwonię.

— Nie ma sprawy. Wiem, kiedy dostaję kosza.

Trzy Konkubiny

Jechali przez jasno oświetlone centrum Portland obsadzoną drzewami trasą tranzytową, gdzie nawet o tej porze ludzie krążyli między pojemnikami z kwiatami i oglądali wystawy. Przed kilkoma godzinami padało, ale choć światła sklepów, latarni i czterdziestopiętrowego wieżowca Interstate Bank Tower wciąż jeszcze odbijały się na chodnikach, wieczór był suchy i ciepły.

— Ciężki dzień? — spytała Holly.

— Taki sobie. Ale sprawa Sarah Hargitay doprowadza mnie do szaleństwa — odparł Mickey.

— Masz na myśli te zaginione kobiety?

— Ciągle jeszcze nie wiemy, czy istnieje między nimi jakiś związek. Wszystkie zrobiły karierę zawodową — wszystkie cztery — po czym zniknęły, nie mówiąc mężom ani partnerom, dokąd się wybierają. Dopóki żadna nie wypłynie jako...

— Masz jakąś teorię?

— Osobiście uważam, że wszystkie uznały, iż więzy rodzinne hamują je w rozwoju i najprościej będzie wyjść z domu i nigdy nie wracać.

— Nie byłabym tego taka pewna. Mężczyźni czasami tak robią, ale kobiety...

— Dlaczego one też nie miałyby tak robić? Sarah Hargitay prowadziła wspaniale prosperującą firmę handlu nieruchomościami, Jennie McLellan miała doskonale rozwijającą się piekarnię francuską, Kay Padowska była wysokiej rangi menedżerem w First Portland Bank, a Helena Carlsson szychą w Kapitanacie Portu. Wszystkie były kobietami dominującymi, miały na widoku tylko jeden cel...

— Ja też jestem dominująca i mam na widoku tylko — jeden cel, ale nie zrezygnowałabym z życia, jakie prowadzę.

— Pewnie dlatego, że za bardzo byś za mną tęskniła.

Ujrzeni przed sobą trzy mocno zbudowane kobiety. Jedna była ubrana w czerwoną, druga w niebieską, a trzecia w żółtą chińską sukienkę z wysokim kołnierzem i długimi rozporkami. Szły, trzymając się pod rękę. Mickey opuścił szybę.

— Hej, dziewczyny! — krzyknął.

Podeszły, stawiając drobne kroczki w swoich małych chińskich bucikach. Ich twarze były pokryte grubą warstwą śnieżnobiałej mąki ryżowej, która ukrywała szczecinę na ich podbródkach i sprawiała, że ich brwi wyglądały jak cienkie, przestraszone łuki.

— Porucznik Kavanagh! Co za nies-pooo-ddzianka!

— Dostałyście pracę na Embers Avenue?

— Żartuje pan? — pisnęła dziewczyna w niebieskiej sukience.

— Nie ma pan nawet pojęcia, jacy byli wobec nas Okrutni... — dodała dziewczyna w czerwieni. — To były bestie...

— Spytałyście nas: „Kim wy właściwie jesteście — trzema muszkieterkami z Chin?”

— Poradziłybyście sobie przecież — stwierdził Mickey. — Macie talent. Kiedy słuchałem, jak śpiewacie *Getting To Know You*, to... brak mi słów, ale to było naprawdę niezapomniane!

— Co to za pralinka siedzi w twoim w samochodzie? — spytała dziewczyna w niebieskiej sukience, wskazując brodą Holly.

— Och, przepraszam. To moja przyjaciółka, Holly Summers. Pracuje jako terapeutka w portlandzkim wydziale do spraw dzieci i jest w tym naprawdę dobra. Holly, to Kwiat Lotosu, Sierpniowy Księżyc i Bruce.

— Miło cię poznać, skarbie — powiedziała Kwiat Lotosu, wsadziła rękę do samochodu i chwyciła dłoń Holly. — Uważaj na tego faceta: ma u kobiet niezbyt dobrą reputację...

Po chwili ruszyli w dalszą drogę.

— Nieźle modelki, co? — mruknął Mickey. — Portland ma być miastem róż? Moim zdaniem to raczej miasto gagatków.

Urodzinowe życzenie

Kiedy Holly przekręciła klucz w zamku, Daisy była już w różowej piżamie z kolekcji Barbie. Siedziała przy kuchennym stole z kubkiem czekolady i oglądała telewizję. Marcella, opiekunka, stała przy zlewozmywaku i myła naczynia.

— Dzień dobry, pani Summers. Wcześniej pani wróciła.

— Byłam trochę zmęczona.

— Cześć, mamó! Dobrze się bawiłaś?

Holly pocałowała Daisy w czubek głowy. Jej córka właśnie skończyła osiem i pół roku, była równocześnie ładna i niezgrabna, zdawała się składać z samych rąk i nóg, miała długie blond włosy i zadarty mały nosecek. Oczy odziedziczyła po ojcu: błękitne jak dzwonek alpejski i z takimi samymi iskierkami hamowanej figlarności. Zrobiła mamie na urodziny album z wyklejankami, pełen wyciętych z czasopism zdjęć, przepisów kulinarnych, wierszy i polaroidowych fotografii z miejsc, które razem odwiedzały — Ogrodu Japońskiego, zoo w Oregonie i Wodospadów Multnomah. Przygotowanie go musiało zająć jej wiele godzin i wymagało nie wiadomo ilu buteleczek kleju. Holly tak się wzruszyła tym prezentem, że jej oczy wypełniły się łzami.

— Chce pani gorącą czekoladę? — spytała Marcella.

— Nie, dziękuję. Wolę kieliszek wina. Muszę jeszcze popracować przy komputerze.

— To nie będziesz mogła sprawdzić, czego się nauczyłam? — spytała uradowana Daisy.

— Popracuję przy komputerze dopiero po tym, jak sprawdzę, czego się nauczyłaś.

— Mogę już iść? — spytała Marcella, zdejmując fartuch.

— Oczywiście. Dam ci pieniądze za zeszły tydzień. Przepraszam, że nie zrobiłam tego od razu.

— Niech się pani tym nie martwi, pani Summers. Pilnowałabym Daisy i za darmo, dobrze pani o tym wie.

Marcella była darem bożym. Miała czterdzieści pięć lat i była niską, pulchną Włoszką o lalkowatej twarzy i maleńkich dłoniach i stopkach — wyglądała jak zdjęta z ołtarza Madonna. Jej trzech synowie już dorośli i wyjechali z Portland, a męża Luigiego zabrał rak płuc. „Kopcił jak Wulkan Świętej Heleny”, mawiała. Holly poznała ją zaraz po przeprowadzce do nowego mieszkania w dystrykcie Pearl, mieszczącego się na drugim piętrze nad restauracją „Torrefazione”. Marcella pracowała wtedy w kuchni i kiedy Holly biegła po schodach, walcząc z kartonami, siatkami i naręczami ubrań, zaferowała się popilnować Daisy. Wkrótce potem zgodziła się być z małą każdego popołudnia po jej powrocie ze szkoły. Nazywała dziewczynkę *mia bomboletta* — „moja mała słodyczka”.

Holly otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę chardonnaya Duck Pond. Nalała sobie duży kieliszek, usiadła przy kuchennym stole i zrzuciła buty.

— Miałaś ciasto? — spytała Daisy.

— Mhm. Pudding chlebowy z trzema świeczkami.

— Pomyślałaś sobie jakieś życzenie?

Holly wzięła Daisy za rękę.

— Oczywiście. Nie mogę ci jednak powiedzieć jakie, bo się nie spełni.

Ale nie tylko to było powodem jej odmowy. Nie chciała mówić córeczce, czego sobie życzyła: aby pięcioletni Daniel Joseph nie musiał dłużej cierpieć. Daisy wiedziała, czym matka się zajmuje, była jednak za mała, aby zrozumieć, jakie okropne rzeczy rodzice mogą wyczyniać ze swoimi dziećmi. Wczoraj po południu, za piętnaście piąta, Holly została wezwana do domu w Happy Valley,

gdzie matka przycisnęła rączkę swojej sześciolatniej córeczki do mocno rozgrzanej patelni i przytrzymała ją na niej przez ponad dziesięć sekund. Dlaczego? „Mówiła podłe rzeczy — oświadczyła zatrzymana kobieta. — Powiedziała, że mój brat maca ją pod koszulą nocną, a ona tego nie lubi. Mój brat nigdy by czegoś takiego nie zrobił”. Jej brat miał dwadzieścia dziewięć lat i dwa wyroki na koncie — za kradzież i napaść.

Najbardziej poszukiwani przestępcy w Portland

Tak samo jak Holly, Daisy zawsze miała trudności z matematyką i rozwiązanie wszystkich zadań z formularza testowego zajęło jej ponad godzinę. Holly było jej żal, bo doskonale pamiętała, jak to jest siedzieć samemu w jednej z ostatnich ławek, podczas gdy wszyscy już skończyli sprawdzian i poszli się bawić, a mimo napływających do oczu łez nie można pojąć, dlaczego dwieście czterdzieści osiem i pięćset siedem nie daje w sumie siedmiuset siedemdziesięciu dziewięciu.

Problem polegał na tym, że cyfry wcale nie wyglądały jak cyfry. Dwójka przypominała łabędzia, czwórka żaglówkę, ósemka klepsydrę — a jak można dodawać do siebie łabędzie, żaglówki i klepsydry?

Wreszcie nadszedł czas pójścia Daisy do łóżka. Miała pokój dokładnie naprzeciwko sypialni, której Holly używała również jako gabinetu. Był wyklejony różowo—zieloną tapetą, w oknach wisiały zasłony w różowe i zielone kwiaty, a na pomalowanym na różowo łóżku leżała narzuta, kupiona w sklepie z używanymi rzeczami przy Everett, który nazywał się „Transport kołder”. Na biurku Daisy stała stłoczona grupa lalek Barbie: Barbie—baletnice, Barbie—plażowiczki, Barbie z pudłami, Barbie bez głów, Barbie jednoręczne i Barbie poubierane w stroje, które Daisy uszyła im samodzielnie z bawełnianych resztek (twierdziła, że jak będzie duża, zostanie projektantką mody). Lalki Barbie były jedynym materialnym ustępstwem Holly wobec Daisy z powodu braku ojca.

— Jest mi niedobrze — powiedziała mała, kiedy Holly kładła ją do snu.

— Wiem. Dlatego, że masz jutro sprawdzian z matematyki.

— Nie, naprawdę jest mi niedobrze. Jakbym miała zaraz zwymiotować na poduszkę. No wiesz... blee... kotleciki, spaghetti, galaretkę, wszystko.

— To dlatego, że masz jutro klasówkę z matematyki.

— Mogę mieć zapalenie opon mózgowych.

Holly położyła jej dłoń na czole.

— Zapewniam cię, że nie masz zapalenia opon mózgowych.

— No to AIDS...

Holly weszła do gabinetu i włączyła pomarańczowego Apple Maca. W porównaniu z graciarnią Daisy było tu niemal spartańsko, a ściany pomalowano jednolicie na magnoliowy kolor i ozdobiono tylko trzema przedmiotami: pochodzącą z zatoki Tillamook i wykonaną z werniksowanego drewna maską o groźnym spojrzeniu, kolorową fotografią mającej dwa dni Daisy z rodzicami Holly oraz czarno—białą fotografią samej Holly, siedzącej na brzegu Ira's Fountain i trzymającej nogi w wodzie. Dwa jardy od niej siedział David w podwiniętych do kolan spodniach i odwracając głowę od aparatu, patrzył przestraszony gdzieś w przestrzeń — jakby ujrzał tam swoją przyszłość.

Holly wyglądała na tym zdjęciu boleśnie młodo i krucho — blond włosy miała krótko ostrzyżone, jak kiedyś Mia Farrow, i mocno ścisnęła chude kolana. Teraz strzygła się na pazia, pozostała w niej jednak delikatność i kruchość.

Przy jej biurku stała surowa lampa z czernionego żelaza, fikus w pomalowanym na czarno koszyku i nic więcej. Mimo to pokój ją zdradzał — niemal tak wyraźnie jak podpisane zeznanie. Emanował wręcz nadmierną pewnością siebie.

Załogowała się na stronę najbardziej poszukiwanych przestępców wydziału policji Portland. Przewijając robione do kartoteki zdjęcia, odchyliła do tyłu kapitańskie krzesło, na którym siedziała, i popijała wino. Fotografie pojawiały się jedna za drugą, a były ich dziesiątki. Wszyscy przedstawieni

na nich mężczyźni mieli ten sam zdziwiony wyraz twarzy — jakby nie mogli uwierzyć, że jak reszta Ziemiaków, również są ludzkimi istotami.

John Shine, lat 37, poszukiwany za porwanie i zabójstwo. Ernest Valdez, lat 23, poszukiwany za porwanie i gwałt. Leon Broughton, lat 26, poszukiwany za rabunek, podpalenie i napaść z bronią w rękę. Emily Card Venue, lat 33, poszukiwany za potrójne dzieciobójstwo.

Komuś nie mającemu do czynienia z opieką nad dziećmi niełatwo byłoby zrozumieć, co sprawiło, że właściciele tych twarzy poszukiwano za tak poważne przestępstwa, Holly widziała jednak zbyt wiele małych dziewczynek z poparzeniami trzeciego stopnia na dłoniach — jak choćby dziewczynka z Happy Valley z wczoraj — i zbyt wielu małych chłopców z purpurowymi siniakami na twarzy, owiniętych w cuchnące pieluchy, toteż dokładnie wiedziała, dlaczego potwory ze zdjęć nie mogą uwierzyć, że są ludzkimi istotami, i dlaczego mają tak wielkie pretensje do świata.

Na ekranie pojawiła się hotmailowa wiadomość tekstowa.

Dobry wieczór, Holly. Przepraszam, że przedstawiam się w taki sposób. Nazywam się Ned Fiedler. Doug przekazał mi, że wspominał o mnie dziś wieczór na twoim przyjęciu urodzinowym. Wszystkiego najlepszego.

Halo, Ned — odpisała Holly. — O co chodzi?

Może jestem trochę nachalny, ale BARDZO chciałbym, żebyś pojechała z nami w weekend nad jezioro.

Chyba nie będę mogła. Mam do nadrobienia masę pracy. Muszę też zrobić pranie.

Mógłbym poprosić, abyś to jednak przemyślała? Katie tyle dobrego mi o tobie opowiadała. Byłbym zachwycony twoim towarzystwem.

OK, zastanowię się.

Możesz się ze mną w każdej chwili skontaktować pod fiedlerpulp@aol.com. Czekał na wiadomość. Z zapartym tchem.

Holly uśmiechnęła się i pokręciła z niedowierzaniem głową. Mężczyźni zagadywali do niej w barach i restauracjach, nawet w pracy, ale jeszcze nikt nie próbował zawrzeć z nią bliższej znajomości przez hotmail. Stwierdziła, że ciekawi ją, jak Ned wygląda. Prawdopodobnie jest niski i gruby, ma natapirowane włosy, marynarkę z błyszczącego moheru i tablice rejestracyjne z napisem BOSS-PULP.

Wróciła do zdjęć. Roman Fischer, lat 42, poszukiwany za napad z bronią w rękę. Christopher Friekman, lat 34, poszukiwany za wykroczenia przeciwko ustawie antynarkotykowej i wymuszenie. Billy Positano, lat 19, poszukiwany za gwałt, napad z bronią w rękę i zuchwałą kradzież samochodu.

Zatrzymała się i przewinęła kawałek tekstu z powrotem. Z prawej strony ekranu pojawiło się zdjęcie mężczyzny — choć wyglądał na szczuplejszego o 20 kilo i był ogolony,

Holly była pewna, że jest to człowiek, którego widziała dziś wieczorem w „Poor Richard’s”. Tego, który mówił. Merlin Krauss, lat 52, poszukiwany za wymuszenie i próbę zabójstwa. Miał te same zniszczone przez trądzik policzki, tę samą linię szczęki i te same usta, które tak intensywnie obserwowała — z blizną w kształcie znaku zapytania z lewej strony górnej wargi. W chwili gdy robiono mu zdjęcie, coś mówił, bo górne zęby dotykały lekko wywiniętej dolnej wargi, a policzki były nieco wciągnięte do środka. Wypowiadał literę „f” i Holly bez trudu mogła się domyślić, jak brzmiała reszta słowa.

Wybrała numer Mickeya i wysłała mu wiadomość tekstową:

Uważam, że podejrzany to Merlin Krauss.

Przerwa po tym była dość długa, w końcu jednak Mickey odpowiedział:

100%?

Tak.

Jesteś wspaniała. Porozmawiamy o tym jutro.

Holly jeszcze dość długo przyglądała się zdjęciu Merlina Kraussa. Dopijała wino i zastanawiała się, co uczyniło go takim, jakim był. Z jakimi koszmarami się wychowywałaś? — myślała. Naprawdę jesteś taki, na jakiego wyglądasz — zły i głupi?

Nocny koszmar Daisy

W środku nocy drzwi sypialni otworzyły się szeroko i na łóżko Holly wskoczyła Daisy. Była spocona, zaplątała się w koszulę nocną, dygotała. Holly mocno ją objęła i zapaliła nocną lampkę.

— O co chodzi, skarbie? Co się stało?

Daisy uniosła głowę tak, by matka mogła widzieć jej usta. Była blada, włosy kleiły jej się do czoła.

— Miałam okropny sen. Śniło mi się, że się obudziłam i nic nie słyszę.

— Ciii... nie martw się, to ci się nigdy nie przydarzy.

— Wszyscy krzyczeli na mnie i nic nie słyszałam, i byli źli, że nie słyszę. Zamiast oczu mieli czarne dziury i krzyczeli, krzyczeli, krzyczeli...

Holly przytuliła córkę, odrzuciła białą kapę i pozwoliła Daisy położyć się obok siebie.

— Możesz chwilę przy mnie zostać. Chcesz wody? Daisy pokręciła głową.

— Tak się bałam... to było straszne...

— Wiem, ale to był tylko sen, prawda? Poza tym być głuchym to nie koniec świata. Nawet gdyby wymyślono sposób, żebym znów mogła słyszeć, nie wiem, czy chciałabym go wypróbować.

Daisy zaczęła bawić się wstążeczkami na koszuli nocnej matki i wiązać je w skomplikowany węzeł.

— Opowiedz o mi tym, jak ogłuchłaś.

— Daj spokój. Przecież wiesz.

— Wiem, ale lubię, jak o tym opowiadasz.

— Kochanie, jest piętnaście po drugiej, a jutro masz sprawdzian z matematyki.

— Ale to nie potrwa długo.

— Daisy...

— Mamo, proszę... Jeśli wrócę teraz do łóżka, znowu pojawią się ci krzyczący ludzie bez oczu...

Holly westchnęła.

— Niech ci będzie. Pewnego dnia, po powrocie ze szkoły, zrobiło mi się bardzo gorąco i zaczęła mnie boleć głowa.

— Nie o tym! Opowiedz o domu, o lekcjach śpiewu i kurzym pasztecie!

No tak, pewnie, pomyślała Holly i zaczęła opowiadać uświęconą tradycją wersję.

— Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, mieszkaliśmy z mamą, tatą i Tyrone'em w wysokim domu na Nob Hill. Był pomalowany na cynamonowoczerwono, a w klatce na tylnej werandzie mieliśmy kanarka, który śpiewał całymi dniami. Pewnego dnia w kwietniu poszłam do szkoły i mieliśmy lekcję śpiewu. Uwielbiałam śpiewać. Śpiewaliśmy *Green Grow The Rushes—O*. Gdy wróciłam do domu, mama zrobiła pasztet z kurczaka, który uwielbiałam, ale zrobiło mi się nagle bardzo gorąco, rozboliła mnie głowa i nie mogłam zjeść więcej niż kilka kęsów. Mama wzięła mnie na górę, ale zrobiło mi się niedobrze. Wymiotowałam raz za razem, a głowa bolała mnie tak, że zaczęłam krzyczeć. Mama dała mi anacyne i położyła mnie do łóżka — i nic więcej nie pamiętam. Kiedy się obudziłam, leżałam w szpitalu, a tata siedział na fotelu i przyglądał mi się. Zapytałam: „Tato, gdzie jestem?” — a on wstał, usiadł obok mnie na łóżku, objął mnie i zaczął płakać. Nigdy przedtem nie widziałam, by tata płakał. Pytałam: „Gdzie jestem?”, „Gdzie mama?” — ale on nie odpowiadał. Wtedy zobaczyłam, że jego usta się poruszają, nie wydobywają się z nich jednak słowa.

Nie słyszałam, jak mówi, nie słyszałam odgłosu jego kroków, nie słyszałam szelestu pościeli. Powiedziałam: „Tato, nie słyszę cię” — nie usłyszałam jednak, jak to mówię. Czułam się tak, jakby moją głowę wypełniała woda.

— Byłaś bardzo smutna, prawda? — szepnęła Daisy, najwyraźniej po to, by przyspieszyć opowieść.

— Tak, byłam bardzo smutna. Tata i mama wzięli mnie do specjalisty, ale on stwierdził, że będę głucha do końca życia. Koniec z *Green Grow The Rushes—O*. Koniec ze szczekaniem psów, dzwonieniem dzwonka i śpiewem kanarka w klatce na werandzie. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że nie tylko nie słyszałam... czułam się także niewidzialna. Gdy tylko ktoś się zorientował, że jestem głucha, przestawał do mnie mówić. Ludzie przestawali na mnie patrzeć... jakbym zniknęła. Mama nie pozwalała mi jednak rozczulać się nad sobą. Pochodziła z rodziny pionierów z Oregonu, którzy uważali, że niezależnie od tego, jak los doświadczy człowieka, powinien jak najlepiej wykorzystać wszystkie sprzyjające okoliczności.

Daisy kiwnęła głową i powtórzyła cicho:

— Niezależnie od tego, jak los doświadczy człowieka.

— Pewnego dnia, kiedy słońce świeciło przez drzewa, wzięła mnie na spacer do Wildwood Trail — mówiła dalej Holly. — Zabrała koszyk z wiktuałami. Wyjęła kawałek zimnego pasztetu z kurczaka, uniosła go w górę i wskazując na usta, powiedziała bardzo powoli: „pasz–tet dro–bio–wy”. Potem podniosła butelkę coli i powiedziała: „co–ła”. Wydaje mi się, że już wtedy zaczęłam czytać z ruchu warg, bo rozpaczliwie chciałam wiedzieć, co ludzie mówią, a potem dowiedziałam się, że mogę się tego lepiej nauczyć. Godzinami obserwowałam w telewizji rozmawiających ludzi, a gdy wychodziłam z mamą na zakupy, patrzyłam wszystkim na usta i niektórzy myśleli nawet, że zwariowałam. Pewnej soboty rano tata zszedł schodami na dół i zobaczyłam, jak mówi: „Claudine, gdzie są moje kapcie?” — i odpowiedziałam: „Pod kanapą”. Wtedy po raz drugi widziałam, jak tata płacze. Stał na środku salonu i zalewał się łzami.

Piekielny dzień

Następnego dnia od rana padało. Ciężkie, zimne zasłony deszczu sunęły falami z północnego zachodu i okrywały całe Portland. Kiedy Holly zawiozła Daisy i jej przyjaciółkę Ario do szkoły, pojechała mostem Burnside na południowy wschód miasta. Rzeka Willamette miała matowy połysk polerowanego ołowiu, a wszyscy turyści, stojący gęsto wzdłuż burt statków z kołami łopatkowymi, byli poubierani w jaskrawożółte kurtki przeciwdeszczowe.

Wycieraczki w samochodzie machały wściekle na boki, ale widoczność była ograniczona do pięciu jardów i Holly, jak wszyscy, musiała wlec się jak żółw. W przodzie raz za razem rozbłyskiwały w deszczu purpurowe ogniki świateł hamowania.

Rodzina Josephów mieszkała przy Nathan Street — w krótkim szeregu odrapanych parterowych domków, z których obłaziła farba. Ogródki od frontu łysiały, werandy były zastawione połamanymi krzesłami, popsutymi kuchenkami i rulonami przemoczonych starych dywanów. Kiedy Holly zaparkowała swojego pięcioletniego trackera pod domkiem Josephów, na werandę domu obok wyszła młoda kobieta w poplamionym różowym szlafroku i z papierosem w ustach.

— Piekielny dzień — powiedziała, gdy Holly szła szybkim krokiem przez ogródek.

Holly nacisnęła dzwonek. Zewnętrzne drzwi z siatki wyłamano kopniakiem, a wokół gałki było pełno czarnych odcisków palców.

— Tego faceta trzeba zamknąć — stwierdziła sąsiadka. Miała twarz o barwie niedopieczzonego pasztetu, strąkowate blond włosy i wyglądała, jakby od tygodnia nie jadła.

— No cóż... — mruknęła Holly, ponownie naciskając dzwonek. — Spróbujemy mu jakoś pomóc.

— Pomóc? On nie potrzebuje pomocy. Trzeba go zamknąć. Jest świrnięty.

Pani Joseph nie reagowała na dzwonek, więc Holly otworzyła wyłamane drzwi i zapukała.

— Mary? Mary! — zawołała. — To ja, Holly Summers!

Młoda sąsiadka wydmuchała dym przez nos.

— Sądząc po hałasach, jakie tu były w nocy, ta kobieta prawdopodobnie nie żyje.

— Jakich hałasach?

— No, różnych. Łomotało, trzaskało, jakby ktoś rzucał meblami i rozwalał talerze. Potem krzyczeli.

Holly znów zapukała.

— Mary! Słyszysz mnie pani?! To ja, Holly Summers! Mary, niech pani otworzy!

— Prawdopodobnie nie żyje — powtórzyła sąsiadka. Holly wyjęła telefon i wysłała siedzącemu w biurze Dougowi SMS-a:

Brak jakiegokolwiek reakcji u Josephów. Sąsiedzi sygnalizują zeszłej nocy incydent domowy.

Po chwili Doug odpowiedział:

Sprawdź dom, a potem daj znać.

Holly nasunęła na głowę kaptur i zeszła z werandy. Sąsiadka uważnie obserwowała, jak obchodzi dom Josephów. Pod oknem salonu stał stary brązowy fotel. Holly wspięła się na niego, ostrożnie stanęła na podłokietnikach i spróbowała zajrzeć do wnętrza domu. Dokładnie nad jej głową była pęknięta rynna i na kaptur chlusnęła kaskada zimnej wody.

W salonie widać było jedynie otwarte do połowy drzwi, pomarszczony zielony dywan i przewróconą lampę z abażurem ozdobionym frędzlami. Na podłodze leżały potłuczone talerze i

dzbanek do kawy bez uchwyty. Nie było śladu pani Joseph ani Daniela.

Holly zeszła na siedzisko i wtedy zarwały się pod nią sprężyny, co uwięziło jej stopę między warstwami tapicerki i ściągnęło but. Sąsiadka pokręciła głową, uśmiechnęła się i wydmuchnęła chmurę dymu. Holly uwolniła nogę, założyła but i przeszła na tył domu. Było tam mnóstwo śmieci, tak jak na innych podwórkach: zardzewiała kabina starego pikapa, własnej roboty buda dla psa, butelki, skrzynki i kuchenne krzesła z poodłamywanymi oparciami. Na sąsiednim podwórku pojawił się nagle wielki podpalany kundel i szczekając, rzucił się ku niej. Uderzył z impetem w płot z siatki, co go zatrzymało, dalej jednak ujadął i rzucał się na płot, jakby zamierzał zrobić w nim wyrwę i skoczyć intruzowi do gardła.

Holly weszła na tylne patio i okrążyła oblepiony tłustym brudem grill z K-Martu i dwa plastikowe leżaki w pomarańczowe pasy, nakrapiane czarnymi plamami pleśni. Rozsuwane szklane drzwi kuchni gęsto pokrywały krople deszczu. Holly przetarła dłonią kawałek szyby i zajrzała w mrok.

Nie zobaczyła jednak nic poza kuchenką z brudnymi garnkami i zlewem, w którym piętrzyły się talerze. W rogu, obok stolika śniadaniowego, zwalono stertę płaszczy i koców.

Nagle coś się poruszyło i Holly uznała, że ktoś chowa się w stercie. Zastukała w szybę i krzyknęła:

— Mary! Mary, słyszy mnie pani?! To ja, Holly Summers! Mary, jeśli mnie pani słyszy, niech pani otworzy drzwi!

Przez długą chwilę nic się nie działo. Holly nie pukała więcej, tylko stała i czekała, by pani Joseph mogła ją zobaczyć i stwierdzić, że przybyła sama. Niezależnie od tego, co wydarzyło się zeszłej nocy, Mary Joseph prawdopodobnie zbyt się bała, aby chciała wpuścić kogoś do środka.

Deszcz spływał cienkimi strużkami po oknie. Holly odwróciła się — pies przez cały czas szczekał. Widziała, że otwiera i zamyka pysk, choć nie słyszała jego ujadania.

Wreszcie — bardzo powoli — koce zaczęły się unosić i wypęzła spod nich pani Joseph. Miała najwyżej pięć stóp wzrostu, obwisły brzuch i opuchnięte kostki nóg, a rozczochrane, sterczące kępkami włosy ozdobiła wstążkami. Kiedy wstała i złapała się przykręconej do ściany półki, Holly zobaczyła, że jej czerwonobrazowa sukienka jest rozdarta na ramieniu, a przez dziurę widać kawałek brudnej bielizny. Normalnie było oczywiste, że jest Indianką, teraz jednak niemal niemożliwe było stwierdzenie, czy w ogóle jest istotą ludzką — nie wspominając już o określeniu rasy.

Jej twarz była tak opuchnięta, że zrobiła się dwa razy większa niż normalnie i przypominała purpurowo-karmazynowo-bordową maskę karnawałową. Pani Joseph miała też złamany nos i popękane, pokryte zakrzepłą krwią usta. Doczłapała do okna w jednym kapciu, stanęła za zalaną deszczem szybą i spróbowała skupić czerwone jak u królika oczy na Holly.

— Mary... musi mnie pani wpuścić! Potrzebuje pani pomocy!

Pani Joseph patrzyła na nią tępo, bez słowa, tylko co jakiś czas przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, co wyglądało jak parodia szamańskiego tańca.

— Mary, proszę... musi mi pani otworzyć. Gdzie jest Daniel? Nic mu się nie stało? Mary, musi mi pani otworzyć!

W tym momencie zza węgła wyszła sąsiadka z domu obok — trzymając nad głową gazetę, by osłonić się przed deszczem. Na widok pani Joseph jęknęła.

— Ale syf... Syf i malaria. Mówiłam pani, że to wariat!

— Niech pani wezwie policję — powiedziała Holly. — I poinformuje ich, co się stało. Proszę też zadzwonić pod ten numer. — Podała jej kartkę. — To mój szef, Doug Yeats.

— Nie mamy telefonu. Oczywiście mieliśmy, ale Rick stracił pracę... i tak dalej.

— Proszę wziąć mój. I proszę się pospieszyć!

— Dobra, dobra. Już się robi. Jezu, ale ona wygląda... nie lubię jej zbytnio, ale... jasna cholera...

Pani Joseph powoli wyciągnęła rękę w kierunku zamka. Palce miała nie mniej opuchnięte od twarzy, a kciuk lewej ręki był tak odgięty, że niemal dotykał nadgarstka. Udało jej się nieco unieść zapadkę i odsunąć drzwi, ale zaraz potem ręce jej opadły i stała bez ruchu, patrząc bezradnie na Holly, niezdolna do dalszego wysiłku.

Holly wzięła z grilla zardzewiałą łopatkę i wsunęła ją w szparę pod zapadką. Pchnęła raz i drugi w górę, zapadka odskoczyła i drzwi się otworzyły. Holly weszła do kuchni akurat na czas, by złapać panią Joseph, która zaczęła osuwać się na podłogę.

Danieli diabeł

Położyła ją na stercie koców.

— Mary, słyszy mnie pani? Gdzie jest Daniel? Muszę wiedzieć, gdzie jest Daniel!

Pani Joseph wskazała lewą ręką w kierunku salonu.

— Bił... bił... nie kończył...

Holly zwinęła jeden z płaszczy, robiąc z niego coś na kształt poduszki, i przykryła zmaltretowaną kobietę kocem.

— Niech pani leży spokojnie. Ratownicy już jadą, to długo nie potrwa. Pójdę poszukać Daniela.

Pani Joseph złapała Holly za rękaw i przyciągnęła ją do siebie. Jej oddech był kwaśny od żółci.

— Powiedział... powiedział, że Daniel ma w sobie diabła. Powiedział, że musi go bić, żeby wybić z niego diabła. Bił go i bił, a kiedy próbowałam go powstrzymać, mnie też zaczął bić... — wykrztusiła z trudem i rozkaszała się.

— Dobrze, Mary, niech pani leży spokojnie. Sanitariusze już jadą, policja też już jedzie i niedługo wszystko będzie w porządku — powiedziała Holly.

Zostawiła panią Joseph w kuchni i poszła do salonu. W domu było zimno i mroczno, a pod podszwami jej butów chrzęściło pokruszone szkło i kawałki potłuczonej porcelany. Kiedy mąż zaatakował panią Joseph, musiała właśnie podawać obiad, bo zaraz za drzwiami salonu leżała na podłodze miska z żaroodpornego szkła, a w dywan powdeptywane były kawałki gulaszu.

Mary Joseph nie była zbyt rożgarniętą kobietą. Czytała i pisała nie lepiej niż siedmiolatka, z trudem prowadziła dom i utrzymywała go w czystości — zwłaszcza odkąd mąż zaczął przepijać większość pieniędzy z zasiłku dla bezrobotnych. Ich syn Daniel był łagodnym i kruchym dzieckiem, docieklwym i wrażliwym. Holly uważała, że ma szansę uratować go przed przekleństwem tak wielu indiańskich rodzin z Portland. Przekleństwem beznadziei i wszelkiego zła, które idzie z nią w parze.

Chłopiec był w salonie. Leżał na plecach w pokoju, w którym pozrywano zasłony, przewrócono kanapę i rozbito większość cennej porcelany pani Joseph. Podkoszulek w paski miał podciągnięty i zakręcony wokół szyi, jego krótkie spodnie były ściągnięte poniżej kolan. Był obuty tylko w jeden sandał, a białe skarpetki obryzgała krew.

Holly odgarnęła potłuczoną porcelanę i uklękła obok małego. Miał zamknięte oczy i wydawał się bardzo zimny. Można byłoby pomyśleć, że śpi — pięciolatek o twarzy pełnej jak księżyc, z perkatym noskiem i lekką nadwagą, ale kto powiedział, że wszystkie wybrane przez Boga dzieci muszą idealnie wyglądać? Na policzkach nie miał siniaków, jednak jego czarne włosy pokrywała na czubku głowy warstwa zakrzepłej krwi — jak zaskorupiała mycka.

Ciało wyglądało jeszcze gorzej. Brzuch był jednym kłębowiskiem purpurowych opuchlizn, przez pierś, uda i podbrzusze biegły sine skośne linie, jakby bito go laską albo smagano sznurem do żelazka. Holly przycisnęła palec do wewnętrznej strony jego nadgarstka, próbując znaleźć puls, niczego jednak nie wyczuła. Położyła chłopcu dłoń na klatce piersiowej, zamierzając rozpocząć masaż serca, kiedy jednak poczuła chrzęst popękanych żeber, przestraszyła się, że może narobić więcej złego niż dobrego.

Pochyliła się nad małym. Wiedziała, że nie usłyszy oddechu, ale pomyślała, że może uda jej się poczuć podmuch powietrza na policzku.

— Daniel, nie umieraj... — szepnęła. — Daniel, słyszysz mnie? Nie umieraj...

Nagle poczuła czyjąś dłoń na ramieniu. Po chwili pierwsze lekkie pchnięcie zamieniło się w

szarpnięcie, a potem w jeszcze mocniejsze pociągnięcie. Odwróciła się i zobaczyła, że stoi nad nią Elliot Joseph. Miał na sobie džinsy i nabijaną ćwiekami dzinsową kurtkę, na strąkowatych siwych włosach zawiązał bandanę, a jego oczy błyszczały z wściekłości i od alkoholu.

— Co ty tu, kurwa, robisz, głucha dziwko?!

Zasada 33 (a)

Zasada 33 (a) podręcznika wydziału do spraw dzieci Portland, dotycząca zachowania wobec agresywnych rodziców:

Nie wykonuj nagłych ruchów. Patrz agresywnemu rodzicowi w oczy, ale nie w sposób prowokujący starcie. Trzymaj ręce przy sobie. Mów uspokajająco, powtarzaj swoje słowa i próbuj apelować do jego poczucia odpowiedzialności i szacunku do samego siebie. Nie mów: „Jakim pan/pani właściwie jest rodzicem?” — ale raczej: „Wiem, że jest pan/pani bardzo dobrym rodzicem i jestem pewien/pewna, że chce pan/pani tego, co najlepsze dla pana/pani dziecka”.

— Panie Joseph, wiem, że jest pan bardzo dobrym rodzicem... — zaczęła Holly.

Elliot Joseph gapił się na nią zdumiony i mrugał.

— Czym jestem? Jebanym czym? Jestem pieprzonym wyjątkowym rodzicem! Mówisz mi, że... ty mi mówisz... jaki ojciec zrobiłby swojemu dziecku to, co ja?

— Nie wiem, panie Joseph.

— Nie? To ci powiem, co by zrobił inny ojciec. Pozwoliłby rosnać diabłu w swoim dziecku, aż w końcu czart przejąłby jego duszę i ciało i zjadł go żywcem! Każdy inny ojciec pozwoliłby swojemu synowi mieć koszmary przez resztę... Jezu! Zdajesz sobie sprawę, jakie on miał koszmary?!

Zatoczył się i niemal stracił równowagę. Skupił wzrok na Danielu, ale przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, kto to jest.

— O... to on! Jezu, to mój chłopak! Co mu zrobiłaś? Co mu, kurwa, zrobiłaś?!

— Miał wypadek, panie Joseph. Wezwałam ratowników i już są w drodze.

— Wypadek?! — Elliot Joseph odsunął na bok jeden z foteli i padł na kolana. Holly czuła od niego odór whisky — był tak silny, że aż łzawiły jej oczy. Joseph podniósł głowę syna i potrząsnął nim. — Daniel! Daniel!!! Posłuchaj mnie, chłopcze, tata mówi do ciebie! Daniel, słuchaj mnie!

— Panie Joseph... on jest ciężko ranny. Na pewno nie chce pan pogorszyć jego stanu.

Ale Elliot Joseph coraz mocniej trząsał swoim synem.

— Daniel, jasna cholera! Co się z tobą dzieje? Próbujesz zrobić ze mnie frajera?

— Jest ranny, panie Joseph. Ma połamane żebra.

— Ranny? Wcale nie jest ranny! To tylko diabeł! Diabeł dostał w kość. Wytlukłem z niego diabła! Wybiłem go z niego. Widziałem na własne oczy! Był czarny! Jak czarny cień! Widziałem go! Wytlukłem go z niego! Uratowałem go! Daniel! Daniel, jeśli nie otworzysz, kurwa, oczu i nie popatrzysz na mnie, wpięprzę ci tak samo, jak wpięprzyłem diabłu! Otwieraj te jebane oczy!

— On pana nie słyszy, panie Joseph. Proszę zostawić go w spokoju.

Elliot Joseph nagle puścił syna, pozwalając mu opaść na podłogę. Spróbował złapać fotel, nie trafił w niego ręką, poprawił chwyt i podciągnął się.

— Nie słyszy mnie? Nie może słyszeć? Mnie? To mu, kurwa, zrobiłaś? Zaraziłaś go! Uczyniłaś go głuchym — jak siebie, dziwko!

Zrobił niepewny krok w jej kierunku, potem drugi. Holly po raz pierwszy od dawna żałowała, że nie słyszy — chciałaby usłyszeć policyjne syreny. Elliot Joseph nie był zbyt wysoki, ale miał wielką kościstą głowę, wystające kości policzkowe, szeroko rozstawione oczy i płaski nos. Choć nogi miał krótkie, jego tułów był masywny jak u byka.

Szczupły Mickey powiedział o nim kiedyś, że jest „chodzącą definicją zagrażającego otoczeniu

zachowania”.

— Jeśli cokolwiek stanie się mojemu chłopakowi... ostrzegam cię. Oderwę ci ten twój jebany łeb i naszczam ci w szyję!

— Panie Joseph, już mu się coś stało. Coś bardzo poważnego. Nawet nie umiem powiedzieć, czy w ogóle żyje.

Elliot Joseph oblizwał wargi. Wodził wokół oczami, jakby próbował przypomnieć sobie coś ważnego. Przysunął się do Holly.

— Wiesz, kim jestem? — szepnął.

W sposobie, w jaki to powiedział, było coś, co mocno zaniepokoiło Holly. Nieraz się z czymś podobnym spotykała — z cicho zadawanymi absurdalnymi pytaniami, po których następowała eskalacja emocji, kończąca się bezgraniczną wściekłością. W taki właśnie sposób agresywni mężczyźni uzasadniali to, co zamierzali zrobić. „Próbuję być rozsądny, dziwko, próbuję zachować spokój, a ty psujesz mi szyki, prowokujesz mnie. Jak mogę cię nie uderzyć?”.

Po chwili mężczyzna powtórzył jeszcze spokojniej:

— Py...ta...łem... czy... wiesz... kur...wa... kim jes...tem...

Holly skinęła głową, nic jednak nie odpowiedziała. Nieważne, jakich użyłaby słów, wszystkie byłyby nie takie jak trzeba.

— Jestem Hin...mah...too...yah...lat...kekt. Tak naprawdę się nazywam. To moje imię plemienne. Wiesz, co ono znaczy?

Holly pokręciła głową.

— A powinnaś. To jedno z najwspanialszych jebanych imion w historii Nimipu. Grzmot, który stacza się z Gór. Właśnie to oznacza, a ja je dostałem. Dano mi je, bo jestem bezpośrednim potomkiem Wodza Josepha z Wallowasów, który był największym pieprzonym... — Joseph przerwał i wbił w nią wzrok. — Ale ty masz to w dupie, prawda? Gównu cię to wszystko obchodzi.

— Panie Joseph, martwię się Danielem. Tak jak i pan.

— Przyłazisz tu, by rozbić mi rodzinę... przychodzisz, żeby mi wymyślać. Przyszłaś, żeby mój chłopak stał się głuchy. Ty głucha dziwko!

— Panie Joseph, proszę się nie denerwować. Ratownicy zaraz tu będą.

— Ty głucha dziwko... zobacz, co zrobiłaś mojemu chłopakowi! Zobacz, co zrobiłaś mojej rodzinie! Zawsze tego chciałaś, tak? Zniszczyć mi rodzinę i dom! Tego chciałaś? Tego chciałaś?! — wrzasnęła.

Zamachnął się i uderzył Holly w skroń. Przed oczami ujrzała szkarłat, zawyło jej w głowie i oparła się plecami o któreś z przewróconych krzeseł. Elliot Joseph znów do niej doskoczył, złapał ją za poły przeciwdeszczowego płaszcza i zaczął szarpać na boki.

— Ty głucha dziwko! Głucha dziwko! Jeśli zabiłaś mojego chłopaka...

Pchnął ją mocno. Uderzyła plecami w zwisający karnisz i rąbnęła biodrem o parapet. Elliot Joseph odepchnął na bok fotel i rzucił się na nią. Ze sposobu, w jaki otwierał usta, wywnioskowała, że piszczy jak kobieta — jakby chciał krzyknąć w jej imieniu.

Próbował postawić ją na nogi, ale był tak pijany, że przeleciał nad nią i wpadł do wnęki okiennej. Po chwili udało mu się wstać i uderzyć Holly pięścią w czubek głowy, ale nagle odwrócił się i odskoczył od niej.

Oczywiście wcale nie odskoczył. Był zbyt pijany, aby to zrobić — został odciągnięty przez Szczupłego Mickeya i jeszcze jednego oficera policji. Do pokoju wchodziło dwóch kolejnych policjantów, a za nimi trzech ratowników.

Holly wstała z trudem. Dygotała cała i spazmatycznie łapała powietrze.

— Szybciej... chłopiec... nazywa się Daniel. Nawet nie wiem, czy jeszcze oddycha. Jego matka jest w kuchni... też nieźle ją urządzono.

— Spokojnie... — powiedział Mickey i objął Holly ramieniem. Jego czarny płaszcz migotał od kropel wody.

— Ma połamane wszystkie kości... —jęknęła Holly. — Boże... taki słodki chłopczyk. Nigdy nikomu nie zrobił nic złego...

— Mówiłem ci! — wrzasnął Elliot Joseph. — Wyjaśniłem wszystko! Miał w sobie diabła! Był w nim diabeł i musiałem go z niego wytluc!

— Mógłbyś się, do kurwy nędzy, zamknąć? — warknął Mickey. Popatrzył na ratowników i spytał: — W jakim jest stanie? Żyje?

— Trzyma się na ostatniej nitce. Tylko Bóg wie, jak.

— Proszę... — wy szlochała Holly. — Ostatnio tyle przeszedł...

— Zrobimy co się da, proszę pani. Jaki ma puls?

— Uratowałem go od diabła, a ty sprawiłaś, że jest głuchy, ty głucha dziwko!

Mickey popatrzył na EUiota. Dwaj policjanci trzymali go w drzwiach za ręce, a trzeci zakładał mu kajdanki.

— Zranił cię? — spytał Mickey, zwracając się do Holly.

— Tylko uderzył mnie w twarz i stuknął pięścią w głowę. Nic poważnego.

— W porządku — mruknął Mickey, wziął Holly za rękę i delikatnie ją uściśnął. — Zaraz do ciebie wrócę.

— Nie ma sprawy. Nigdzie się nie wybieram, póki nie potwierdzą, że Daniel z tego wyjdzie.

Mickey podszedł do Elliota Josepha. Stał plecami do Holly, więc nie widziała, co mówi, ale od czasu do czasu kiwał głową, jakby mówił coś spokojnie. Jedyne mina Elliota zdradzała, że Mickey mu grozi.

Nagle Elliot zaczął się szarpać.

— Nie wolno ci mnie dotknąć! Nie wolno ci nic mi zrobić i doskonale o tym wiesz! Dotknij mnie — tknij mnie choćby palcem! No już!

Mickey skinął trzy razy głową.

— Mam prawa! Mam jebane prawa człowieka i prawa plemienne i tylko mnie dotknij, jeden raz mnie dotknij, a jesteś skończony! Ty i ta głucha dziwka, która sprawiła, że mój syn jest głuchy! Przysięgam — dorwę was oboje!

Nie zauważyła, czy Mickey również skinął tym razem głową.

— Oszalałeś! Tam leży mój chłopak i jeśli wytlukłem z niego diabła, powinniście mi dać nagrodę!

Trzy skinienia głową?

— Jest moją żoną, próbowała mnie powstrzymać, ale nie byłoby to dobre dla małego, no nie? Co byś zrobił, gdyby twój syn miał w sobie diabła? Założę się, że nic, ty cioto!

Skinienie głową.

— Zasłużyła na karę. Upuściła na podłogę zassrane śniadanie i zasłużyła na karę. Co należy zrobić, jeśli kobieta rzuci o podłogę śniadaniem? Powiedzieć: „Dziękuję bardzo, żaden problem, zjem z dywanu”?

Mickey odwrócił się do jednego z funkcjonariuszy. Policjant miał okrągłą, pozbawioną wyrazu twarz o barwie sera, jego brwi były prawie niewidoczne, a oczy bezbarwne. Wyjął zza pasa pałkę i podał ją swojemu szefowi. Mickey zaczął uderzać nią we wnętrze dłoni i choć Holly nic nie słyszała, wiedziała, że rozlega się głośno: PLASK–PLASK–PLASK.

— I co zrobisz? — spytał Elliot Joseph, buntowniczo unosząc podbródek. — Uderzysz mnie? Tylko spróbuj, cioto! Mam prawa człowieka i prawa Wallowa.

Mickey tym razem nie skinął głową, musiał jednak coś powiedzieć, bo policjant z twarzą koloru sera nagle złapał Elliota Josepha za bandanę i odciągnął mu głowę do tyłu, a drugą ręką ścisnął go za gardło.

— Ssso obisz... nie ooe ooyaćć...

Mickey zrobił krok w prawo. Elliot Joseph próbował wyduć wargi, ale brakowało mu powietrza i nie był w stanie tego zrobić. Mickey zamachnął się pałką, zatrzymał rękę, po czym uderzył więźnia prosto w usta. Krew trysnęła na drzwi, a serowolicy policjant odsunął się, gdy twarz poplamiły mu czerwone kropki.

Kobieta z ekipy ratowniczej uniosła głowę i popatrzyła na mężczyzn przy drzwiach, nic jednak nie powiedziała.

— Dzieciak jest stabilny — poinformowała. — Chyba możemy go teraz przetransportować. Chcesz z nami jechać? — zapytała, zwracając się do Holly.

Trudne słowa w Doernbecherze

Zanim zjawił się doktor Sokol i powiedział, że Daniel przeżyje, dawno minęła piąta. Holly siedziała od trzech i pół godziny w poczekalni szpitala pediatrycznego imienia Doernbechera i pisała na laptopie raporty. Doktor Sokol był niewiele od niej starszy, miał ostrzyżoną do skóry głowę i modne okulary ze szklami bez oprawki. Przyszedł w zielonym operacyjnym stroju i wyglądał na mocno zmęczonego.

— Kilka razy było z nim naprawdę źle, ale przeżyje — powiedział.

— Jest bardzo niedobrze?

Lekarz wytarł kark ręcznikiem.

— Chyba nie może być gorzej. Miałem nieraz do czynienia z dziećmiakami potrąconymi przez samochód i były w lepszym stanie. Mały ma pękniętą czaszkę, złamany obojczyk, siedem pękniętych żeber, pękniętą kość biodrową, złamaną kostkę nogi, pękniętą śledzionę i uszkodzoną wątrobę. A także sporo innych ran i kontuzji.

— Powiedział pan, że będzie żył...

— Przeżyje, ale jest za wcześnie, by stwierdzić, czy w pełni wróci do zdrowia. W pierwszym rzędzie musieliśmy nieco zmniejszyć ucisk na mózg, bo zrobiła się opuchlizna, mam też obawy co do sprawności niektórych stawów w przyszłości. Ojciec musiał po nim skakać.

— Boże...

— I to wiele razy.

Holly nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Doktor Sokol przysiadł obok, oddychając jak człowiek, który próbuje odzyskać panowanie nad nerwami.

— Sądziłem, że wydziały do spraw dzieci są po to, by mieć oko na tego typu rzeczy — powiedział po chwili. — By dbać, żeby podobne rzeczy się nie zdarzały.

Holly odsunęła laptop.

— Robimy, co możemy, doktorze, mamy jednak bardzo ograniczone środki i możliwości. Prawo preferuje opiekę rodziców, a niełatwo określić, gdzie kończy się niedbała opieka rodzicielska i zaczyna czynne okrucieństwo.

— Niedbała opieka rodzicielska? Elliot Joseph od wielu lat ma psychozę alkoholową i naprawdę uważał, że jego dziecko opętał diabeł. Sądząc po stanie Daniela, musiał go przedtem wielokrotnie bić i biczować — przynajmniej przez kilka miesięcy. Jakiej wyraźniejszej definicji czynnego okrucieństwa pani potrzebuje?

— Był bity przedtem?

— Dość regularnie.

— Nigdy nie widziałam siniaków... a matka niczego nie zgłaszała.

— Sądziłem, że ludzie od was są wyszkoleni i umieją dostrzegać sygnały ostrzegawcze.

— Nigdy nie widziałam siniaków, nigdy! Boże drogi, uważa pan, że gdybym o czymś wiedziała, nic bym nie zrobiła?

Doktor Sokol przyglądał jej się przez długą chwilę, nic jednak nie powiedział. Widziała po jego oczach, że zbyt głośno krzyczała — a nieraz jej mówiono, że kiedy krzyczy, jej głos staje się jeszcze bardziej niewyraźny niż zwykle. Terapeuta, z którym ćwiczyła mówienie, powiedział kiedyś (i potwierdziła to Daisy): „Kiedy jesteś zdenerwowana, twój głos brzmi jak głos tonącego”.

Mount Hood

Deszcz powoli odpłynął na wschód i miasto zamigotało w mlecznym świetle słońca.

Holly stała w poczekalni przy oknie i patrzyła, jak Mount Hood wyłania się z chmur.

Góra znajdowała się pięćdziesiąt sześć mil na południowy wschód. Miała 11 235 stóp wysokości i była najwyższym szczytem w paśmie Cascade Range. Czasami wyglądała jak góra z japońskiego rysunku — zaśnieżona i uduchowiona, miejsce, gdzie zbierają się bogowie, kiedy indziej jednak sprawiała dość ponure wrażenie — jak ukształtowany w piramidę statek kosmiczny z *Gwiazdnych wrót*.

Ale bez względu na wygląd góry Holly zawsze czuła jej obecność i potęgę. Czasami, kiedy jeździły z Daisy na rowerach w Forest Park, stawała, osłaniała oczy dłonią i wpatrywała się w masyw, jakby mógł jej odpowiedzieć, dlaczego stało się z nią to, co się stało, i jaki czeka ją los.

George Szare Oczy pije *cappuccino*

Właśnie pakowała laptop i dokumenty, gdy w drzwiach poczekalni pojawił się George Szare Oczy.

— Holly? Cześć, byłem właśnie w Szpitalu Weteranów i Doug powiedział, że cię tu znajdzie. — Podszedł i objął ją. Miał ponad sześć stóp wzrostu, dłonie jak siedzenia traktora i w jego obecności Holly zawsze marzyła o szpilkach na sześciocalowym obcasie.

— Właśnie wychodziłam.

— Pielęgniarka opowiedziała mi o Danielu. — George zawsze mówił powoli, dzięki czemu bez trudu czytała z jego warg. — Chyba możemy podziękować naszym szczęśliwym gwiazdom, że draniowi nie udało się zabić chłopaka.

— Wydaje mi się, że nie jest to szczególny powód do wdzięczności.

George popatrzył na swój wielki zegarek.

— Co powiesz na podwiezienie mnie do miasta, za co zrewanżuję się kawą? Chyba powinniśmy o tym pogadać.

Wyszli ze Szpitala Pediatricznego imienia Doernbechera i pojechali do centrum. Znow zaczęło padać i szybę pokryły krople deszczu.

— Znając cię, jestem pewien, że się o to obwiniasz — mruknął George Szare Oczy.

Spojrzała na niego.

— A do kogo innego mogłabym mieć pretensję? Od dawna podejrzewałam, że Elliot Joseph bije żonę.

— Zapytałaś ją kiedyś o to wprost?

— Oczywiście, ale zaprzeczyła. Zawsze zaprzeczała, choć za każdym razem, kiedy do nich przychodziłam, zachowywała się trochę dziwnie, szczególnie wtedy, gdy Elliot krążył po mieszkaniu. Wiesz... czasami kobiety zaczynają bawić się biżuterią, nie chcą patrzeć ci w oczy i raz za razem powtarzają, że wszystko jest w porządku. Boże, pracuję w tym fachu już tyle lat... powinnam była zawierzyć swojej intuicji.

Nagle gwałtownie lunęło i ludzie na chodnikach zaczęli się chować po bramach.

— Po fakcie wszystko staje się jasne, Holly, zwłaszcza w twoim fachu — mruknął George.

— Muszę jednak uczciwie przyznać, iż nigdy nie podejrzewałam, że bije Daniela. Daniel zawsze wyglądał... no, może nie był zbyt szczęśliwy, to oczywiste, ale nie sprawiał wrażenia, że cierpi.

— Może po prostu się dystansował. Dzieci mają specyficzny sposób akceptowania różnych rzeczy... nawet dręczenia. W końcu nie mają wielkiego wyboru, prawda?

— Nigdy nie widziałam na jego ciele jakichkolwiek znaków. Nigdy.

— Cóż, Elliot musiał je sprytnie ukrywać, jak większość dręczycieli. Zazwyczaj biją w brzuch, wykręcają uszy lub smagają swoje ofiary po pośladkach drucianym wieszakiem do ubrań.

— Masz rację, ale wychodzi na to, że niedostatecznie przemyślałam sytuację. Nie zadałam sobie pytania, dlaczego Elliot bije Mary. Nie przyszło mi do głowy, że może chcieć ją w ten sposób trzymać z daleka od Daniela.

— Nie widzę powodu, dlaczego miałoby ci to przyjść do głowy. Jeśli można mieć do kogoś pretensję, to do mnie.

— Jak to?

— Wiedziałem, że Elliot słyszy głosy i ma psychotyczne przywidzenia dotyczące opętania przez demona. Spotkałem się już kiedyś z czymś takim u Indian. Mitologia plemienna miesza się z delirium.

George Szare Oczy miał czterdzieści jeden lat, wysokie kości policzkowe i klasyczne rzymskie rysy Nimipu — jak nazywali siebie Indianie Nez Perce. Błyszczące czarne włosy szeszył gładko do kołnierzyka koszuli i nosił wyłącznie trzyczęściowe garnitury, koszule z materiału w dwóch odcieniach oraz czarne buty, tak samo błyszczące jak jego włosy. Zamiast muchy nosił jednak srebrny naszyjnik z turkusowym Ptakiem Błyskawic.

Był starszym inspektorem NICW — Narodowego Stowarzyszenia Opieki nad Indiańskimi Dziećmi, które ma siedzibę w Portland i jest jedyną organizacją w USA, zajmującą się tymi sprawami. Zнали się z Holly od jedenastu lat i tak naprawdę to właśnie on namówił ją, by zatrudniła się w służbach opiekujących się maltretowanymi dziećmi. Przez lata współpracowali przy dziesiątkach przypadków, najczęściej zajmując się dziećmi, których rodzice (albo jedno z rodziców) siedzieli w więzieniu.

Holly i George'a łączyła nieczęsto spotykana nić porozumienia — była to chłodna i naturalna bliskość, która sprawiała, iż w zasadzie nie musieli się porozumiewać za pomocą słów. Jednym z głównych tego powodów była pospolitość tego, z czym spotykali się na co dzień: gwałtami, dokonywanymi przez ojców na własnych córkach, niemowlakami, przypalanymi przez własne matki papierosami, dwuletnimi dziećmi, głodzonymi i przetrzymywanymi w zamkniętych kredensach. W takich przypadkach same słowa rzadko wystarczają.

Holly zaparkowała naprzeciwko „Peet's Coffee House” przy Południowo-Zachodnim Broadwayu i schowani pod jej parasolem przebiegli ulicę. W kawiarni było ciepło i tłoczno i pachniało świeżo zmieloną kawą. Holly ujrzała kilka osób, które znała z Ośrodka Sprawiedliwości, więc pomachała im, po czym usiedli w rogu, pod oknem. Holly zamówiła aromatyzowaną migdałami kawę z mlekiem, a George *cappuccino* z dodatkową posypką. Na parapecie przy ich stoliku stał wazon z żółtymi różami.

Holly wsunęła palce we włosy.

— Boże... po raz pierwszy od ponad roku chce mi się palić...

— To nie była twoja wina, Holly. Uwierz mi.

— Nie, Michael Sokol miał rację: powinnam była dostrzec sygnały. Zawsze podejrzewałam, że Elliot może być agresywny, ale miałam dziesiątki przypadków, w których mężowie bywali agresywni... nawet w najbardziej szanowanych rodzinach... nigdy jednak nie ruszali dzieci. W ostatni piątek pewna kobieta wyznała mi, że jej mąż karał ją od lat, niemal rytualnie, za drobiazgi, których nie dopatrzyła — na przykład za to, że nie powiesiła w łazience nowej rolki papieru toaletowego albo nie wyprasowała koszuli, którą chciał włożyć. Dwa albo trzy razy w tygodniu zamykał ją w łazience, ściągał z niej ubranie i bił ją laską, a ona musiała błagać go o wybaczenie, że jest taką złą żoną... działo się to na północnym zachodzie, w najelegantszym domu, jaki widziałam w życiu, z sześcioma sypialniami, dwoma mercedesami w garażu i siedmioletnimi bliźniaczkami, za którymi pan domu świata nie widział.

George rozerwał torebeczkę brązowego cukru.

— Czasami nie da się odpowiednio odczytać sygnałów, bo nie wiadomo, co oznaczają. Dlatego mówię, że mnie też należałoby obwiniać. Byłem u Josephów siedem tygodni temu i powinienem był dostrzec, że Elliot ma omamy, a jego stan znacznie się pogorszył.

— Czytałam twój raport. I dlatego czuję się szczególnie winna.

— Hmm...nie ma potrzeby. Nie wiadomo było, czego dotyczą te omamy. Jak powiedziałem,

wielu Indian–alkoholików ma koszmary nocne, które są związane z prastarymi indiańskimi wierzeniami. Biali alkoholicy słyszą głosy i widzą chodzące po ścianach robaki i jest to wystarczająco przerażające, ale indiańscy alkoholicy widzą naprawdę straszliwe rzeczy — potwory i diabły z prastarych wierzeń Indian. Miałem kiedyś pacjenta, który twierdził, że prześladowało go Zabójcze Oko, samym spojrzeniem umiejące zatrzymać pracę serca człowieka, i innego, który był przekonany, że pod jego łóżkiem ukrywa się Niedźwiedzia Dziewczyna. Jest podobno cała pokryta czarnym włosom i jednym kłapięciem zębów może człowiekowi przegryźć kark. To, że Elliot Joseph uważał, iż jego syn został opętany przez indiańskiego diabła, wydaje mi się dość prawdopodobne, ale nie mam oczywiście pojęcia, o którego z nich chodzi...

— Powtarzał, że był czarny jak cień — powiedziała Holly.

— Więc mógł to być Kruk. Jest zazwyczaj ptakiem, może jednak przyjąć postać, jaką tylko zechce. Wedle legendy jest niezwykle przebiegły i niebezpieczny i żywi się padliną. No, ale niezależnie od tego, o jakiego diabła chodziło, najwyraźniej tak bardzo przestraszył Elliota, że uznał, iż nie ma wyboru i musi go wypędzić. Powinienem być przewidzieć taki rozwój wypadków i ostrzec cię przed tym. — George wziął łyżeczkę i zebrał z *cappuccino* piankę. — Holly, chcę powiedzieć jedno: przyznaję, że ty i ja jesteśmy po części oboje odpowiedzialni za to, co się stało, ale był to bardzo nietypowy przypadek, a my zachowaliśmy się zgodnie z procedurami. Nie powinniśmy brać na siebie całej winy.

— Ale mogłam go uratować. Trzeba było go widzieć, George. Był cały połamany... — Zdenerwowanie nie pozwoliło jej powiedzieć nic więcej.

George wyciągnął rękę przez stół. Na palcu prawej dłoni miał gruby srebrny sygnet z podobizną Wodza Patrzące Szkiełko.

— Holly, jest takie przysłowie Nimipu: „Każdy żyje w czyimś cieniu”.

Szczupły Mickey przychodzi na kolację

Kiedy zaparkowała w zaułku obok „Torrefazione”, z zaskoczeniem ujrzała zaparkowaną tam czarną aurorę. Gdy włożyła klucz do zamka, z wnętrza mieszkania doleciał do niej śmiech — Daisy i Mickeya — oraz odgłosy włączonego telewizora. Jej córka i Mickey siedzieli na kanapie, a Marcella siekała w kuchni cebulę.

— Mamo! — krzyknęła Daisy. — Wujek Mickey pomógł mi odrobić matematykę! Pokazał mi, jak mnożyć! To łatwe!

Holly pocałowała córkę, kątem oka zerkając na Mickeya.

— „Wujek Mickey”? Od kiedy jesteś mężem mojej siostry... zwłaszcza że nie mam siostry?

— Nnnnno... sądziłem, że zabrzmiało to bardziej rodzinnie... — mruknął.

— Rozumiem. — Holly zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i odłożyła laptop oraz aktówkę na krzesło przy drzwiach do kuchni. — Wracam ze szpitala. Życiu Daniela nie zagraża niebezpieczeństwo, ale mógł doznać trwałych uszkodzeń fizycznych i umysłowych. Jest jednak jeszcze za wcześnie, by wypowiedzieć się na ten temat.

— Słyszałem o tym. Między innymi dlatego wpadłem do ciebie. Nie jesteś na mnie z tego powodu zła? Jeśli przeszkadzam, już sobie idę.

— Obiecałeś zostać na kolacji! — zaprotestowała Daisy, skacząc na kanapie obok Mickeya. — Wujek Mickey może zostać na kolacji, prawda, mamo?

— Mhm... — Holly przycisnęła palce do czoła. — Jestem trochę zmęczona i spięta... Po tym, co się dziś stało...

— Nic nie mów. — Mickey wstał. — Rozumiem i przepraszam. Chyba zabrakło mi wyczucia. Ale pomyślałem sobie, że skoro już jestem w okolicy i mam kilka spraw, o których powinniśmy porozmawiać...

— Musisz zostać na kolacji — oświadczyła Daisy. — Obiecałeś...

Holly usiadła.

— Oczywiście, oczywiście. Możesz zostać na kolacji. — Podeszła do drzwi kuchennych i spytała: — Marcello, co dziś mamy?

— *Peperonata con carne di maiale*, wieprzowina z papryką.

— Brzmi doskonale — stwierdził Mickey. — Pozwoliłem sobie wziąć kieliszek wina. Też chcesz?

— Tak, oczywiście. Dziękuję. Daisy, mogłabyś iść pomóc Marcelli?

— A muszę? — Daisy oparła się o ramię Mickeya.

— Skarbie, proszę cię... chciałabym porozmawiać o pracy.

Mickey wziął duży kieliszek na długiej nóżce i nalał Holly czerwonego wina. Przez cały czas się jej przyglądał. Kiedy odstawił butelkę, spytał:

— O co chodzi?

— Dobrze wiesz. O to, co się dziś stało. O to, co zrobiłeś Elliotowi Josephowi.

— Przepraszam, nie nadążam...

— Mickey, wybiłeś mi zęby. Nie mogłam w to uwierzyć. Z rozmysłem wybiłeś mi zęby.

— Holly, ten człowiek to psychopata.

— Co nie daje ci prawa, żebyś też zachowywał się jak psychopata.

— Uderzył cię, na Boga! Gdybyśmy się spóźnili, mógłby cię zabić. Straciłem panowanie nad

sobą, to wszystko.

— Nie wyglądałeś, jakbyś stracił panowanie nad sobą. Wyglądałeś na zupełnie spokojnego.

— Kiedy przestaję nad sobą panować, zawsze sprawiam wrażenie spokojnego. Pozwalam sobie na ujawnianie emocji jedynie wtedy, kiedy Beavers przegrywają dwoma punktami.

— Mimo wszystko nie musiałeś wybijać mu zębów.

— Holly, zrozum... ten posraniec cię uderzył, zranił cię, a jeśli o mnie chodzi, każdy, kto zrobi ci krzywdę — ktokolwiek — musi za to zapłacić. Może jednak... — odstawił kieliszek i wstał — przychodzenie do ciebie dzisiaj nie było najlepszym pomysłem...

Daisy z niepokojem obserwowała go z kuchni. Holly wzięła głęboki wdech.

— Nie ma sprawy. Zostań. Jak mówiłam, jestem dziś dość spięta.

— Na pewno mogę zostać?

— Na pewno. Masz rację, ten człowiek mógł mnie zabić. Nie powiem, że akceptuję to, co zrobiłeś, ale cóż... chyba to rozumiem.

Mickey usiadł.

— Elliot ma sprawę jutro o jedenastej. Prokurator nie zgadza się na kaucję, bo uważa, że będzie w dalszym ciągu stanowił zagrożenie dla żony i syna oraz dla personelu wydziału do spraw dzieci.

— No dobrze... złożymy więc wstępny wniosek o objęcie Daniela opieką.

W kuchni Marcella smażyła paprykę, a Daisy wyszła ze sztućcami i zaczęła rozkładać je na stole. Marcella wystawiła głowę z kuchni i niemo poruszając ustami, poinformowała:

— Kolacja za dwie minuty, pani Summers!

— Dziękuję, Marcello — odparła Holly, po czym zwróciła się do Mickeya: — Coś jeszcze?

Mickey skinął głową.

— Na pewno ucieszy cię wiadomość, że zlokalizowaliśmy Merlina Kraussa. Jeden z naszych ludzi rozpoznał go wczoraj wieczorem w hotelu „Compass”.

— Dobra robota.

— I tak, i nie. W dalszym ciągu nie mamy pojęcia, kim jest zabójca ani kogo chce zabić — jeśli w ogóle chce kogokolwiek zabić — i na czyje zlecenie ma to zrobić. Dowiedzieliśmy się jedynie, że założył na Kearney firmę importowo—eksportową i prowadzi ją pod nazwiskiem John Betchovic.

— Zapraszam do stołu! — zawołała Marcella i Holly zamachała, by dać jej znak, że informacja dotarła do niej.

Mickey przysunął się do niej jeszcze bliżej.

— Z tego, co wiemy, Krauss nie zajmuje się narkotykami, przemyceniem broni ani niczym podobnym, robi jednak drobne przekręty. Unika na przykład płacenia podatku za importowane stroje sportowe, sprowadzając bluzy do Portland, a spodnie do San Diego. Ponieważ zdekompletowane stroje są niewiele warte, kupuje je na aukcjach Urzędu Celnego za grosze, kompletuje i drogo sprzedaje. Nie jest to legalne, ale Al Capone to on nie jest.

— Co mam zrobić?

— Skąd wiesz, że masz coś zrobić?

— Ponieważ wpadłeś tu nie po to, aby rozmawiać o Danielu Josephie ani pomagać Daisy w matematyce.

— No tak... Przyniosłem ci prezent urodzinowy! Przepraszam, że spóźniłem się o dzień.

Sięgnął po stojące na podłodze wielkie pudło, owinięte w błyszczący złoty papier i przewiązane brązową kokardą.

— Mickey, na Boga! Nie musiałeś...

— Oczywiście, że musiałem. Kocham cię bardziej niż wszystkich innych inspektorów od dzieci.

Weź to i rozpakuj.

— Dopiero wtedy, kiedy mi powiesz, co mam zrobić.

— Patrzysz przeze mnie na wylot. Oto ja — pan Pleksiglas.

— Znam cię wystarczająco długo.

— No dobrze... Merlin Krauss załatwia większość interesów w „Compassie”, w barze „Sternwheeler”. Rozmawiałem z barmanem i powiedział mi, że Krauss siedzi tam, jakby przyjmował petentów, a różni ludzie przychodzą i wychodzą. Chciałbym zabrać cię tam jutro po południu, żebyś spróbowała zobaczyć, co mówi.

— Mam o trzeciej spotkanie w Hawthorne.

— Nie da się go przesunąć?

— Nie. A jeśli to byłby następny Daniel Joseph?

— Na pewno znalazłbym sprawcę i wybił mu zęby.

Piękno świata

Po kolacji, kiedy Marcella pozmywała i poszła do domu, siedzieli w salonie i kończyli butelkę pinot-noir. Daisy siedziała tuż przy Mickeyu i Holly czuła, że małej bardzo się podoba obecność mężczyzny w domu. David zginął, kiedy Daisy miała trzy latka, więc ledwie go pamiętała — mimo to trzymała przy łóżku jego wyblakłe zdjęcie i zawsze opowiadała przyjaciołom o okresie, „kiedy mój tata zabierał mnie na długie spacerzy”, i o tym, że „tata zawsze pozwalał mi jeść tyle cukierków, na ile miałam ochotę”. Holly nigdy jej nie mówiła, że „długimi spacerami” była jedna jedyna przechadzka w sierpniu ulicami Hoyt i Irving, a góry cukierków składały się z jednej torebki M&M.

— Wstawaj, Daisy, czas spać — powiedziała wreszcie.

— Nie mogę dziś dłużej nie spać?

— Masz jutro rano szkołę, a ja muszę iść do sądu.

— Ale przecież przyszedł wujek Mickey...

— Wiesz co? — wtrącił Mickey. — Jeśli zaraz pójdziesz spać, opowiem ci historię. To stara, bardzo stara historia, którą opowiadała mi mama, babcia opowiadała ją mojej mamie, a prababcia babci. Być może jest najstarszą historią świata — jeśli nie liczyć tej, którą zawsze opowiadam, kiedy spóźnię się do pracy.

Usiadł na skraju łóżka Daisy, a Holly musiała dzielić sosnowy bujany fotel z mniej więcej piętnastoma Barbie o kanciastych kolanach i ostrych łokciach. Czuła się coraz bardziej zmęczona, od dawna jednak nie widziała Daisy tak szczęśliwej, zmusiła się więc do uśmiechu. Oczy córki błyszczały w świetle przyłóżkowej różowej lampki z falbankami.

— Jest to historia o samotnym królu, który szukał królowej — zaczął Mickey. — Pewnego zimowego dnia jechał na koniu — KLIPETY-KLAP KLIPETY-KLOP — przez las. Ziemię pokrył śnieg, a kiedy król dotarł do polany, nadleciał kruk i usiadł na ostrokrzewie — KRA! KRA! — i zaczął dziobać czerwone jagody. Samotny król powiedział: „Nie spocznę, dopóki nie znajdę królowej o włosach czarnych jak kruce skrzydła, policzkach białych jak śnieg i ustach czerwonych jak te jagody”. Potem pojechał dalej — KLIPETY-KLAP KLIPETY-KLOP — i po jakimś czasie dotarł do cmentarza. Przed bramą czterech ludzi siedziało przy otwartej trumnie — leżał w niej martwy mężczyzna, którego twarz przysypywał śnieg. „Dlaczego go nie pochowacie?” — spytał samotny król, a wtedy mężczyźni jęknęli: „UUUUU, nie mamy dość pieniędzy na pogrzeb!”. Samotny król powiedział: „Trzeba go pochować, tak każe zwyczaj” — i położył na piersi zmarłego pięć złotych monet, po czym — KLIPETY-KLAP KLIPETY-KLOP — odjechał. Jechał i jechał, a kiedy zapadła noc, stwierdził, że musi znaleźć miejsce na nocleg. Po chwili zobaczył, że ktoś macha latarnią w ciemności. Był to odziany w skóry rudy mężczyzna z workiem na plecach. Rudzielec powiedział: „Panie, wiem, gdzie możesz tej nocy wypocząć, a także znaleźć to, czego pragnie Twoje serce”. Samotny król poprosił go, by wspiał się na jego konia, i człowiek ów zaprowadził go do stojącego na brzegu morza wysokiego, zrujnowanego zamku. Zapukali do wrót — PUK STUKU PUK — i otworzył im stary król z długą siwą brodą, który zaprosił ich do środka i zaoferował im nocleg i pieczone mięso na kolację. Podczas gdy samotny król i rudy mężczyzna jedli, po schodach, drobnymi kroczkami — TRIPITI TIP — zesła przepiękna dziewczyna o włosach czarnych jak skrzydła kruka, policzkach białych jak śnieg i ustach czerwonych jak jagody ostrokrzewu. Samotny król — JUHU! — zakochał się od pierwszego wejrzenia. Zapytał starego króla, czy może prosić o rękę jego córki, i stary król się zgodził, dziewczyna jednak powiedziała: „Dostaniesz mnie, jeśli przechowasz

bezpiecznie ten grzebień oddasz mi go rano”. Dała samotnemu królowi srebrny grzebień, który samotny król schował do kieszeni. Kiedy wszyscy szykowali się do spania, rudy mężczyzna spytał: „Masz grzebień, panie?” — a kiedy samotny król przeszukał kieszenie, okazało się, że są puste. Udał się do łóżka bardzo zdenerwowany i tak bardzo rozpaczał, że zmoczył całą poduszkę. Płaksa była z niego czy co? Rudy mężczyzna otworzył swój worek i wyjął z niego ciemną pelerynę, miękkie buty i miecz z błyszczącego białego światła. Na paluszkach zszedł schodami na dół i zobaczył, że córka starego króla wychodzi z zamku z grzebieniem w rękach. Poszedł za nią nad brzeg morza, gdzie dziewczyna — PLUSK! — wrzuciła do morza muszlę, która zamieniła się w łódź. Rudy mężczyzna zrobił to samo — PŁASK! — i powiosłował za nią do skalistej wyspy. Na wyspie, obok migoczącego ogniska, siedział gigant. Dziewczyna dała mu grzebień i powiedziała: „Zamknij grzebień w swojej skrzyni i przechowaj go dla mnie”. Gigant wrzucił grzebień do skrzyni na kosztowności, ale rudy mężczyzna wyłowił go stamtąd czubkiem swojego świetlistego miecza, zanim gigant zamknął skrzynię, i powiosłował na ląd. Rano samotny król przyniósł córce króla srebrny grzebień, a wtedy ona tak się wściekła, że zaczęła — SZAST! PRAST! TRACH! BUM! — rzucać stojącymi na stole talerzami, po czym oświadczyła: „Dostaniesz mnie, jeśli przechowasz bezpiecznie te nożyczki i oddasz mi je rano”. W nocy samotny król znów stwierdził, że nożyczki zniknęły z jego kieszeni. BUU–HUHU! BUU–HUHU! Rudy mężczyzna znów jednak założył czarny płaszcz i miękkie buty i podążył za córką króla na brzeg, a potem powiosłował za nią na wyspę. Złapał nożyczki czubkiem miecza w chwili, gdy gigant wrzucał je do skrzyni, i zawiózł samotnemu królowi. Rano córka starego króla była tak wściekła, że potłukła wszystkie talerzyki, jakie stały na stole, połamała też wszystkie krzesła — TRZASK! BUM! ŁUBUDU! — i wyrzuciła przez okno całe opakowanie chipsów. Trzeciego dnia oświadczyła samotnemu królowi: „Wyjdę za ciebie rano za mąż, jeśli przyniesiesz mi ostatnie usta, które dziś wieczorem pocałuję”. Samotny król uznał, że zadanie jest niewykonalne, ale się zgodził. W nocy rudy mężczyzna znów założył pelerynę i miękkie buty, podążył za córką króla na brzeg i popłynął za nią na wyspę. Królowna powiedziała do giganta: „Pocałuj mnie — niech twoje usta będą ostatnimi, jakie pocałuję dziś wieczorem”. Kiedy wyruszyła na ląd, rudy mężczyzna wyjął miecz z białego światła i jednym cięciem — CIAAAACH! — odrąbał gigantowi głowę. Wrzucił ją do worka i zawiózł samotnemu królowi, który schował go pod łóżko. Rano królowna stwierdziła: „Nie sądzę, byś miał ostatnie usta, które całowałam wczoraj wieczorem”, ale samotny król rzucił głowę giganta na stół i oświadczył: „Oto one, były wystarczająco obrzydliwe?”. Córka króla zaczęła — TRZASK! TRZASK! TRZASK! — rozbijać wszystkie talerzyki, jakie stały na stole, a potem wyrzuciła przez okno tace smażonych jajek i kota. Dała jednak słowo i musiała wyjść za samotnego króla. Rudy mężczyzna powiedział wtedy: „Wyprowadź ją na dwór, przywiąż między dwoma drzewami i bij gałęziami, bo ma w sobie sześć diabłów”. Tak też samotny król zrobił i kiedy zaczął smagać córkę starego króla, z jej ust wyleciały z łoskotem wielkie kule ognia. Gdy ogień zgasł, stała się najśłodszą dziewczyną na świecie, więc samotny król uwolnił ją i wzięli ślub. Potem powiedział do rudego mężczyzny: „Muszę cię wynagrodzić za to, co zrobiłeś” — ale on odparł: „Już to zrobiłeś. To ja leżałem martwy w trumnie, bez pochówku, a ty zapłaciłeś za mój pogrzeb, i teraz tylko ci podziękowałem...”.

Daisy wpatrywała się w matkę.

— Rany... ale straszne...

Prezent od Mickeya

Kiedy wrócili do salonu, Holly zdjęła buty i usiadła na kanapie, podwijając nogi pod siebie.

— No, no, niesamowita historia — mruknęła.

— To była i tak skrócona wersja. Kiedy moja babcia ją opowiadała, trwało to całą noc: giganci skakali przez więzienne kraty, przecinając się na pół, pojawiały się wściekłe gobliny, gadające ryby i Bóg wie co jeszcze.

— Daisy była zachwycona. Świetnie sobie z nią poradziłeś.

— Też mam córkę, choć nie bardzo wiem, gdzie teraz przebywa. Jest nieco starsza od Daisy.

— Nie wiedziałam.

— Byłem przez pięć lat żonaty. No... cztery i pół.

— Widywałeś potem swoją żonę?

Mickey pokręcił głową.

— To był mało sympatyczny rozwód. Wrzaski, rękoczynny, potłuczone talerze i tak dalej.

— I wyrzucane przez okno chipsy?

— Też. A także koty i smażone jajka. W końcu uznałem, że dla Jessiki najlepiej będzie, jeśli się elegancko wycofam.

— Nie chciałam cię wypytywać.

— Nie ma sprawy. Przestałem się już tym przejmować.

— Myślałeś kiedyś o następnym małżeństwie?

— Musiałbym znaleźć odpowiednią kobietę. Włosy jak skrzydła kruka, policzki jak śnieg, usta czerwone jak jagody ostrokrzewu. Proszę... — podał jej pudełko z prezentem. — Dlaczego nie otworzysz? — zapytał po chwili.

— Już otwieram — odparła Holly i zaczęła rozsypywać wstążkę. Ostrożnie zdjęła papier, otworzyła pudełko i odsunęła czarną bibułkę w środku. Wyjęła przezroczyste body z czarnej koronki, ozdobione czarnymi chryzantemami.

— Jestem... zaskoczona.

— Spokojnie, nie ma w tym żadnej aluzji. Nie chcę przez to powiedzieć, że chciałbym cię w tym oglądać. Zobaczyłem to w „Nightshades” i pomyślałem: no cóż, może? Kupując, myślałem tylko o twojej przyjemności.

Holly pokręciła głową.

— Jak mogłabym przyjąć coś takiego? Takie rzeczy faceci kupują kochankom.

— Nic na ten temat nie wiem. — Popatrzył na nią tym swoim wzrokiem zranionego jelenia. — Dlaczego po prostu tego nie przyjmiesz? Dlatego, że uważam cię za seksowną kobietę?

— Uważasz, że jestem seksowna, kupujesz mi coś takiego i nie zastanawiasz się, czy kiedyś mnie w tym zobaczysz?

Zamachał dłonią, jakby chciał odgonić muchę.

— Zapomnijmy o tym. Jeśli ci się nie podoba...

— Ależ nie... chodzi tylko o to, że jeszcze nigdy nikt mi czegoś takiego nie kupił. David kupował mi książki kucharskie, ludowe serwety i wyroby sztuki indiańskiej.

— Mam rachunek, więc...

— Nie! Zatrzymam to. Będę nosiła. Bardzo mi się podoba. Naprawdę.

Dopił wino.

— Powiesz mi, kiedy będziesz to miała na sobie?

— Hmm... — mruknęła z zażenowaniem, przyciskając body do piersi. — Może...

Przy drzwiach wejściowych ujął ją delikatnie za łokieć i pocałował w usta.

— Dzięki za wieczór. Świetne jedzenie, wspaniała rodzina — czego więcej może chcieć facet?

— Zobaczymy się jutro w sądzie.

— Oczywiście.

Zszedł na dół, unosząc po drodze dłoń nad głowę w parodii salutu. Holly wróciła do mieszkania i zamknęła drzwi, po czym długo stała na środku salonu i przyciskała palce do ust, zastanawiając się, co powinna czuć.

Znak

W nocy miała mroczny, pokrętny sen — plątała się w sieciach i wokół niej kłębiły się węże, a jej szarpanina przyciągnęła uwagę jakiegoś straszliwego stwora, który zaczął się do niej zbliżać wielkimi skokami — było to coś czarnego i potwornego, coś, co sprawiało, iż sieci oplatające Holly drżały i bujały się na boki.

Rano, o wpół do ósmej, kiedy podniosła żółte jak żonkile zasłony w oknach, słońce właśnie pożerało najwyższe zbocza Mount Hood. Góra wyglądała na daleką i tajemniczą — niczym niedokończona piramida na tylnej stronie dolarowego banknotu.

Pomyślała, że to znak. Nie była jednak w stanie nawet spróbować sobie wyobrazić, czego.

Kiedy Daisy jadła płatki, Holly czesała jej włosy.

— Lubię wujka Mickeya — oświadczyła z pełnymi ustami mała, machając nogami pod stołem.
— Czy dziś też przyjdzie na kolację?

— Nie sędzę, słoneczko. Jest bardzo zajęty.

— Obiecał mi opowiedzieć jeszcze jedną historię, o syrenie. Ta z samotnym królem, ciemną peleryną i miękkimi butami bardzo mi się podobała. Chciałabym mieć miękkie buty.

— Jeśli się z nim dziś zobaczę, zapytam.

— Ma telefon komórkowy. Dał mi numer na wypadek, gdybym kiedyś potrzebowała jego pomocy.

Holly nie mogła zapleść córce warkoczyków. Nie wiadomo dlaczego zapomniała, w jakiej kolejności przekładać pasemka włosów. Zaplotła kawałek warkocza i musiała przerwać. Czuła się jak człowiek, który widzi dobrze znajomą twarz, ale nie może przypomnieć sobie nazwiska tej osoby.

Po chwili spróbowała ponownie, ale tylko poplątała Daisy włosy. Kiedy próbowała je rozczesać, mała wrzasnęła:

— Aaaa! To boli!

— Przepraszam... chyba będziesz musiała iść do szkoły z włosami przewiazanymi wstążkami.

— Nie chcę wstążek! Nie lubię wstążek, są dziecinne!

— Nie mam czasu zaplatać ci warkoczy. Muszę być o wpół do dziewiątej w sądzie.

— Nie pójdę ze wstążkami!

— No to idź bez wstążek. Gdybyś nie miała tak długich włosów, nie musiałabyś ich wiązać ani splatać!

— Barbie ma długie włosy! Barbie zawsze ma długie włosy!

Holly rzuciła grzebień na stół. Pieprzę Barbie, pomyślała. Czuła się dziwnie zdezorientowana — tak bardzo, że musiała stanąć przy oknie salonu i zacząć głęboko oddychać.

Obiekt pożądania

Korytarze sądu były pełne ludzi, panował straszny hałas, a ludzie pędzili we wszystkie strony jak w odcinku *Hill Street Blues*. Wysokiej rangi urzędnik wydziału planowania przestrzennego Portland został oskarżony o przyjęcie od bogatego miejscowego developera łapówki w postaci luksusowego bmw i trzytygodniowych wakacji na Oahu i marmurowe korytarze dudniły od wywrzaskiwanych przez dziennikarzy pytań oraz odgłosów kroków.

Doug czekał na Holly przed wydziałem dla nieletnich — razem z adwokatem w okularach, który miał krawat Stowarzyszenia Multnomah Bar, a na nosie napuchnięty, czerwony wągier.

— Znasz Rona Williama? — spytał Doug.

— Jasne. Jak leci, Ron?

— Świetnie, dzięki. Nie myślałem, że będą z tym przypadkiem jakiegokolwiek problemy. Doktor Sokol z samego rana przesłał wszystkie potrzebne dane medyczne i zdjęcia rentgenowskie. Przewodzi sędzia Yelland, a ona uważa, że rodzice nie powinni nawet patrzeć na dzieci ze zmarszczonym czołem... nie wspominając o skakaniu po nich.

— Na którą godzinę wyznaczono sprawę?

— Przed nami są tylko dwa przypadki. Sprawa Thompsona może trochę potrwać. Facet ścisnął dziecku głowę w imadle, ale twierdzi, że to była tylko zabawa na przyjęciu... zabawa, która się nie udała. Wiecie, o co chodzi: dla rozrywki spłaszcza się dziecku głowę, a potem goście zgadują, kto to jest. — Ron pociągnął nosem i popatrzył na zegarek. — Powiedzmy... trzy kwadranse.

— No to idę po kawę — oświadczyła Holly.

Kiedy schodziła do głównego holu, spotkała na schodach George'a Szare Oczy.

— Nie wiedziałam, że tu będziesz...

George miał na sobie elegancki granatowy blezer i pachniał wodą toaletową Tommy'ego Hilfigera.

— Wolałem trzymać rękę na pulsie, to wszystko. Nie chcę, aby pod jakimkolwiek względem można nam było zarzucić niedbałość... ani wydziałowi do spraw dzieci.

— To będzie zwykła formalność.

— Na pewno, ale znasz mnie. Nie lubię niespodzianek. Kiedy ostatni raz Indianie uwierzyli białemu człowiekowi na słowo, stracili dziewięćdziesiąt procent Oregonu.

Zeszli do kafejki i usiedli przy stoliku w kącie. Po przeciwległej stronie sali czterech młodych adwokatów i stażystka pochylali się nad stertą papierów, najwyraźniej próbując ustalić warunki ugody rozwodowej, zanim sprawa dotrze przed oblicze sędziego.

— ...może moglibyśmy coś odpuścić w sprawie wspólnego domu. Proponujemy sześćdziesiąt pięć — trzydzieści pięć, więcej nie możemy dać.

— A co z domkiem weekendowym?

— Te same warunki.

— Moja klientka nie pójdzie na to. Chce go mieć tylko dla siebie. Czy jego propozycja oznacza, że będą tam mieszkali na zmianę?

— Musimy wyciągnąć wnioski ze sprawy z Danielem — powiedział George. — Może powinniśmy wprowadzić regularne spotkania moich i waszych ludzi, aby mogli się wymieniać podejrzeniami co do grożącego dziecku ryzyka, wszelkiego rodzaju przecuciami — medycznej albo kulturowej natury, popartymi przez dowody albo i nie. No wiesz, żeby złapać byka za rogi, zanim coś

się stanie, a nie po fakcie.

— Masz rację — odparła Holly.

Z chęcią by wysłuchała, co George ma do powiedzenia, ale równocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że cokolwiek się zaproponuje, niewiele to da. Żadne spotkania nie powstrzymają rodzica przed przytoczeniem się do domu po pijaku, na haju albo po prostu wyżyciem się na bezbronnym dziecku, kiedy jest na coś wściekły. Poza tym z jakiegoś powodu nie umiała oderwać się od rozmowy, prowadzonej w przeciwległym końcu sali.

— To bardzo zdezorientuje dzieci — powiedział jeden z adwokatów — jeśli pierwszy tydzień sierpnia spędzą z mamą i jej partnerem, a drugi w tym samym miejscu z tatą i elegancką osobką, jaką zechce mu się akurat przywieźć. Rozmawiamy nie tylko o braku morale... mówimy o sypialnianej farsie...

— Może więc powinni sprzedać domek i podzielić się pieniędzmi?

— Mowy nie ma. To nieodzowny element życia dzieci. Mój klient uważa, że już dość wycierpiał, tracąc ojca. Nie chce zaburzać ich rozwoju emocjonalnego.

— Boże... nie miałem nawet chatki na drzewie, a czy wyglądam na zaburzonego?

Dwóch adwokatów i stażystka wstało i wyszło z kafejki — najwyraźniej udając się na konsultację z klientem. Pozostałych dwóch czekało. Siedzieli rozparci na krzesłach, jeden z nich odłamywał rogi herbatników i pogryzał je jak wiewiórka.

— Niełatwo jest mi wyjaśnić, jak bardzo dla większości amerykańskich Indian liczą się duchy... nawet do dziś. Duchy wody, duchy wiatru, duchy skał i drzew. W pewnym sensie obecnie są dla nich ważniejsze niż kiedykolwiek, ponieważ stanowią jedyne ogniwo, jakie łączy nas z naszymi przodkami i krajem, który kiedyś do nas należał.

Jeden z adwokatów trącił kolegę.

— Zobacz tego Indianina... znasz go?

— Widziałem go parę razy. Wielki Wódz Srebrna Taca, z Towarzystwa Rdzennych Amerykanów. Wygląda jak szlachetny dzikus, ale to piła i pedant.

— A co z jego towarzyszką?

— Sprawdziałem ją kiedyś. Pracuje w opiece nad dziećmi. Ekstra balony. Nieźle mnie kręca. Sukienka szyta na miarę i ekstra balony. Do tego ładne nogi. Naprawdę ładne.

— Jak sądzisz, nadałaby się na przyjęcie dla staruszków? Popatrz na te usta... wygląda, jakby je wydymała, żeby zrobić człowiekowi laskę.

— Ona? Jaja sobie robisz?

— No, toby było nieźle wyzwanie, co? Ktoś taki jak ona... Drugi adwokat uśmiechnął się z niedowierzaniem i pokręcił głową.

— Naprawdę. Toby było wyzwanie! Powiem ci, co zrobię: spróbuję to załatwić. To byłby numer, mówię ci! Pani inspektor z opieki nad dziećmi na prywatce dla staruszków!

George dotknął jej ramienia.

— Holly... Holly — słuchasz mnie?

— Przepraszam cię, George. Chyba trochę się zdekoncentrowałam.

— Znów czytałaś z ust? Pamiętaj, że to dar, nie prawo. — Wiem, George. Przepraszam. Co mówiłaś o tych spotkaniach?

Doug przyszedł dwadzieścia pięć po jedenastej, by powiedzieć, że zaraz zacznie się sprawa Josephów. Kiedy wychodzili z kafejki, obaj adwokaci obrócili się wraz z fotelami, by przyjrzeć się Holly. Spojrzała w ich kierunku i jeden z nich pomachał jej.

— Ekstra tyłek. Ja cię kręcę, stary... — powiedział drugi.

Przekleństwo Kruka

Przesłuchanie trwało niecałe cztery minuty. Sędzia, siwowłosa Imogene Yelland, natychmiast wyraziła zgodę na złożenie wniosku o przejęcie kurateli sądowej nad Danielem Josephem, zarządzając równocześnie przeprowadzenie pełnego wywiadu środowiskowego oraz badań psychiatrycznych Elliota i Mary Josephów.

Adwokat Elliota Josepha wstał, by zaprotestować, argumentując, że jak na razie nikt nie został skazany za bicie Daniela Josepha.

— W domach zdarzają się różne wypadki i sądy rozpatrywały mnóstwo spraw, w których okazało się, że rodzice zostali niesprawiedliwie oskarżeni o znęcanie się nad dziećmi.

Sędzia Yelland popatrzyła na niego, jakby się obnażył.

— Mam nadzieję, iż nie sugeruje pan, panie Leiderman, że obrażenia Daniela Josepha były w jakimkolwiek stopniu spowodowane jego własnym działaniem?

— Chciałem... eee...

— Panie Leiderman, jeśli jest pan w stanie ściągnąć spodnie do kostek, a następnie skoczyć sobie siedem razy na brzuch, chętnie bym na to popatrzyła...

Nikt się nie roześmiał, a obrońca oskarżonego poczerwieniał i usiadł.

— Następną sprawą! — oznajmił woźny sądowy.

George popatrzył na Holly i z ulgą wydał policzki. Sędzia Yelland nie skomentowała faktu, że ani NICW, ani wydział do spraw dzieci nie przewidziały tego, co się stało. Oczywiście wątek ten mógł się jeszcze pojawić — na procesie Elliota Josepha.

— Spotkamy się za minutę — powiedziała bezgłośnie Holly i klepnęła George'a w ramię.

Wyszła z wydziału do spraw nieletnich i poszła po odbijającym jej kroki marmurze do budynku głównego. Przed drzwiami sali numer 3 znalazła detektywa Farranta — czytał wiadomości sportowe i żuł gumę, szeroko otwierając usta.

— Jest tu gdzieś Mickey?

Farrant skinieniem głowy wskazał wielkie drzwi.

— Właśnie wszedł tam w sprawie Josepha. A tak poza tym... co mu wczoraj wieczorem zrobiłaś?

— Ja? Jak to?

— Zachowywał się rano, jakby płynął na chmurze. Nawet kupił mi pączka.

— Wpadł do mnie na kolację, to wszystko. Może przypominałam mu, jak to jest być ludzką istotą.

— Mickey'owi? Wątpię.

Woźny sądowy otworzył drzwi i Holly wślizgnęła się do sali. Mickey siedział za asystentem prokuratora okręgowego i skrobał coś w notesie, podczas gdy przydzielony Elliotowi Josephowi adwokat z urzędu składał mocno naciągany wniosek o zwolnienie za kaucją.

— Ten człowiek jest od dzieciństwa ofiarą bezlitosnej dyskryminacji i zgubnych przesądów etnicznych, które złamałyby każdego człowieka. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku był traktowany jako odmieniec i wyrzutek w kraju, który kiedyś należał do jego przodków. Nie jest najmniejszym zaskoczeniem, że doprowadzono go do szaleństwa i zaczął na ślepo uderzać w to, co ze zrozumiałych względów uważał za złego ducha, który sprawił, iż całe jego życie stało się pozbawione celu i straszliwie nędzne — i w końcu jego zdaniem zagroziło w taki sam sposób jego

jedynemu synowi...

Kiedy Holly ruszyła w kierunku przednich ławek, Elliot Joseph odwrócił głowę, by sprawdzić, kto idzie. Ubrany był w jaskrawopomarańczowy więzienny kombinezon, jego siwe włosy sterczały na wszystkie strony, oczy wyglądały jak przecięte na pół bakłażany, a usta miał opuchnięte. Gdy Holly szła na swoje miejsce, cały czas się w nią wpatrywał.

— Co słyhać? — spytał bezgłośnie Mickey, kiedy usiadła.

— Jest dobrze. Sędzina Yelland przyjęła wniosek o kuratelę sądową.

— Coś nowego na temat dzieciaka?

— Stan krytyczny, ale stabilny. Martwią się o jego lewe oko. Oderwanie siatkówki.

— Powinienem mocniej przyłożyć temu draniowi.

Holly popatrzyła na notes Mickeya. Naszkicował górę, otoczoną burzowymi chmurami i porośniętą sosnami, po której zboczach biegały ludziki.

— Co to?

Odwrócił notes rysunkiem do dołu, jakby się zawstydził.

— Nic. Marzą mi się wakacje.

— Zobaczymy się potem. O której mam być w „Compassie”?

— Jeśli zdążysz, wpół do piątej. Będę czekał na zewnątrz, w samochodzie.

Adwokat Elliota Josepha skończył i usiadł. Sędzia, Walter Boynton, był łagodnym, pociągającym nosem siwym mężczyzną z wielkimi uszami. Przypominał Holly aktora Raya Walstona, który grał w telewizji w *Moim ulubionym Marsjaninie*. Wydmuchał nos w wielką białą chustkę, dokładnie go wytarł, a potem przemówił:

— Odmawiam kaucji. Oskarżony zostanie zatrzymany w areszcie w Zakładzie Penitencjarnym Hrabstwa North do chwili, aż zostanie wyznaczona data procesu.

Holly popatrzyła na Elliota. Coś mówił, ale ponieważ miał opuchnięte wargi, trudno jej było z nich czytać. Bez najmniejszej wątpliwości mówił jednak do niej. Patrzył prosto na nią i dla podkreślenia swoich słów rytmicznie podrzucał głową.

— ...bądź pewna, że po ciebie przyjdzie... możesz uciekać szybko jak chcesz, głucha dziwko, ale gdziekolwiek się schowasz, przyjdzie po ciebie... i rozerwie cię na strzępy... przysięgam na życie mojego chłopca...

Holly uniosła rękę tak, by zasłonić Elliota.

— Coś się stało? — spytał Mickey.

— Nie, nic... chyba ta sprawa za bardzo mnie wzięła, to wszystko.

Ujął jej dłoń i dodał lekkim uściskiem otuchy.

— Nie martw się. Uważasz, że zbyt brutalnie potraktowałem tego śmiecia? Zaczekaj, aż trafi do więzienia. Ci, co tam siedzą, mają specjalne powitanie dla tych, co biją dzieci. Lewatywę z żywego szczura. Głodnego szczura.

— Mickey...

— Przepraszam. To co — widzimy się o trzeciej?

Kiedy Holly wychodziła z sądu, odprowadzano Elliota Josepha do celi. Popatrzyła na niego i zanim przepchnięto go przez drzwi, zdążyła dostrzec, że układa usta w słowo „kruk” — raz za razem. KRUK–KRUK–KRUK, a za każdym „krukiem” potrząsał głową tak, jak szaman potrząsa swoją laską.

Różne kształty strachu

Holly i George pojechali do pracy tramwajem. Był zatłoczony i musieli stać w przejściu i trzymać się zwisających uchwyty, a Holly o mało się nie udusiła z powodu stojącego obok mężczyzny w bujającej się na boki wełnianej czapce i wielkiej puchowej kurtce. Dzień był bardzo mroczny i trudno było uwierzyć, że jest wpół do dwunastej w południe. Temperatura gwałtownie spadała.

— Jakby zbliżał się koniec świata... — mruknął George.

— Opowiedz mi o Kruku — poprosiła Holly.

— O Kruku? Z jakiegoś konkretnego powodu?

— Chciałabym zrozumieć, dlaczego Elliot zrobił to, co zrobił.

George wzruszył ramionami.

— Jeśli naprawdę uważał, że Daniel został opętany przez Kruka, mógłby obwinać biednego dzieciaka o wszystko, co mu w życiu nie wyszło. Jak mówiłem, Kruk to padlinożerca, który odbiera ludziom szczęście. Wrywa je kawałek po kawałku. Najpierw zabiera środki do życia, potem dom, następnie tych, których kochamy, na koniec szczęście. Kiedy człowiek straci całe szczęście, zabiera ciało, rozrywa je na strzępy i karmi się rozpaczą swej ofiary. Istnieją dziesiątki — ba, nawet setki — opowieści o Kruku, ale każda z nich mówi, że rozkwita z powodu ludzkiego nieszczęścia.

— Mówiłeś, że może przybierać różne postacie.

— Zgadza się. — George pochylił głowę, by sprawdzić, gdzie się znajdują. — Zazwyczaj wygląda jak wielki, czarny ptak. Czasami nie ma dzioba, bo niektóre opowieści mówią o tym, że kiedyś zamienił się w mężczyznę i próbował ukraść rybakom ryby, ale okazali się zbyt silni i oderwali mu szczękę. Najczęściej jednak przybiera postać kogoś, kogo się zna, czasem nawet kogoś, kogo się naprawdę lubi. Czasami jest tylko cieniem, kotem, psem. Ale może być też przedmiotem nieożywionym — na przykład krzesłem.

— A czy może być nasłany na człowieka przez innego człowieka? No wiesz, jeśli ktoś bardzo kogoś nie lubi i chce, aby ta nielubiana osoba utraciła szczęście — czy może poprosić Kruka, by mu je odebrał?

— Dziwne pytanie.

— Jestem ciekawa, to wszystko.

— Masz na myśli kogoś konkretnego? Chyba nie Lutza z księgowości, o którym opowiadałaś? Tego, który ciągle podchodzi, kiedy jesteś przy lodówce, i chucha na ciebie cebulą.

Holly uśmiechnęła się blado.

— Nie, nie. Nie myślałam o tym, by spróbować samej, zastanawiałam się tylko, czy legenda mówi także o tym, że można przysłać Kruka do innej osoby — z zemsty albo innego powodu...

— Przepraszam cię, ale muszę wysiadać. Jeśli chcesz, skończymy tę rozmowę innym razem.

— Wsiądę z tobą. Przejdę resztę drogi na piechotę.

Kiedy wysiedli, tramwaj zadzwonił, podwójne drzwi zamknęły się i buczał — choć dla Holly odbywało się to w zupełnej ciszy — wagon zaczął oddalać się w kierunku dystryktu Pearl. Wiatr się nasilał i szyldy kawiarni oraz księgarni zaczynały się bujać. Holly musiała naciągnąć głębiej na głowę czarny берет i zapiąć pod szyją długi czarny płaszcz. Wzięła George'a pod rękę.

— O ile wiem, można prosić Kruka o przysługę wyłącznie wtedy, gdy rozpoznało się jego kamuflaż i przyłapało go, zanim zdążył przemienić się z powrotem w ptaka i odlecieć.

— Tak jak Elliotowi Josephowi w przypadku Daniela?

— Zgadza się.

— Czyli Elliot Joseph mógłby kazać Krukowi znaleźć kogoś z nas?

— Zgodnie z legendą — tak. Ale zaraz — hej! — to tylko legenda!

Holly zatrzymała się. Po drugiej stronie ulicy, przed antykwariatem Bellmana, stał srebrny porsche spyder z opuszczonym dachem. Wpatrywała się w niego tak długo, że George trącił ją w ramię.

— Co się stało? Próbowałem ci coś powiedzieć, ale nie patrzyłaś.

— Przepraszam. Nic się nie stało. Spotkajmy się może jutro, to porozmawiamy o twoim pomysśle wspólnych spotkań naszych wydziałów, co?

— Zajrzę do terminarza i zawiadomię cię telefonicznie. Uważaj na siebie... wyglądasz, jakby potrzebna ci była filiżanka mocnej kawy.

Holly wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Porozmawiamy potem, dobrze?

George niczym duch zniknął za błyszczącymi szklanymi drzwiami wejściowymi budynku, w którym pracował, a Holly stała dalej bez ruchu i wpatrywała się w porsche. Był to ten sam model, pochodził z tego samego roku i był w takim samym kolorze jak auto, w którym w 1955 roku zginął James Dean. Młody aktor był idolem jej męża i David kupił sobie niemal identyczny samochód. W nim właśnie zginął. Samochód stał na Salmon Street, przed ulubionym antykwariatem Davida, jakby cofnięto o sześć i pół roku kartki kalendarza, a David żył i siedział w środku, przerzucając kartki książek o historii kina.

Nie oglądaj się za siebie

Przeszła przez ulicę i osłaniając oczy dłonią, zajrzała do wnętrza antykwariatu przez okno wystawowe, w środku było jednak zbyt ciemno, by dostrzec coś więcej niż przesuwające się cienie. Podeszła do samochodu. Jego widok sprawił, że poczuła się, jakby nagle zanurzono ją po szyję w zimnej wodzie. Wyprodukowano jedynie dziewięćdziesiąt sztuk tego modelu, a na rynek trafiło siedemdziesiąt osiem, istniało więc spore prawdopodobieństwo, że był to samochód Davida — naprawiony i polakierowany na nowo. Na tylnym siedzeniu leżał owinięty w celofan wielki bukiet żółtych róż.

Holly nienawidziła tego samochodu. David kupił go za spadek po ciotce z Forest Grove. Mogli wykorzystać te pieniądze na dom, kiedy jednak David dowiedział się, że wystawiono porsche na aukcję, natychmiast złożył ofertę. Jeździł, zawsze rycząc silnikiem i szaleńczo piszcząc oponami. „Wiesz, Jimmy twierdził, że w tym draniu są tylko dwa biegi — postój i *banzail*” — mawiał. Sposób, w jaki mówił o „Jimmym”, mógł sugerować, że James Dean był jego najlepszym kumplem.

Holly zgodziła się na tylko jedną przejażdżkę porsche. Już kiedy wsiadała, miała wrażenie, jakby kładła się w grobie. David uśmiechnął się wtedy do niej szeroko — nie zdawał sobie sprawy, że siedzi w swojej własnej trumnie.

Jeszcze przez chwilę się wahała, pchnęła jednak drzwi antykwariatu i weszła do środka. Ciągle nie mogła odzyskać oddechu. Ściany były po sufit zastawione regałami z używanymi książkami na wszystkie możliwe tematy — od wędkowania na muchę po feng–shui, i wszędzie leżały sterty starych czasopism, takich jak „Life” i „Saturday Evening Post”. Wnętrze rozświetlało jedynie światło, wpadające przez szereg okien w głębi, których szyby ozdobiono żółtymi i bursztynowymi orchideami.

W powietrzu unosiła się charakterystyczna woń tysięcy książek, których właściciele już nie chcieli. Pod ścianą stał wysoki młody mężczyzna i czytał. Ponieważ stał na tle okien, nie dało się dostrzec twarzy, miał jednak na sobie — jak David — ciemnozielony płaszcz burberry, a grzywka opadała mu na czoło — też tak samo jak Davidowi. Kiedy Holly podeszła bliżej, zobaczyła, że mężczyzna stoi przed działem książek o filmie.

Widziała zwłoki Davida. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że nie żyje, dlatego więc podchodziła do nieznanego pełna nadziei, że to David, który powrócił zza grobu, jakby nigdy nie wjechał z prędkością ponad siedemdziesięciu mil na godzinę pod przyczepę niskopodłogową?

Pamiętała go, leżącego w wyłożonej białym jedwabiem trumnie, z kołnierzykiem zapiętym znacznie wyżej niż za życia, by ukryć fakt, iż urwało mu głowę. Pracownik zakładu pogrzebowego stwierdził, że to szczęście, iż w ostatniej sekundzie życia odwrócił głowę na bok, bo gdyby tego nie zrobił, trzeba by się było zdecydować na zamkniętą trumnę.

Holly podeszła do mężczyzny i zatrzymała się jard przed nim. Ciągle jeszcze nie była pewna, czy to David, czy nie. Po chwili zza chmur wyszło słońce, bursztynowożółte światło pojaśniało i mężczyzna uświadomił sobie, że jest obserwowany.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał. Oczywiście nie był to David. Miał brwi jak pędzelki do golenia, wąsko osadzone oczy i cienkie, krótko przystrzyżone wąsiki.

— Eee... szukam książki o Jamesie Deanie.

— Przepraszam, ale jestem tylko klientem. Może powinna pani spytać w kasie.

— No tak, oczywiście. Przepraszam...

Wrócił do czytania, ale Holly nie poruszyła się. Po jakimś czasie znów na nią popatrzył.

— Kasa jest przy samym wejściu.

— Oczywiście, przepraszam... Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym zadała jedno pytanie?

— Tak? — mruknął podejrzliwie.

— Czy to porsche na ulicy jest pańskie?

— Porsche? Nie, ja nie mam samochodu. Jestem zapalonym rowerzystą.

— O! Dziękuję i przepraszam. Już idę do kasy.

— Oczywiście.

Za zawałoną książkami ladą siedziała wielka kobieta w okularach i przyklejała do sterty encyklopedii kartki z obniżoną ceną. Miała na sobie robiony ręcznie brązowo–purpurowy sweter, a jej fryzura wyglądała jak zamordowany drutami do robienia swetrów szop pracz.

— Interesuje cię coś konkretnego, skarbie? — spytała.

Holly natychmiast rozpoznała po akcencie, że kobieta nie pochodzi z Portland, ale raczej z Marylandu albo północnej Wirginii. Zdradzało ją afektowane, zmanierowane „konkhethnego”.

— Nie, nie szukam książki. Zdawało mi się, że zobaczyłam kogoś znajomego.

Kobieta zdjęła okulary i zmarszczyła czoło.

— Nic ci nie jest? — spytała.

— Nie, wszystko w porządku, zobaczyłam tylko zaparkowane przed waszymi drzwiami porsche. To rzadki samochód, a jeździł takim mój znajomy...

Kobieta wyrzała na zewnątrz. Porsche nie było. Jedyne dowód, że nie był ułudą, stanowił suchy prostokąt na jezdni, przez który przepływały strużki wody.

— Coś cię dręczy, skarbie, prawda? Mój nos zawsze mi mówi, kiedy ktoś ma problemy. — Dla podkreślenia swoich słów kobieta postukała się w nos palcem.

— Miałam ciężki poranek, to wszystko.

— Nie jesteś sama. Zauważyłaś to?

— Co ma pani na myśli?

— Dokładnie to, co mówię. Nie jesteś sama. Coś za tobą chodzi, skarbie. Masz coś za plecami.

Holly odwróciła się, ale kobieta powstrzymała ją dotknięciem dłoni.

— Nie rób tego. Chodzi za tobą zły los, a nie należy się w takim przypadku odwracać i patrzeć mu w oczy.

— Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi.

— Nie? Chyba jednak wiesz. W mojej rodzinie było wiele matek, które umiały wyczuć, kiedy zbliżają się kłopoty. Moja matka mawiała w takiej chwili, że widać krew na księżycu. Widzę coś obok ciebie, skarbie. Tuż za twoimi plecami stoi czarny cień.

— Dziękuję bardzo — burknęła Holly. — Kiedy znów ogarnie mnie zbyt dobry nastrój, będę wiedziała, gdzie przyjść.

— Mówię tylko to, co widzę, skarbie. Tylko to, co przekazuje mi mój nos.

— Może nie powinna pani go wtykać w sprawy, które go nie dotyczą. Ani pani.

Sprzedawczyni wzruszyła ramionami i spokojnie wróciła do przyklejania nalepek. Holly obserwowała ją jeszcze przez chwilę. Zirykowała ją impertynencja tej kobiety, chętnie by się jednak dowiedziała, co sprzedawczyni miała na myśli, mówiąc o „złym losie”. Co powiedział George o Kruku? „Kruk to padlinożerca, który odbiera ludziom szczęście... kawałek po kawałku”.

Po minucie albo dwóch do kasy podszedł mężczyzna z brwiami jak pędzelki do golenia. Trzymał w rękach dwie książki — jedną o George’u Stevensie, drugą o Davidzie O. Selznicku. Kiedy popatrzył na Holly, odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Gdy znalazła się przy drzwiach, sprzedawczyni podniosła głowę.

— Pamiętaj o tym, co ci mówiłam: niezależnie od tego, co będziesz robić, nie oglądaj się za siebie — powiedziała.

Krew na księżycu i inne powiedzenia

Za drugim razem, kiedy wydział policji Portland poprosił ją o odczytanie z ust, co mówią sfilmowani ukrytą kamerą podejrzani, jeden z nich użył określenia: „znam go jak łysego psa”. Holly zaciekało to, ponieważ знаła jedynie formę: „znać się z kimś jak dwa łyse konie”. Wspomniała o tym Dickowi Cassowi, młodemu nauczycielowi angielskiego, który trochę pogrzebał w bibliotece uniwersyteckiej. Okazało się, że zwrotu „znać kogoś jak łysego psa” używa się głównie w południowych stanach, podczas gdy na zachód od Apalachów brzmi on jeszcze inaczej — tam zna się kogoś „jak łysego muła”.

Holly stwierdziła wtedy, że można ustalić pochodzenie osoby nie tylko na podstawie akcentu, ale także na podstawie określeń, jakimi się posługuje, nazywając przedmioty codziennego użytku — samochody, bujane fotele czy smażone ziemniaki. W Wirginii Zachodniej na przykład uderzenie pioruna to „stary wóz chleba”, bo deszcz sprawia, że rośnie zboże. W Oregonie „para trójek” oznacza „kilka”. Po jakimś czasie Holly nazbierała aż sto siedemdziesiąt sześć określeń kłębów kurzu pod łóżkiem.

Niektóre powiedzenia były specyficzne dla tak małych regionów, że czasami zdarzało jej się ustalić, w jakim hrabstwie albo mieście wychowywał się podejrzany. Pensylwańczycy z okolicy Mannheim zamiast „podlewać trawnik” — mówią „szprycować”. A jeśli Teksaszczyk z Brownsville oświadcza, że ktoś go „podziwia”, ma na myśli, że ktoś krzywo na niego patrzy.

W niektórych wiochach na Florydzie ludzie nie mówią, że gdzieś straszy, ale że jest tam straszliwie. „Ten stary dom był naprawdę przeraźliwy, straszliwie w nim było”.

Holly miała rację, podejrzewając, że sprzedawczyni w antykwariacie pochodziła z Marylandu albo północy Wirginii. A w Baltimore „krew na księżycu” oznaczała podejrzane, groźne albo złe wydarzenia.

Czarny obraz

Zadzwoiła do pracy, do Katie, i powiedziała, że spóźni się pół godziny. Zamiast wracać do biura, poszła na Yamhill Street i weszła do małej „Summers Gallery”, która należała do jej starszego brata Tyrone’a. Tyrone hołdował modnemu minimalizmowi: w oknie wystawowym znajdował się tylko jeden obraz — namalowany jasną akwamaryną nagi mężczyzna, zatytułowany *Niebieski Roger*.

Wnętrze galerii było chłodne i pastelowe, obrazy porozmieszczano na ścianach w odpowiednich odstępach, a na masywnych białych kolumnach stało kilka rzeźb z brązu i kamienia. Tyrone siedział za biurkiem w głębi i rozmawiał przez telefon. Poza faksem i ostatnim wydaniem „Architectural Digest” na biurku stał jeszcze tylko wazon z przezroczystego szkła, w którym tkwiła samotna żółta róża. Na obitym jasnobrązową skórą fotelu siedział młodzieniec z krótkimi, farbowanymi na blond włosami, ubrany w wypłowiałą dzinsową kurtkę. Wyrывał kartki z katalogu wczesnej sztuki amerykańskiej, robił z nich małe kulki i próbował wrzucać je do mokasynów Tyrone’a, porzuconych na podłodze przed biurkiem.

Tyrone był uderzająco podobny do Holly, tyle że znacznie wyższy. Miał ciemniejsze włosy i brązowe oczy, podczas gdy oczy jego siostry migotały zielonkawo jak onyks. Miał też nieco dłuższy i ostrzejszy nos, ale podobnie jak u Holly, było w jego twarzy coś niezziemskiego, magicznego, co sprawiało, że wyglądali jak bliźnięta. Był to spadek po matce i jej fińskich przodkach.

— Cześć, Matthew! — przywitała się Holly z młodzieńcem. — Nie jesteś przypadkiem znudzony?

— Znudzony? „Znudzenie” to niewłaściwe określenie mojego stanu. Jestem daleko poza granicą znudzenia, w czwartym wymiarze całkowitego zubożenia... tracę zainteresowanie nawet oddychaniem.

Tyrone kiwnął na Holly palcem.

— Przepraszam cię, moja droga, to długo nie potrwa — powiedział. — Próbuję zorganizować wystawę specjalną. — Przez chwilę słuchał osoby po drugiej stronie telefonu, a potem powiedział do siostry: — Maski do magicznych przemian plemienia Tsimshian. Bardzo głębokie rzeczy dla rdzennych Amerykanów. Dokładnie: „głębokie”. — Następne zdania powiedział do telefonu: — Oczywiście, panie Wiosenny Księżycu, rozumiem ich mistyczne znaczenie. Tak, wiem. Oczywiście pański szaman może nadzorować rozwieszanie. Nie chcemy zdenerwować żadnych wrogich duchów.

Kiedy Tyrone mówił, Matthew przedrzeźniał go, ilustrując jego słowa przesadnymi gestami, aż w końcu Tyrone rzucił w niego czasopismem z biurka i trafił go w ramię.

— Auu! — wrzasnął Matthew.

— Nie wiem, dlaczego nie poszukasz sobie jakiegoś ambitniejszego zajęcia — powiedziała Holly, zdejmując płaszcz i siadając obok niego.

— Nie ma chyba na świecie nic ambitniejszego od wkurzania Tyrone’a. Może — bo ja wiem? — poza wspinaniem się zimą, na golasa, po wschodniej ścianie Mount Hood.

— Pod warunkiem, że nie kazałbyś mi tego oglądać.

Holly czekała, ale Matthew dalej rzucał papierowymi kulkami, a Tyrone gadał, kiwał głową i powtarzał: „mhm... aha...”, wstała więc i poszła rozejrzeć się po galerii. Wiszące na ścianach obrazy przedstawiały wyraziste, niemal schematyczne sceny i wizerunki, namalowane podstawowymi kolorami. Byli tu nadzy ludzie, pejzaże i abstrakcyjne plamy. Na końcu szeregu obrazów postawiono pod ścianą wielkie płótno, które wyglądało jak równomierna płaszczyzna czerni.

Gdy jednak Holly podeszła bliżej, okazało się, że obraz ma różne tekstury — błyszczące i

matowe. W samym środku płótna, niemal niewidoczne z daleka, były dwa ciemnoczerwone kółka, przypominające przekrwione oczy. Holly mogłaby przysiąc, że kiedy patrzy skosem, pod określonym kątem, widzi poszarpane kontury czarnych piór.

Nagle wydało jej się, że ktoś stanął za jej plecami i dyszy jej w kark. W pierwszym odruchu chciała się odwrócić, przypomniały jej się jednak słowa sprzedawczyni z antykwariatu. „Tuż za twoimi plecami stoi czarny cień. Niezależnie od tego, co będziesz robić, nie oglądaj się za siebie”.

Było to zupełnie irracjonalne uczucie. Nie mogło tu być nikogo oprócz niej — coś jednak powstrzymywało ją przed rozejrzeniem się i była pewna, że ktoś dyszy jej w ucho.

Kiedy podszedł do niej Tyrone, stała przed czarnym obrazem. Objął ją ramieniem.

— Co o tym sądzisz? — spytał.

— Jeszcze nie wiem. Kto to malował?

— Jakiś facet, przyniósł mi rano. Spytał, czy mógłbym spróbować sprzedać.

— Ma tytuł?

— *Zły los Siedem*. Nie pytaj dlaczego. Nie widziałem wcześniejszych *Złych losów*.

— Żartujesz sobie. Taki ma tytuł?

— Dlaczego miałbym sobie żartować?

— Nie wiem. Chyba jestem przewrażliwiona. Może przesądna. Po prostu ktoś życzył mi dziś rano nieszczęścia i od tej chwili mam zwidy. Nie wiem, czy to dobra nazwa, ale wszędzie widzę znaki.

— Znaki? Masz na myśli czarne koty, orszaki pogrzebowe i aureole wokół słońca?

— Nie, po prostu rzeczy, które sprawiają, że czuję się nieswojo. — Opowiedziała o Elliocie Josephie i jego kłątwie w sądzie, o zaparkowanym pod antykwariatem samochodzie Davida i słowach sprzedawczyni. — Teraz jeszcze ten obraz. *Zły los Siedem*... możliwe, że ukazuje kruka.

Dołączył do nich Matthew. Słyszając ostatnie słowa Holly, przechylił głowę na bok.

— To może być oczywiście kruk, ale tak samo dobrze może to być wewnątrz szortów Mike’a Tysona o północy — stwierdził.

— Matthew... — jęknął Tyrone. Odwrócił się do siostry i zapytał: — Zjesz z nami lunch? Wybieraliśmy się do „The Quarter Deck”.

Wspomnienia nieszczęść

— Od dzieciństwa wiedziałaś, kiedy kroi się jakieś nieszczęście, prawda? — powiedział Tyrone. Miał na nosie okulary, wybierał z talerza kielki lucerny i pogryzał je. — Pamiętasz Czwarty Lipca, kiedy spaliła się ta dziewczyna z mieszkania obok? Jak ona się nazywała...?

— Margaret Pickard. Jak mogłabym zapomnieć?

— O czym wy mówicie? — spytał Matthew z pełnymi ustami.

Tyrone starannie wytarł usta chusteczką.

— Moim zdaniem powodem była głuchota Holly... dzięki niej miała znacznie bardziej rozwinięte wyczucie medialne. Wiesz... była bardziej wrażliwa na rzeczy, których ludzie zwykle nie zauważają. Na przykład zawsze wiedziała, kiedy będzie padać.

— W Portland? Nie potrzeba mieć do tego żadnego medialnego wyczucia. Pada tu co piętnaście minut — codziennie.

— Były też inne rzeczy. Na przykład umiała przewidzieć, że zadzwoni telefon... mniej więcej z dziesięciosekundowym wyprzedzeniem. Pewnego dnia szliśmy przez Waterfront Park i jakiś starszy mężczyzna kosił kosiarką trawę, a Holly powiedziała: „Trzeba go zatrzymać, zaraz się zrani”. Nasz tata podszedł do niego i zaczął rozmawiać, ale mężczyzna oczywiście tylko się roześmiał. Zaraz potem zaczął wyciągać spomiędzy ostrzy kawał gałęzi, kosiarka jakimś sposobem się włączyła i

ucieło mu prawie wszystkie palce. Nigdy tego nie zapomnę. Stał z uniesioną wysoko ręką, na której został tylko kciuk i kawałek palca wskazującego, z łokcia kapąła mu krew i wpatrywał się w Holly dziwnym spojrzeniem, jakby to ona spowodowała wypadek.

— Wybaczcie mi, właśnie próbuję zjeść kanapkę z mało wysmażonym stekiem...

— Daj spokój, Matthew, sam pytałeś. Ale to, co wydarzyło się Czwartego Lipca, było całkiem inne. Córka sąsiadów — Margaret, miała może jedenaście lat — była bardzo cicha i nigdy do nikogo się nie odzywała. Sąsiedzi zrobili z okazji święta wielkie grillowanie — z ogniskiem i profesjonalnymi fajerwerkami. Cały czas dokuczali córce, że nie bawi się z chłopcami, więc w końcu poszła na górę, do swojego pokoju.

— Siedziałam w ogrodzie, na ławce pod drzewami i miałam złe przeczucie — powiedziała Holly. — Wyrażną jak kolorowy film wizję dziewczyny, która spada z szeroko rozpostartymi ramionami i pali się. To było jak... Jakby z nieba spadał anioł. Znasz te średniowieczne obrazy. Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, o kogo chodzi, a wizja raz za razem ukazywała się przed moimi oczami.

— Holly przyszła do mnie i opowiedziała o tym — przejął wątek Tyrone. — Przekazałem sprawę mamie, ale ona też nie bardzo wiedziała, co robić. Trochę trudno iść do gości i poinformować ich: „Przepraszam bardzo, ale moja córka miała wizję, że zaraz ktoś się tu spali”. Tak więc mama powiedziała o tym tylko tacie i umówili się, że będą uważnie obserwować bawiące się przy ognisku dzieci.

— Pod koniec przyjęcia zaczęły się fajerwerki — kontynuowała Holly. — W niebo leciały dziesiątki rakiet i w którymś momencie Margaret wyszła na balkon sypialni rodziców, by na nie popatrzeć. Nigdy tego nie zapomnę. Miała na sobie białą sukienkę z falbankami i wielką różową kokardą, a we włosach jeszcze jedną kokardę.

— Coś poszło nie tak — dodał Tyrone. — Jedna z rakiet nie odpaliła i poleciała w kierunku domu. Uderzyła w Margaret i eksplodowała z okropnym trzaskiem, zupełnie takim samym, jaki robią rakiety, kiedy wybuchają na niebie.

Holly pokręciła głową. Oczywiście niczego wtedy nie słyszała.

— Margaret się zapaliła. Widziałam, że krzyczy. Rozpostarła szeroko ramiona, skoczyła z balkonu i spadła na schody. Wylano na nią natychmiast kilka wiader wody i próbowano owinąć ją serwetą, ale paliwo rakiety zawierało magnez i ognia nie dało się ugasić.

— Jasna cholera... — jęknął Matthew, odłożył kanapkę i wytarł dłonie w spodnie. — Naprawdę wiedziałaś, że to się wydarzy?

— Sama nie wiem... Może nie była to prawdziwa wizja, tylko przeczucie. W końcu czasem się zdarza, że dzieci doznają na przyjęciach oparzeń od fajerwerków, a ogrodnicy odcinają sobie kosiarką palce.

Tyrone wziął siostrę za rękę.

— Mam nadzieję, że nie czujesz teraz takich samych złych wibracji jak wtedy. Nie pozwól, żeby ten pieprzony Joseph się do ciebie dobrał. To on bił swojego syna i nie możesz czuć się winna z tego powodu.

— Cały czas myślę... nie wiem... może ta kobieta z antykwariatu miała rację? Może wyczuwa zbliżanie się nieszczęść jak ja kiedyś?

— Holly, nie ma czegoś takiego jak Kruk. Nic cię nie prześladowa. Jeśli ten obraz cię przeraża, każe przyjść facetowi i go zabrać.

— Nie trzeba. To tylko obraz i być może — jak powiedział Matthew — wcale nie przedstawia kruka.

— Powinnaś przyjąć zaproszenie Katie i Douga. Wyjedź na weekend nad jezioro, odpocznij. Zaslługujesz na to.

— Może masz rację.

— Posłuchaj, Holly! — wtrącił się Matthew. — Zanim pójdziesz, powiedz mi: nie widzisz żadnego nieszczęścia na mojej drodze? Jeśli mam się zapalić albo obciąć sobie palce, chciałbym to wiedzieć.

Tyrone z rozpaczą przewrócił oczami, ale Holly odparła spokojnie:

— Daj mi rękę.

Matthew wytarł dłonie w spodnie i wyciągnął je przed siebie. Holly ujęła jedną, po czym zamknęła oczy.

— No tak... — mruknęła po kilkudziesięciu sekundach. — Wreszcie uznasz, że wkurzanie Tyrone'a nie jest dla ciebie wystarczająco ambitnym zajęciem.

— I...?

— Jak sam powiedziałeś: wespnieś się zimą, na golasa, po wschodniej ścianie Mount Hood.

— To nie nieszczęście! To będzie ekstra!

— Ekstra? Tak uważasz? W drodze zabraknie ci jedzenia... kiedy dotrzesz na szczyt, zostanie ci tylko zamarznięty batonik.

Matthew wyrwał dłoń i poklepał Holly.

— Oj, ta twoja siostra, Tyrone! Co za bezczelna klacz!

Krew na ulicy

Holly i Tyrone wyszli z „The Quarter Deck”, trzymając się za ręce, a Matthew szedł kilka kroków przed nimi i strzelał palcami.

- Co ty w nim widzisz? — spytała Holly. Tyrone uśmiechnął się.
- Sprawia, że stoję na ziemi. Nie pozwala mi być zbyt ciotowatym.
- Nigdy nie byłeś ciotowaty, jedynie artystyczny.
- Holly, znam swoje słabe strony.
- Katie i Doug próbują mnie skojarzyć z kuzynem Katie. Jakimś Nedem.
- Nie brzmisz zbyt entuzjastycznie.
- Nie lubię randek w ciemno, to wszystko.
- To nie będzie randka w ciemno, tylko głucha randka.

Szturchnęła brata dwa razy łokciem w żebro, a on się roześmiał i o mało nie spadł z krawężnika.

— Przepraszam, przepraszam, przepraszam! Ale mówiąc poważnie: uważam, że już najwyższy czas, abyś sobie kogoś znalazła. W końcu nie musi to być miłość twojego życia. Zawsze twierdziłaś, że twoja głuchota utrudnia ci nawiązywanie kontaktów, choć to nie do końca prawda. Dlaczego nie dasz mu szansy? Chyba bardzo wielkim dziwakiem być nie może.

- Chcesz się założyć? Produkuje pulpę papierniczą.
- Muszę przyznać, że nie za bardzo się na tym znam.
- Ja też nie, ale może niedługo dowiem się więcej.

Kiedy przechodzili przez ulicę, Holly zauważyła, że coś się dzieje przy przeciwległym rogu skrzyżowania. Na środku stał tramwaj, wokół zebrali się ludzie. Zanim tam doszli, Trzecią Ulicą nadjechała karetka na sygnale, a za nią dwa radiowozy.

- Jezu, wypadek... ktoś został potrącony.
- Chodź, wejdziemy do galerii tylnym wejściem. Nie patrz na to.

Gdy Tyrone odprowadzał siostrę na bok, tłum gapiów rozstąpił się jak na komendę reżysera i Holly zobaczyła, co się stało. Na asfalcie, na plecach, z szeroko rozrzuconymi ramionami, leżał mężczyzna, którego w antykwariacie Bellmana przez chwilę wzięła za Davida. Twarz miał bladą jak średniowieczny męczennik, a jego wargi pokrywała zasychająca krew. Po asfalcie płynęła czerwona strużka, pełznąca wzdłuż torów i kierującą się na południowy zachód.

- O cholera... — jęknął Matthew, przycisnął dłoń do ust i zaczął wymiotować.
- Idziemy stąd! — zakomenderował Tyrone.

Holly nie mogła oderwać oczu od mężczyzny w zielonym burberry, identycznym jak to, które kiedyś nosił David. Tramwaj zatrzymał się tak, że przednie koło spoczywało pośrodku klatki piersiowej leżącego, przecinając ją niemal na pół. Błady i umęczony mężczyzna patrzył w niebo dziwnie pewnym spojrzeniem — jakby był przekonany, że wypadek wcale się nie wydarzył, a wszystko jest tylko złym snem.

- Holly, chodź! — powiedział Tyrone.
- Nie. Zaczekaj!

Ratownicy klękali właśnie na asfalcie i otwierali zestawy reanimacyjne, ale dla wszystkich było jasne, że mężczyzna nie przeżyje. Holly nic nie słyszała, widziała jedynie szybkie ruchy ratowników i bezgłośnie klótnię. Mężczyzna odwrócił ku niej głowę, jakby chciał zapytać, dlaczego to się stało, może wcale nie jest realne, może on to wszystko tylko sobie wyobraża — i czy ona ma z tym coś wspólnego.

Spuściła wzrok. Na asfalcie leżały książki, które mężczyzna kupił w antykwariacie — o George’u Stevensie i Davidzie O. Selznicku. Książka o Stevensie była otwarta i deszcz zwijał pierwsze kartki. Była spryskana krwią, a czerwone plamki układały się w dziwny wzór. Przypominał pazurzystą łapę, opierającą się na czarno–białej fotografii z *Olbrzyma*.

Holly odwróciła się do brata. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Brakowało jej słów. Trzymając siostrę mocno za łokieć, Tyrone popychał ją, aż doszli do galerii. Matthew szedł tuż za nimi.

— Wszystko w porządku? — spytał brat, kiedy znaleźli się w środku. — Chcesz kawy? Brandy? Kieliszek wina?

— Nic mi nie jest. To był tylko szok, nic więcej. Spotkałam tego człowieka w antykwariacie. Rozmawiałam z nim. Zdawało mi się... przez chwilę sądziłam, że to David...

Deszcz lał strumieniami z taką siłą, że studzienki nie wchłaniały całej wody, a nad dachami przejeżdżających taksówek unosiły się chmury wodnego pyłu. Tyrone ukląkł i ujął dłoń Holly.

— Wiesz co? Dałbym milion dolarów za to, żebyś mogła usłyszeć mój głos.

Dom Heilshornów

Dotarła do Heilshornów kilka minut po trzeciej. Już od dłuższego czasu nie padało, a niebo pokrywały rzadkie szare chmury, przypominające kłęby porozwijanej wełny. Jej cel stał na końcu nowego osiedla o nazwie Hawthome View. Dom miał trzy sypialnie, trawnik od frontu porządnie skoszono, a czerwone chryzantemy błyszcząły po deszczu jak namalowane. Na ścieżce przed domem pozostawiono przewrócony na bok dziecienny rowerek, obok leżała bransoletka z plastikowych paciorków.

Holly zadzwoniła. Za pierwszym razem nie było żadnej reakcji, po drugim dzwonku za drzwiami z mrożonego szkła pojawiła się pani Heilshorn i otworzyła drzwi.

— O co chodzi? — spytała. Była niska, intensywnie czarne włosy ostro kontrastowały z jaskrawoczerwonymi ustami. Miała na sobie sukienkę z jasnoczerwonej satyny, ozdobioną wielką broszką w kształcie gałązki róży, a z jej uszu zwisały wielkie złote kolczyki. Głęboki dekolt był nieco pomarszczony, a ostry, zadarty nosek niemal wołał: „przesadna korekcyjna chirurgia!”.

— Pani Heilshorn? — Holly wyjęła legitymację. — Holly Summers, portlandzki wydział do spraw dzieci. Jeśli pani pamięta, jesteśmy umówione.

— Naprawdę? Jaki mamy dziś dzień?

— Czwartek.

— O mój Boże... całkiem zapomniałam. Przepraszam bardzo. Mam pamięć jak sito.

— Nic się nie stało, ja też czasami jestem mocno zapominalska. Mogę wejść?

— Oczywiście, bardzo proszę. Ale obawiam się, że Sarah–Jane nie ma. Bawi się z koleżankami poza domem.

— Muszę ją zobaczyć, pani Heilshorn. Może mi pani powiedzieć, gdzie ją znajdę?

— Chyba nie, bo sama nie wiem. Matka jej koleżanki zabrała ją na cały dzień... Bóg wie, dokąd. Może do zoo.

— Kiedy spodziewa się jej pani z powrotem?

Pani Heilshorn wzruszyła ramionami i szeroko otworzyła grubo pomalowane oczy.

— Kto wie? Może nawet zostać u koleżanki na noc. Holly weszła do holu.

— Nie miałyby pani nic przeciwko temu, żeby zdjąć buty? — spytała pani Heilshorn, choć właściwie nie było to pytanie. Holly zdjęła buty i poszła za gospodynią do salonu.

— Właśnie kupiliśmy nowy dywan — wyjaśniła pani Heilshorn. — Lubię mieć wszystko w idealnym stanie.

Salon wyglądał, jakby nie wolno było w nim nawet oddychać, nie wspominając już o przebywaniu. Było tu niemal chorobliwie czysto i porządnie: dywan z nylonu miał kolor jasnego miodu, tapety wzór w brązowe i bladożółte zawijasy, na szklanym blacie stolika do kawy z misternie żłobionymi nogami leżała kolekcja muszli i kamyków, pośrodku których stała porcelanowa figurka siedzącej na skale syreny, a obok położono dziewiczy egzemplarz „Woman’s Own”, na okładce którego duży tytuł obiecywał: ŁATWIEJSZE ORGAZMY!

Nad kominkiem z piaskowca wisiała duża reprodukcja obrazu, ukazującego Cyganek o namiętych oczach, w zsuniętej z jednego ramienia bluzce i widoczną nagą piersią. Pani Heilshorn przysiadła na podłokietniku jednego z wielkich, obitych brązowym brokatem foteli i skrzyżowała nogi, jakby pozowała do zdjęcia na okładkę czasopisma. Holly usiadła na kanapie, otworzyła aktówkę i wyjęła swoje notatki.

— Wie pani, dlaczego tu jestem?

— Wiem, że krążyło jakiś absurdalne stwierdzenie, iż Sarah–Jane miała siniaki.

— Jej nauczyciel wychowania fizycznego zauważył w zeszły poniedziałek, że Sarah–Jane ma siniaki na nadgarstkach i górnej części ud. Jej wychowawczynie zgłosiła także, że w ciągu kilku ostatnich tygodni Sarah–Jane zmieniła się bardzo. Wcześniej była jedną z najbardziej otwartych dziewczynek w piątej klasie... a teraz stała się jedną z najcichszych i najmniej zaangażowanych. Zaczęła mieć problemy szkolne — zarówno z nauką, jak i w relacjach z innymi uczniami, wychowawczynie doszła więc do wniosku, że musiało ją zdenerwować coś, co się dzieje w domu.

— Na przykład co?

— To właśnie chciałabym od pani usłyszeć, pani Heilshorn. Czy doszło do jakiejś kłótni między państwa córką a panią albo mężem? Może ma kłopoty z kimś w sąsiedztwie, dorosłym albo kimś z rówieśników?

— Prawdopodobnie zaczyna menstruować.

— Niemożliwe. Ma niecałe jedenaście lat. Mówiła pani o czymś niezwykłym? Pytała o coś nietypowego?

Pani Heilshorn pokręciła głową.

— Próbowала pani zbadać tę sprawę i określić powód nagłej zmiany zachowania córki?

— Jeśli mam być szczerą, nie powiem, bym zauważyła jakąkolwiek zmianę w zachowaniu Sarah–Jane. Może nauczyciele uważają ją za „otwartą”, ale jeśli chodzi o opinię moją i mojego męża, zawsze była trudnym dzieckiem.

— Naprawdę? W jakim sensie?

— Dlaczego pani zdaniem musieliśmy wydać tyle pieniędzy na nowy dywan? Sarah–Jane weszła tu w butach i cały poprzedni dywan zapaskudziła psimi odchodami.

Rozejrzała się po pokoju z taką irytacją, jakby ślady były cały czas widoczne.

— Nie dało się go wyczyścić?

— Wy...czyś...cić? Zniszczyłoby go to. Widziała pani kiedyś, co pranie robi z włosem? Zlepia się i opada, blednie i rozchodzi się we wszystkie kierunki. Może ktoś mniej wymagający nie zwraca na takie rzeczy uwagi, ale ja zwracam! Muszę mieć wszystko... — Nie powiedziała „w idealnym stanie”, ale te słowa tkwiły tuż za jej wydętymi czerwonymi ustami.

— Rozumiem. Co jeszcze zrobiła Sarah–Jane, czego pani nie mogła znieść?

— Chce pani całą listę? Rozbiła mi talerzyk Wedgwooda, kupiony u Woodburna. Wycierając, upuściła go na podłogę. Wzięła do łóżka kanpkę z masłem orzechowym i wysmarowała nim całą narzutę z wełny merynosa. Zdaje sobie pani sprawę z tego, co masło orzechowe robi z merynosową wełną?

Holly robiła notatki, a pani Heilshorn zapuszczała żurawia, usiłując zobaczyć, co pisze.

— To wszystko? — spytała, kiedy Holly skończyła pisać.

— Muszę zapytać panią o siniaki na nadgarstkach i udach Sarah–Jane.

— Jazda na rowerze — oświadczyła pani Heilshorn, potwierdzając swoje słowa kilkakrotnym skinieniem głowy.

— Jazda na rowerze?

— Stale jeździ na rowerze. Nigdy nie wiem, gdzie jest! Ma siedzieć w domu, odrabiać lekcje i pomagać w obowiązkach domowych... jeśli tłuczenie mojego talerzyka Wedgwooda można nazwać pomaganiem w obowiązkach domowych! W każdym razie jeździ dużo na rowerze i podejrzewam, że wtedy nabija sobie siniaki na udach. Widziała pani kiedyś dziecko bez siniaków? Ja nie. Kiedy byłam w jej wieku, cała byłam posiniaczona. Patrząc na mnie, nie pomyślałaby pani, że byłam

chłopczycą, co? Ile według pani mam lat?

Holly milczała przez chwilę.

— Nie umiem tego dokładnie określić, pani Heilshorn — odparła w końcu. — A co z siniakami na nadgarstkach? Też są od jazdy na rowerze?

Pani Heilshorn teatralnie wzruszyła ramionami.

— Może jakiś chłopak chciał ją złapać?

— Czy pani córka ma jakąś sympatię?

— Zna wielu chłopaków, spotyka się z nimi. Dwunastego sierpnia skończę czterdzieści jeden lat.

— Muszę porozmawiać z nią osobiście, pani Heilshorn. Czy możemy umówić się na następne spotkanie?

— Nie wiem, co Sarah–Jane mogłaby powiedzieć innego niż to, co ja powiedziałam.

— Taka jest procedura, pani Heilshorn. Jeśli nauczyciela albo lekarza zaniepokoi stan dziecka, musimy przeprowadzić dochodzenie. Na pewno pani to rozumie.

— Droga pani, zapewniam, że nikt jej nic złego nie zrobił.

— Niczego takiego nie sugerowałam. Mimo to muszę się z nią zobaczyć. Może jutro o tej samej porze?

— Hmm... nie, to nie będzie mi pasowało. Chcę zabrać Sarah–Jane do mojej matki w Fairview.

— Więc niech będzie poniedziałek. Wolałabym jednak tego nie przekładać.

Pani Heilshorn odprowadziła Holly do drzwi. Kiedy Holly zakładała buty, gospodyni powtórzyła:

— Nikt jej nie skrzywdził. Zapewniam panią.

Holly nie odpowiedziała, ale kiedy popatrzyła na panią Heilshorn, ujrzała w jej wzroku coś, co ją poważnie zaniepokoiło. Widywała wielokrotnie ten wyraz oczu — było to przerażenie.

Przejeżdżając przez most Burnside

Kiedy w drodze powrotnej przejeżdżała przez most Burnside, zza chmur wyszło słońce i rzeka zamigotała, jakby wypełniły ją ławice skaczących łososi. W połowie mostu Holly uświadomiła sobie, że choć wszystko wokół migocze w słońcu — rzeka, park nad rzeką, zacumowane przy brzegu statki, Portland Center i wieżowce w centrum — ona sama znajduje się w cieniu.

Spojrzała w górę przez szyberdach, by sprawdzić, czy jedzie pod chmurą, ale szkło było zbyt ciemne, aby mogła cokolwiek zobaczyć. Cień podążał za nią przez cały most i dalej — aż do momentu, gdy skręciła w lewo, na Broadway. Kiedy zwolniła, zobaczyła, jak cień sunie wzdłuż fasad budynków na zachód — niczym żagiel czarnego jachtu.

Podejrzliwe umysły

Doug odchylił krzesło do tyłu. Czytał gruby raport o molestowaniu dzieci i jadł pączka. Za oknem jego gabinetu widać było kiwające się na wietrze czubki drzew, sunące niemo tramwaje i tłoczących się na chodnikach ludzi.

— Cześć, Doug — powiedziała Holly, przysiadając na skraju jego biurka.

Uniósł w pozdrowieniu pączka.

— Jak poszło z Heilshornami?

— Wcale nie poszło. Nie było Sarah–Jane. Matka twierdziła, że zapomniała o spotkaniu, a Sarah–Jane pojechała gdzieś z koleżankami.

— Sarah–Jane Heilshorn... to ta dziewczynka z siniakami z podstawówki Hawthorne’a, prawda?

— Tak. Matka twierdzi, że siniaki są odjazdy na rowerze.

— Możliwe. — Doug rzucił raport na zawalone papierami biurko. — Dzieciaki miewają siniaki, najczęściej dlatego, że się potykają albo spadają z drzewa.

— Zgadza się, ale jej nauczyciele stwierdzili także zmianę zachowania. Zaczęła się wycofywać, choć zawsze była ekstrawertyczką.

— To wcale nie musi oznaczać, że dzieje się z nią coś złego. Kiedy moja Annie zaczęła pokwitanie, w ciągu jednego weekendu zmieniła się z Shirley Tempie w Courtney Love.

— Możliwe, ale jej matka sprawia wrażenie nieco poirytowanej, jeśli rozumiesz, co mam na myśli... a ma bardzo obsesyjną osobowość. Dom jest tak cholernie czysty, że aż dostałam gęziej skórki. Jest nieskazitelny — jak dom wzorcowy, pokazowy.

— Rozmawiałaś z ojcem małej?

— Nie.

— Co ci mówi przecucie?

— Że coś w tej rodzinie jest nie tak, choć nie umiem określić, co to takiego. I jest w tym wszystkim jakiś seksualny ton, który mi się nie podoba. Nad kominkiem wisi półakt, a na stolikach leżą szmatławe czasopisma kobiece... wiesz, takie, w których się pisze, jak robić dla męża striptiz.

— Umówiłaś się jeszcze raz?

— Tak, na poniedziałek.

— Nie chcesz zadziałać wcześniej?

Holly zastanowiła się, pokręciła jednak głową.

— Nie... nie miałam okazji rozmawiać z Sarah–Jane. Poza tym nie chcę wpadać do nich z oskarżeniami o molestowanie, póki nie będzie dowodów. Co prawda pani Heilshorn była poirytowana, ale tak bywa, kiedy zjawiają się u nich ludzie z urzędów opiekuńczych. Może i obsesyjnie sprząta, ale to jeszcze nie zbrodnia.

— Jeśliby była, mojej byłej żonie nie groziłoby oskarżenie z tego paragrafu.

— Chyba powinnam działać w tej sprawie bardzo ostrożnie. Krok po kroku.

Doug upił łyk kawy.

— Na pewno tak będzie najmądrzej. Pamiętasz sprawę rodziny Katzów?

— Musiała być przed moimi czasami.

— Prawie straciłem przez nich pracę. To było jakieś sześć, może siedem lat temu. Państwo Katzowie mieszkali w dystrykcie Lloyd i pewnego dnia pani Katz pojechała do siostry w Bend, panie pokłóciły się jednak i niespodziewanie wróciła do domu dołą wcześniej. O szóstej rano weszła do

sypialni i znalazła męża — nagiego — w łóżku, razem z ich czteroletnią córką. Natychmiast wezwała gliny i pan Katz został aresztowany pod zarzutem molestowania seksualnego, bo na prześcieradle odkryto ślady spermy. Moja szefowa uczestniczyła w przesłuchaniu policyjnym i uznała, że skoro Katz tak gorąco zapewnia o swojej niewinności, musi być winny.

— Dość dziwne wnioskowanie.

— No cóż, była osobą, którą prawdopodobnie można byłoby określić mianem agresywnej zwolenniczki praw kobiet. Według niej wszyscy mężczyźni to gwałciciele lub zboczeńcy — zwłaszcza ojcowie i mężowie. Z początku córka Katzów nie chciała mówić, co się stało, ale po tygodniu bardzo ostrożnie prowadzonych rozmów powiedziała, że przestraszyła się burzy i przysłała do taty do łóżka, bo się bała. Tata przez cały czas spał i nawet nie wiedział, że przysłała.

— A sperma?

— Żony nie było od tygodnia i facet onanizował się przed snem.

— Jak to się skończyło?

— A jak myślisz? Rozwodem. Pan Katz nie mógł wybaczyć żonie, że podejrzewała go o seksualne wykorzystywanie córki, i w efekcie mała musiała dorastać w niepełnym domu — tylko dlatego, że matka, gliniarze i wydział do spraw dzieci założyli najgorsze.

— A co z twoją szefową?

— Nie dostała oczywiście w dupę, bo nie pozwoliła na to feministyczna mafia, ale zmuszono ją, żeby się zwolniła. Teraz szefuje Prawu Kobiet do Odmowy.

— A co się stało z Prawem Kobiet do Mówienia?

Doug strzepnął cukier ze spodni.

— Będiesz mnie informować na bieżąco o sprawie Heilshornów, dobrze? Niezależnie od sprawy Katzów, każde poważne podejrzenie...

— Oczywiście. — Holly wstała, zawahała się jednak na chwilę. — Aha, jeszcze coś — kiedy wyjeżdżacie jutro nad jezioro?

— Wpół do jedenastej. To znaczy, że jedziesz z nami?

— Chyba... bym pojechała.

— Wspaniale! Ned będzie zachwycony. Uwierz mi, to naprawdę pierwsza klasa facet.

— Przyjedźcie po mnie o wpół do jedenastej. Będę gotowa. Wziąć coś do jedzenia?

— Tylko ostro przyprawiane pulpeciki Marcelli.

Układanka i kolejny cień

George'a Szare Oczy znalazła na korytarzu; czekał niecierpliwie na windę.

— Coś nowego w sprawie Daniela Josepha? — spytał. Wyglądał na zmęczonego.

— Dzwoniłam rano do szpitala. Jego stan jest stabilny, choć w dalszym ciągu nie jest z nim najlepiej. Jutro, jeśli stan ogólny pozwoli, będą mu operować oko.

George popatrzył na zegarek.

— Cholera, znów jestem spóźniony!

— Kolejne posiedzenie komisji?

— Aktualizacja danych o antyindiańskich uprzedzeniach w systemie szkolnym Portland.

— Ho, ho.

George znów popatrzył na zegarek.

— Te cholerne windy! A tak a propos, ktoś mnie o ciebie pytał.

— Tak?

— Adwokat, chyba z kancelarii Mayfield&Letterman. Interesował się, kim jesteś.

— Powiedział dlaczego?

George wzruszył ramionami.

— Nie sądzę, by miało to związek z konkretną sprawą. Pytał, czy jesteś mężatką, co wydało mi się dość dziwne. Chciał wiedzieć, gdzie mieszkasz. Oczywiście nie powiedziałem.

— Jak wyglądał?

— Młody, koło trzydziestki. Czarne włosy, elegancki garnitur. Prawdopodobnie w jednej czwartej Latynos. Czerwono-żółty krawat, jedwab.

— I nie podał nazwiska?

— Nie przypominam sobie.

Winda wreszcie przyjechała, musieli jednak jeszcze zaczekać, aż woźny wyprowadzi ze środka wózek ze środkami czyszczącymi, szczotkami i mopami.

— Będiesz podczas weekendu w mieście? — spytał George.

— Nie, jadę z Katie i Dougiem nad Jezioro Lustrzane.

— Szkoda. W sobotę wieczorem w domu Henry'ego Wysokiego Jelenia NICW organizuje tradycyjne spotkanie. Malowanie twarzy, prezentacja rzeźb, tańce deszczu. Miałem nadzieję, że będziesz mogła przyjść.

— Może innym razem. — Wspięła się na palce i pocałowała George'a w policzek. — Wybacz mi.

Wyszła na wietrzną ulicę. Do spotkania z Mickeyem zostało jeszcze pół godziny, poszła więc do Piekarni Niemieckiej Schnadla i kupiła dwa lukrowane strudle z jabłkami, które Daisy uwielbiała.

— Chce pani dodatkową bitą śmietanę, pani Summers? — spytał pan Schnadel. Za ladą było tyle luster, że mogło się wydawać, iż jest ich dwudziestu — grubych, uśmiechniętych Schnadlów w białych fartuchach i przekrzywionych na bok piekarskich czapkach. — Kilkaset kalorii jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Proszę popatrzeć na mnie!

Kiedy wracała do pracy, wydało jej się, że przed wjazdem do garaży przemknął jakiś cień. Nie — nie przemknął, raczej przetańczył. Był czarny, bardzo wysoki, z „nogami” i „rękami”. Migocząc, przesunął się po betonowej ścianie i zniknął.

Holly zrobiła krok naprzód i w tym momencie wjechał na nią rowerzysta. Przewróciła się na

bok na jezdnię, przejechała barkiem po asfalcie i uderzyła głową o asfalt — na tyle mocno, że przed jej oczami zamigotał rój maleńkich gwiazdek. Przewiązane wstążką pudełko ze strudlem poleciało na jezdnię i nie minęło dziesięć sekund, jak przejechała je wielka ciężarówka. Holly z trudem oddychała, jej łokcie płonęły i sporo czasu potraowało, zanim mogła uklęknąć. Rowerzysta siedział dwa jardy od niej — młody mężczyzna z dużym nosem, w jaskraworóżowym hełmie rowerowym i obcisłych rowerowych spodenkach. Kręcił nerwowo przednim kołem i powtarzał:

— Boże... Boże... Boże... żeby tylko szprychy się nie pokrzywiły...

Holly klepnęła go w ramię. Popatrzył na nią.

— Co jest? — spytał.

— Najechał pan na mnie! Przewrócił mnie pan!

— Przecież dzwoniłem! Krzychałem „Uwaga!”. Głucha pani jest czy co?

Druga strona szczęścia

Kiedy dojechali do hotelu „Compass”, Holly poszła do łazienki trochę się ogarnąć. Zdjęła płaszcz i podwinęła rękawy swetra, by obejrzyć łokcie. Oba były zaczerwienione, a lewy trochę zadrapany i krwawił. Na szczęście nie przetarła płaszcza ani swetra. Oczyszczyła ranę mokrym ręcznikiem. Wszystko wskazywało na to, że nad Jeziorem Lustrzanym będzie mogła się pochwalić wielokolorowymi ramionami i barkami.

Uczesała się, poprawiła szminkę na ustach i wróciła do Mickeya, który siedział w wyłożonym czarnym marmurem holu. Rozmawiał przez telefon komórkowy.

— Znalezione but? Gdzie? Tak, wrócę na komendę i rzucę okiem. — Wyłączył telefon. — Sarah Hargitay. Chyba znalezione jej but przy Bridal Veil.

— Co ona tam robiła?

— Podejrzewam, że kuśtykała...

Poszli do baru „Sternwheeler”. Zaraz za wejściem Mickey poprowadził ją w lewo, do wyłożonego ciemnobrązową skórą półkolistego boks, pośrodku którego stał mahoniowy stół z mosiężnymi ozdobami. Bar tak urządzone, że przypominał *saloon* staromodnego statku, napędzanego umieszczonym na rufie kołem łopatkowym — ze złożonymi kolumnami, relingami i obrazami, przedstawiającymi leżące na kanapach i przeciągające się nagie kobiety. Pianista z zielonym daszkiem na głowie grał melodie Scotta Joplina, ale brzmiało to tak, jakby jego głównym zajęciem było cięcie żeberek. Przez panoramiczne okno po prawej stronie baru widać było nabrzeże Portland — z białymi jachtami, podskakującymi na cumach, i wielkim, płynącym powoli w kie—runku oceanu drewnowcem o poplamionych rdzą burtach.

— Krauss siedzi za rośliną stojącą przy pianinie. Nie obejmuje go tam kamera ochrony, a pianino jest na tyle głośne, że nie możemy go nagrać za pomocą mikrofonu kierunkowego.

Holly wstała i rozejrzała się wokół, jakby spodziewała się czyjś przybycia. Merlin Krauss siedział przy stoliku pod oknem, ubrany w jaskrawożółty płaszcz. Po jednej jego stronie siedział młody Chińczyk o twardych jak stal rysach, mający na sobie drogi szary garnitur, po drugiej wielki mężczyzna w obcisłym czarnym podkoszulku. Olbrzym był tak ostrzyżony, że góra jego głowy wydawała się płaska, i miał złamany nos.

— Są tu wszyscy — powiedział Mickey, gdy Holly usiadła. — Chinol to Danny Hee, który prowadzi różne podejrzanе interesiki... od dystrybucji cracku po handel fałszowanymi rolexami. A ta wielka małpa to Vernon Pulitzer, który był kiedyś bokserem, ale jest gejem. Poradzisz sobie? Chcesz coś do picia?

— Tylko kawę.

— Naprzeciwno Kraussa jest dwuosobowy stolik. Możesz tam usiąść i udawać, że na kogoś czekasz. Jest wystarczająco daleko, więc mam nadzieję, że nie będzie się bał rozmawiać o interesach. Może, jeśli będziemy mieli nieco szczęścia, powie coś o zabójstwie, które przygotowuje.

— Wierzysz w szczęście?

— W szczęście? Pewnie. Gdybym nie wierzył, nie wydawałbym tylu pieniędzy u bukmacherów.

— A w pecha? Też wierzysz?

Musiało być w tonie jej głosu coś szczególnego, bo zmrużył oczy.

— Coś cię niepokoi?

— Nie wiem dokładnie. Dotychczas nigdy nie wierzyłam, że może istnieć zła passa. To raczej

niemożliwe po utracie słuchu, prawda? Jedynym sposobem, by sobie z tym poradzić, było dziękowanie za to, co mam, i wiara, że Bóg uczynił mnie głuchą z jakiegoś ważnego powodu.

— A teraz coś się zmieniło?

— Nie jestem pewna. Mam wrażenie, jakby wszystko trochę się zmieniło, choć nie bardzo wiem, na czym ta zmiana polega. Czuję się jak człowiek, który wszedł do pokoju, w którym poprzesuwno meble albo poprzewieszano obrazy i nie może sobie przypomnieć, jak wyglądał poprzednio... bardzo mu to jednak mąci w głowie.

— Nie strasz mnie, dobrze?

Podeszła kelnerka i przyjęła zamówienie. Kiedy się oddaliła, Mickey pochylił się do Holly.

— Znałem kiedyś detektywa, który nazywał się Frank Fraser i nosił przy sobie dwugłowego orła na szczęście. Kiedyś poszliśmy we dwóch do magazynu przy nabrzeżu — ktoś dał nam cynk, że jest w nim mnóstwo przemycanego alkoholu i papierosów. Weszliśmy na budynek obok, skąd mieliśmy przeskoczyć na dach magazynu. Skoczyłem pierwszy, ale źle wylądowałem i spadł mi but. Frank skoczył za mną — cały czas się śmiał, patrząc, jak podskakuję na jednej nodze i próbuję założyć but. Otworzył drzwi, prowadzące do magazynu i — BANG! — nie zapomnę tego do końca życia — jego głowa rozprysnęła się we wszystkie strony — wyglądała wtedy jak bukiet czerwonych róż. No i co, jak to nazwać? Pech Franka, moje szczęście. — Mickey sięgnął do kieszeni i wyjął monetę. — Oto ona. Dwugłowy orzeł Franka. Od tamtej chwili mam ją zawsze przy sobie, aby pamiętać, że każda sprawa ma dwie strony i pewnego dnia to ja mogę być tym, który jako pierwszy otworzy drzwi. Szczęście... pech... kto wie, co jest co?

Merlin mówi o interesach

Holly podeszła do stolika przy oknie i usiadła naprzeciwko Merlina Kraussa. Po chwili kelnerka przyniosła kawę i talerzyk migdałowych ciasteczek. Merlin pił piwo i żarł garściami orzeszki, jakby bez nich mógł umrzeć. Danny Hee narzekał na coś, a Vernon Pulitzer gapił się tępo w przestrzeń i dłuwał w nosie.

— Nie, nigdy nie gwarantowałem żadnego określonego dnia — upierał się Merlin, żując orzechy i kręcąc głową. — Gwarantowałem dostawę, ale nigdy żadnej daty.

— Co komu da obietnica, że dostarczysz towar, jeśli nie wiadomo, kiedy to będzie?

— Dostarczę go. Zagwarantowałem to. Nigdy nie gwarantowałem żadnego konkretnego terminu.

— No to kiedy? Jutro?

— Nie wiem, Danny. Wyglądam jak jakiś pieprzony jasnowidz? Widzisz tu gdzieś kryształową kulę?

— Gdzie jest towar?

— Jedzie, Danny. Zaufaj mi. Jest w drodze.

— No to kiedy?

— Już ci mówiłem. Dostaniesz swój towar. Zapłaciłeś i dostaniesz. Wystawiłem cię kiedyś przedtem?

— Ale kiedy? W przyszłym tygodniu? Muszę go dostać do końca przyszłego tygodnia, bo inaczej mam przesrane.

— Posłuchaj: nie dam ci się przy dusić na konkretny dzień, bo nigdy nikomu nie gwarantuję żadnego dnia. Kogo masz na karku, że nagle zaczęło ci się tak spieszyć? Chyba nie tego dupka Sunga?

Danny Hee nie odpowiedział.

— Chodzi o Sunga, tak? Tego kutasa, któremu się wydaje, że siedzi w środku filmu z Jackie Chanem? Możesz mu ode mnie powiedzieć, że dostanie, co trzeba, kiedy będzie trzeba. Kutas!

Holly była przyzwyczajona do monotonnej powtarzalności rozmów przestępców. Nie były to dialogi z filmów Quentina Tarantino — brakowało w nich dowcipnych uwag i porównań. Składały się głównie z tekstów typu: „Układ to układ, jasne? Rozumiesz, co mówię? Posłuchaj wyraźnie: układ, układ to układ, układ” albo: „Mój syn gra dziś wieczorem w baseball. Świetnie sobie radzi, naprawdę świetnie. Naprawdę? Pewnie, naprawdę świetnie. Naprawdę? To świetnie”.

Nawet gdy rozmawiano o planowanych agresywnych działaniach albo nietypowych praktykach seksualnych, było to niezmiennie nudne i rzeczowe. Kiedyś czytała z warg rozmowę dwóch ludzi, zamierzających się zemścić na kumplu, który przespał się z żoną jednego z nich. Mówili o obciążeniu mu członka i wsadzeniu mu go do ust tak beznamiętnie, jakby wybierali się do supermarketu: „No to mu go obetniemy, ty otworzysz mu usta, a ja wepchnę mu go do gardła”. „Możesz go przy tym udusić...”.

Siedziała przy stoliku pod oknem prawie półtorej godziny, wypila jeszcze dwie kawy i co jakiś czas nerwowo spoglądała na zegarek, jakby na kogoś czekała. Dwa albo trzy razy w głębi sali pojawiał się Mickey i unosił kciuk, aby w ten sposób zapytać, czy Merlin powiedział coś związanego z zabójstwem. Za każdym razem kręciła przecząco głową.

Wreszcie Danny Hee poszedł sobie, ciągle narzekając na dostawę. Merlin jadł orzeszki i nie odzywał się prawie przez dziesięć minut, a Vernon Pulitzer zaczął dla odmiany dłuwać w uszach.

Minęło wpół do szóstej. Holly musiała dotrzeć przed siódmą do domu, by zrobić Daisy kolację i spakować się na weekend. Właśnie miała wstać, kiedy Merlin złapał za telefon.

— Tak? Co? O, to pan, panie Rossabi! Oczywiście. Proszę się nie martwić. Wszystko jest pod kontrolą. We wtorek o czwartej po południu. Jak pan powiedział: przed salonem fryzjerskim Richarda Herrery, Southwest Main. — Przez chwilę słuchał, po czym dodał: — A jak powiedziałem? Bez śladu. — Znow przez jakiś czas słuchał. — Jak już mówiłem: lepiej, żeby pan nie wiedział. Poza tym nawet gdybym miał panu powiedzieć, czego nie zrobię, nie powiedziałbym tego przez telefon. Okay? Przykro mi, musi się pan tym zadowolić. Tak. Nie. Zgadza się. Nawet nie będzie pan wiedział, że kiedykolwiek istniała. — Tym razem przerwa była znacznie dłuższa. — Ujmijmy to tak, panie Rossabi: mam przyjaciela, który robi pulpę papierniczą. Pójdzie na pierwszą stronę „The Oregonian”. Dosłownie.

Holly odczekała jeszcze trzy minuty, po czym wstała. Kiedy mijała stolik Merlina, odezwał się do niej:

— Nie zjawił się?

— Słucham?

— Pani randka. Co za palant! Puścić w trąbę taką ładną kobietę...

— Dziękuję za komplement. Chyba odwołano jego samolot.

Merlin podał jej telefon.

— Chce pani zadzwonić do niego? Służę pomocą.

— Nie, dziękuję.

— Jak pani ma na imię, jeśli wolno spytać?

— Margaret.

— Miło było panią poznać... Margaret. Muszę przyznać, że zwróciłem na panią uwagę, gdy tylko pani przysła. Ładna z pani kobieta. Wyjątkowa.

Upadły księżyc

Mickey czekał na schodach przed frontowymi drzwiami. Palił papierosa.

— Jak poszło? — spytał i ujął ją za ramię.

— Auaa!

— O, przepraszam! Zapomniałem o twoich siniakach. Masz coś ciekawego?

— Trochę to potrwało, ale mam. Krauss podał nazwisko — Rossabi. Podał też dzień i miejsce

— salon fryzjerski Richarda Herrery przy Southwest Main. I chyba nawet wiem, co planują zrobić z ciałem.

— Jesteś wspaniała! Naprawdę? Może pójdziemy do „Rock Bottom” i zdasz mi dokładne sprawozdanie przy dużym piwie?

— Dobrze... ale nie mogę wrócić zbyt późno do domu.

Kiedy skręcali w Southwest Morrison, Mickey wziął radiotelefon i zaczął do niego mówić:

— Harris nie może się tym zająć? Jestem naprawdę zajęty. — Przerwał, zmarszczył czoło, po czym spytał: — Nazwiska? — Przez chwilę słuchał. — Nigdy ich nie słyszałem. — Kiwnął głową i powiedział: — Dobrze, dobrze. Zaraz będę.

— Jakież problemy? — zapytała Holly.

— Tak, będę cię musiał zostawić. W Chinatown, w sklepie spożywczym Deh-Ta Hsiunga była strzelanina. Jedna ofiara śmiertelna, ktoś poważnie ranny. Jack Harris twierdzi, że to moi przyjaciele. — Znów zmarszczył czoło, ale po chwili pokręcił głową. — Jakiś Gerald Butler i Kevin McKenna... nigdy nie słyszałem ani o jednym, ani o drugim.

— Pojechać z tobą?

— Jeśli chcesz, proszę bardzo. Nie powinno to zająć zbyt wiele czasu.

— Pojadę.

Kiedy dotarli do Chinatown, okazało się, że policja otoczyła cały kwartał bloków, a w poprzek ulicy stoi siedem radiowozów z włączonymi kogutami, dwie karetki i wóz transmisyjny jakiejś stacji telewizyjnej. Mickey przeprowadził Holly przez zapory i poszli pod sklep. Jego front pomalowano czerwienią i złotem, a prawie całą szybę wystawową zaklejono chińskimi plakatami, pocztówkami, wiszącymi laleczkami i innymi dekoracjami.

W środku, zaraz za wejściem, po prawej stronie stała szklana lada, a przez środek biegło długie przejście, zastawione regałami z butelkami ryżowego wina, puszkami wędzonych ostryg i pudełkami chińskich przypraw. Wszędzie porozstawiano reflektory i wnętrze sklepu wyglądało jak filmowa sceneria. Wstawka: chiński sklep spożywczy w nocy.

Przed ladą stało siedmiu albo ośmiu ludzi — policjantów i ratowników. Rozmawiali obojętnie, jak ludzie przyzwyczajeni do oglądania ludzkich tragedii. Na podłodze z desek leżało ciało grubasa, który chyba jeszcze nie dobiegł trzydziestki, ubrane w spłowiałe dzinsy i białą koszulę w czerwone kropki — ale nie był to deseń materiału. Błady, owłosiony brzuch zabitego wylewał się nad paskiem.

Ze sklepu wyszedł krępy siwy mężczyzna w pomiętym płóciennym garniturze.

— Mickey... cześć. Dzięki, że wpadłeś. — Zlustrował Holly od stóp do głów. — Nie chciałem ci popsuć wieczoru.

— To jest Holly Summers, nasza specjalistka od czytania z ruchu warg.

— O! Słyszałem o niej. Głucha dama. Korzystałeś z jej usług w sprawie fabryki puszek Steelhead, prawda? To był klasyczny numer. Klasyczny. Nie mam pojęcia, jak tego dokonała.

— Jack, może Holly jest głucha, ale rozumie, co mówisz, i uwierz mi albo nie — umie także mówić.

— O! Przepraszam. Powiedz jej, że przepraszam.

Mickey wskazał na Holly. Jack Harris spojrział na nią z zażenowaniem i wymamrotał:

— Przepraszam...

— No więc, co tu się dzieje? Co to za kolesie, którzy mają być moimi przyjaciółmi?

— Nie wyszedł im napad. Do sklepu weszło trzech napastników, jeden stanął przy drzwiach, by nikogo nie wpuścić do środka, a pozostała dwójka poszła do pana Deh-Ta i kazała mu otworzyć kasę.

— Byli uzbrojeni?

— Pan Deh-Ta twierdzi, że jeden trzymał w ręku czarny przedmiot, który wyglądał na pistolet samopowtarzalny. Powiedział, że bał się o życie, wyjął więc spod lady strzelbę gładkolufową i strzelił chłopakowi z bliskiej odległości w pierś. Drugi zaczął uciekać, ale pan Deh-Ta strzelił mu w plecy. Ten drugi miał szczęście, bo pan Deh-Ta kiepsko strzela, więc tylko oderwało mu ramię.

— No to rzeczywiście miał szczęście — mruknął Mickey i popatrzył na Holly. — Znaleźliście pistolet?

Jack Harris uniósł rękę. Z jego palca wskazującego zwisała mała, składana parasolka.

— Można tym niezłe zranić — mruknął Mickey i rozejrzał się. — Skąd pomysł, że to moi przyjaciele? — zapytał Harrisa. — Jak się nazywali?

— Gerald Butler to ten, który nie żyje. Kevin McKenna to ten bez ręki. To on twierdził, że cię znają.

Mickey odwrócił się do Holly.

— Zaczekaj tu chwilę, dobrze?

Wszedł do sklepu i przeszedł przez grupkę policjantów i ratowników. Kucnął przy ciele zabitego rabusia. Po chwili wstał i wyszedł na zewnątrz.

— Sierpniowy Księżyc — powiedział i zakaszłał.

— Słucham...?

— Gerald Butler był członkiem chińskiej trupy kabaretowej transwestytów o nazwie Trzy Konkubiny. Jego sceniczne nazwisko to Sierpniowy Księżyc. Kevin McKenna to Kwiat Lotosu, a trzecim był najprawdopodobniej Bruce.

Jack Harris wyjął notebook.

— Wiesz co? Im dłużej żyję i im więcej widzę, tym trudniej mi uwierzyć w to, co się wokół dzieje.

— Tych trzech nie skrzywdziłoby nawet muchy. Mieli trochę pecha ze zleceniami, to wszystko. Ten... pan Deh-Ta — jest tu gdzieś?

— Oczywiście. W tamtym radiowozie.

— Mógłbym z nim chwilę porozmawiać?

— Zapraszam.

Mickey uniósł w górę lewą rękę i postukał w szkiełko zegarka, aby dać znak Holly, że to nie potrwa długo.

Podszedł do radiowozu i usiadł z tyłu, obok pana Deh-Ta. Odbijające się od szyby refleksy światła sprawiały, że Holly niewiele widziała, ale pan Deh-Ta wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat, był chudy i miał potargane, sterczące do góry włosy.

— Naprawdę jest pani głucha?! — wrzasnął nagle Jack Harris. — Jak... ee... nie chciałem pani obrazić! — Po jego minie wyraźnie było widać, jaki jest z siebie zadowolony, że z nią rozmawia. Jakby zebrał się na odwagę i zaczął rozmawiać z kimś na wózku inwalidzkim.

— Stuprocentowo — odparła z uśmiechem. — Nie ma potrzeby, aby pan krzyczał.

— O! Skąd pani wie, że krzyczałem?

— Ponieważ zaczerwienił się pan na twarzy i wszyscy się na pana popatrzyli.

— O!

Holly odwróciła się do Mickeya. Choć w radiowozie było ciemno, plama światła rozjaśniała jego usta, a pan Deh-Ta także od czasu do czasu spoglądał w jej kierunku.

— Ile miał pan w kasie?

Chińczyk pokręcił głową.

— Ile miał pan w kasie, panie Deh-Ta? Chcę wiedzieć, ile było w kasie.

— Sto dolarów. Może sto dwadzieścia pięć i drobne.

— Zabił pan człowieka za sto dwadzieścia pięć dolarów? Zabił pan za tyle?

— ...pistolet...

— Ślepy pan jest? To nie był pistolet, a pieprzona parasolka. Ogląda pan czasami telewizję?

Kolejne pokręcenie głową.

— Pytałem, czy ogląda pan telewizję. Seriale o policjantach? Widział pan choć jeden odcinek któregoś z nich? *Nowojorscy gliniarze*, coś w tym stylu?

— Zapytał o pieniądze. Powiedział, że mam mu dać wszystkie pieniądze.

— Z parasolką w rękę, panie Deh-Ta! Widział pan kiedyś, żeby bandziory w *Nowojorskich gliniarzach* wyciągały parasolkę? „Dawaj szmal, Chinolu, albo nigdy nie będziesz już mókł na deszczu!”.

Holly uśmiechnęła się, nagle jednak głowa pana Deh-Ta załomotała o szybę, odbijając się od niej jak piłka. Holly zaczęła szukać wzrokiem Jacka Harrisa, ale wrócił już do środka sklepu.

Twarz Mickeya była twarda jak łupany kamień.

— Zabiłeś człowieka, panie Deh-Ta, a drugiemu odstrzeliłeś rękę, bo nie chciało ci się im przyjrzeć ani pomyśleć. Jak wszystkich Chinoli, interesuje cię tylko szmal. I zaczną cię nawet uważać za bohatera. Popatrzcie na Deh-Ta Hsiunga: zastrzelił tłustego pedała—złodziej a! — Mickey przerwał, by złapać oddech, po czym znów zaczął tłuc głową pana Deh-Ta o szybę. Na szkle pojawiły się krwawe smugi, a usta Mickeya krzyczały: — Był człowiekiem! Istotą ludzką! Do głowy ci to nie przyszło?! Był czyimś synem!

Holly pobiegła do radiowozu i zaczęła walić w dach. Ze sklepu wyszedł Jack Harris, więc krzyknęła do niego:

— Detektywie Harris! Tutaj! — zdając sobie sprawę, że najprawdopodobniej krzyczy „delfinim” głosem.

Mickey wysiadł z samochodu drzwiami po przeciwległej stronie. Przyglądził dłońmi włosy i zapiął płaszcz. Holly wbiła w niego wzrok, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Uniósł brew, jakby chciał zapytać: „Co jest?”.

Jack Harris otworzył drzwi od strony, po której stała Holly, i pomógł wysiąść panu Deh-Ta. Chińczyk nie wyglądał na mocno rannego, miał jednak stłuczone okulary, a pęknięte szkło przecięło mu policzek. Drżał i patrzył na Mickeya jak zbite zwierzę, unosząc łokieć jednej ręki, jakby chciał się przed czymś osłonić.

— Wygląda na to, że miał drobny wypadek — mruknął Mickey i ujął Jacka Harrisa za ramię.

— Zdarza się — odparł Harris.

Kiedy jechali do domu, Mickey pierwszy przerwał ciszę.

— Pewnie uważasz, że nie miałem do tego prawa ani nic tego nie usprawiedliwia.

— Nie wiem. Byłam dość zszokowana, to wszystko.

— Holly, Sierpniowy Księżyc był jednym z najłagodniejszych ludzi na tej planecie. Chcesz porozmawiać o sprawiedliwości? Wykonano na nim wyrok śmierci bez procesu. Został zabity za swoją odmienność i dlatego, że trudno mu było zarobić na życie. Wszędzie w Ameryce ludzie zabijają innych ludzi i nie wykonuje się na nich wyroków śmierci, a wykonano go na Sierpniowym Księżycu za to, że próbował z użyciem składanej parasolki ukraść sto dwadzieścia pięć dolarów. — Mickey zatrzymał się pod „Torrefazione”. — Przykro mi. Nie powinnaś była widzieć tego, co się dziś stało. Wykonałaś dobrą robotę w „Compassie”... prawdopodobnie uratowałaś tamtej kobiecie życie.

— Muszę już iść. Daisy zaraz wróci.

Nie wysiadała jednak. Przyglądała się Mickeyowi, a on jej. Próbowwała zrozumieć, co kryje się w jego oczach, ale odbijało się od nich światło i niczego nie zdradzały — jak główki polerowanych gwoździ. Zgrzytał tylko przednimi zębami, wykonując nimi ledwie widoczne koliste ruchy, raz za razem, raz za razem, raz za razem.

Daisy się dąsa

Piątek był wolnym dniem Marcelli, Holly zeszła więc na dół, do „Torrefazione”, i przyniosła pizzę z *pepperoni* i dodatkowymi oliwkami. Była świeża i gorąca, ale Daisy zjadła tylko jeden kawałek, a potem zaczęła przesuwając widelcem resztę pizzy po talerzu i machać nogami pod stołem.

Holly przez jakiś czas ją obserwowała.

— Dlaczego nie jesz? — spytała w końcu. — Mogłam ci kupić coś innego. Może chcesz *linguine*?

Daisy wzruszyła ramionami. Dalej bawiła się pizzą i machała nogami.

— Nie rozmawiasz ze mną? Tak? Jesteś zła, że wyjeżdżam na weekend?

Następne wzruszenie ramionami. Holly przełknęła ślinę.

— Posłuchaj, od roku nie miałam wolnego dnia... Zaslужuję na chwilę odpoczynku, naprawdę. Nie masz chyba nic przeciwko spędzeniu weekendu z Gillian, co? Jeśli tak, dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

— Nie mam nic przeciwko spędzeniu weekendu z Gillian.

— No to o co chodzi? Powiedz mi... jestem twoją matką.

— O nic.

— O nic? Więc dlaczego zachowujesz się jak baletnica z bolącym tyłkiem?

Daisy popatrzyła na nią spod oka, nic jednak nie powiedziała.

— Jeśli skończyłaś jeść, możesz odejść od stołu. Umyj talerz, odłóż go na miejsce i zacznij się pakować na jutro. Nie bierz żółtej spódnicy z falbankami. Jest dla ciebie za mała i wyglądasz w niej jak żonkil.

Daisy odeszła nadąsana. Holly siedziała przy stole w kuchni i próbowała dokończyć pizzę, straciła jednak apetyt. Odsunęła talerz i naląła sobie jeszcze jeden kieliszek wina.

Nigdy nikomu się do tego nie przyznała, ale czasami głuchota sprawiała, że czuła się tak samotna i wyrzucona poza nawias, że ledwie mogła to wytrzymać. Zaczęła śpiewać pod nosem:

What is your one-o?

Green grow the rushes-o.

One is one and all alone and ever more shall be so.*

Łzy przed snem

Holly spakowała elegancką zieloną torbę, którą Tyrone kupił jej w Columbia Sportswear Company, i poszła sprawdzić, jak radzi sobie Daisy. Mała siedziała na skraju łóżka, części ubrania były porozrzucane po całym łóżku, a w walizce leżały jedynie dwie Barbie i dwie pary majtek.

— Pomogę ci — zaproponowała Holly.

— Sama sobie poradzę.

— Jak chcesz, ale jeśli zamierzasz się pakować sama, to się pakuj. Chcę, żebyś wcześniej położyła się spać.

Przez chwilę czekała, Daisy nie ruszała się jednak z miejsca. W końcu Holly usiadła obok córki.

— Co się dzieje, skarbie? Możesz mi powiedzieć, niezależnie od tego, o co chodzi.

Daisy popatrzyła na nią oczami, w których zaczęły się zbierać łzy.

— Tęsknię za tatą...

Holly objęła małą ramieniem. Jej córka była zawsze tak otwarta i pewna siebie, że czasami Holly zapominała, ile Daisy ma lat i jak łatwo ją zranić.

— Wiem, skarbie. Ja też za nim tęsknię.

— Musisz jechać nad Jezioro Lustrzane? Nie mogłabyś pojechać gdzie indziej?

— Nie chcesz, żebym tamjechała? O to chodzi?

— Nie chcę, żebyś była tam z Nedem.

— Dlaczego? Nawet go nie znasz. Ja też nie.

— Nie podoba mi się już sam dźwięk jego imienia. Ned... to brzmi jak imię konia.

— Prawdopodobnie jest w porządku... Katie uważa, że go polubię.

— W tym problem.

Holly wzięła ze stolika nocnego Daisy chusteczkę higieniczną, otarła nią córce oczy i przytknęła ją do jej nosa.

— Dmuchnij. Już lepiej. Teraz powiedz mi, dlaczego nie chcesz, żebym była tam z Nedem.

— Z powodu wujka Mickeya. Jeśli polubisz Neda, nie będziesz się już spotykać z wujkiem Mickeyem.

— Rozumiem. Lubisz Mickeya, co?

Daisy poczerwieniła i kiwnęła głową.

— Ja też go lubię, ale nie chadzamy na randki ani nic w tym stylu. Pracujemy razem i nic więcej. Uważam, że jesteśmy przyjaciółmi, ale nic więcej między nami nie ma.

— Nie musisz za niego wychodzić.

— Dzięki!

— Chodzi o to, że przypomina mi tatę — wyjaśniła Daisy ze łzami w oczach. — Nie wygląda jak tata, ale kiedy tu jest, kiedy przyszedł na kolację i opowiedział mi tę historię, przypominał mi tatę...

Ku swemu zaskoczeniu Holly stwierdziła, że też ma łzy w oczach. Pogłaskała Daisy po włosach.

— Wiem, co masz na myśli...

Nocny gość

W nocy chmury zasłoniły księżyc i w mieszkaniu było bardzo ciemno. Holly leżała, nie mogąc zasnąć, niemal do wpół do trzeciej nad ranem i patrzyła na odliczające jej życie czerwone cyferki na zegarku przy łóżku. Obiecała Daisy, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby nie polubić Neda, a jeśli nawet go polubi, nadal będzie zapraszać wujka Mickeya na kolację i będzie mógł jej opowiadać historie do snu.

Na rzece zatrąbił żałobnie statek, potem następny — niczym dobierające się w pary wieloryby.

Pamiętała, jak któregoś dnia się obudziła, a David siedział w pomalowanym na biało bujanym fotelu przy oknie i wyglądał przez dwucalową szparę między oknem a parapetem. Sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał.

— David? — odezwała się, a on w tym momencie gwałtownie szarpnął głową w bok — zaciśniętymi powiekami — jakby coś leciało mu prosto w twarz.

Sześć dni później nie żył. Często zastanawiała się, czy miał przeczucie tego, co się z nim stanie.

Cyferki zegarka przy łóżku przeskoczyły na 2.33. Holly odwróciła się do niego plecami i wbiła wzrok w ciemność. Tak właśnie musi wszystko wyglądać, kiedy się jest niewidomym, pomyślała.

Po jakiś czasie uświadomiła sobie, że w ciemności unosi się — tuż nad nią — jeszcze ciemniejsza ciemność. Jej kształt się zmieniał, wyglądała jednak, jakby rozpościerała skrzydła i próbowała utrzymać równowagę.

Im dłużej Holly wpatrywała się w tę czerń, tym bardziej robiła się ciemna — nastroszona jak monstrialny czarny ptak. Rozsądek mówił jej, że w pokoju niczego nie ma — niemożliwe, aby nad jej łóżkiem unosił się gigantyczny kruk — mimo to była pewna, że widzi, jak cień wznosi się i opada, zmieniając kształt, i poczuła przerażenie na myśl, co może jej zrobić.

Ostrożnie wyciągnęła rękę w kierunku nocnej szafki, znalazła prowadzący do lampki przewód i zaczęła szukać włącznika. Czarny cień nad jej głową rozszerzył się na boki, zasłaniając niemal cały sufit.

Kiedy wreszcie znalazła włącznik i miała zapalić światło, cień zaczął na nią spadać — szumiąc skrzydłami i owiewając ją zimnym podmuchem. Krzyknęła i zasłoniła twarz dłońmi, zrzucając przy tym lampę na podłogę.

Wokół panowała cisza. Po chwili Holly otworzyła oczy i powoli zaczęła opuszczać rękę. Zegarek przy łóżku wskazywał 2.57. W pokoju było ciemno, ale czuła, że nic w nim teraz nie ma. Wstała z łóżka i macając dłońmi po ścianie, znalazła włącznik głównego światła. Kiedy się zapaliło, stwierdziła, że pościel jest skłębiona, jakby na łóżku walczone, a czerwona ceramiczna lampa leży na podłodze, rozbita na trzy części. David przywiózł ją jej z San Francisco.

Poszła do łazienki napić się wody i przyjrzała się sobie w lustrze. Zauważyła, że ma ciemne wory pod oczami — jakby była chora albo bardzo zmęczona. Po chwili w łazience zjawiała się Daisy.

— Mamo...? Coś słyszałam.

Holly spróbowała się uśmiechnąć.

— To byłam tylko ja. Miałam zły sen. Ty też czasami je miewasz.

— To nie byłaś ty...

Holly położyła Daisy ręce na ramionach.

— Nie ma tu nikogo poza nami, skarbie. Na pewno.

— To nie było w środku. Było na zewnątrz i stukało w moje okno.

- Skarbie, mieszkamy na drugim piętrze. Nic nie może stukać w twoje okno.
 - Brzmiało to jak ptak.
 - Ptak? Dlaczego ptak?
 - Słyszałam łopot skrzydeł. Stukało dziobem w okno i łopotało skrzydłami.
- Holly nic nie odpowiedziała, pochyliła się tylko i pocałowała Daisy w czubek głowy.
- To był ptak — upierała się mała. — I próbował dostać się do mieszkania.

Jeziro Lustrzane

Dojechali do chaty nad jeziorem tuż przed południem. Woda była tak spokojna, że odbijał się w niej do góry nogami cały świat — z ciemnymi sosnami i plamami czerwonych i żółtych klonowych liści. Chatę pomalowano na rdzawoczerwono, miała szary gontowy dach, a wzdłuż jednego boku biegła weranda. Stała na niewielkim cyplu na południowo-wschodnim brzegu jeziora, na który można było zejść zapadającym się drewnianym pomostem. Przywiązano do niego starą zieloną łódź wiosłową.

Doug wysiadł z voyagera i przeciągnął się. Miał na sobie kurtkę drwala w pomarańczowo-brązową kratę, z dużym wełnianym kołnierzem.

— Aaa! Poczuj zapach tych sosen... Aaa!

Katie założyła obszerny bordowy sweter w łosie i robioną na drutach wełnianą czapkę, którą naciągnęła głęboko na czoło, i wyglądała jak zamożna kloszardka.

— Sądziłam, że Ned już będzie. Ma spory kawałek z Government Camp. Mam nadzieję, że w ogóle przyjedzie...

Holly podeszła do brzegu jeziora. Cała była ubrana na czarno — miała na sobie czarną wiatrówkę z futrzanym kapturem, czarne dżinsy, czarne buty. Choć jej świat był bezgłośny, niemal czuła panującą wokół ciszę. Za jeziorem, nad linią drzew, wznosiły się strome zbocza Mount Hood — oddalone o niewiele ponad trzy mile, tajemnicze i wspaniałe. Z tak niewielkiej odległości — choć biel sprawiała, iż góra była niemal niewidoczna — jej magnetyzm był przemożny. Holly miała wrażenie, że Mount Hood ciągnie ją ku przeznaczeniu mocniej niż kiedykolwiek.

— I co ty na to? — spytał Doug, podchodząc do niej.

— Pięknie tu. Tak spokojnie...

— Powinnaś tutaj przyjechać, kiedy są toki gęsi. Ma się wrażenie, jakby na niebie postawiono zaporę...

— Pomożesz mi z zakupami, Doug? — zawołała Katie.

— Oczywiście! Wzięłaś pikle?

— Pewnie. Kupiłam też te papryki *rocotillo*, które tak lubisz.

Doug przez chwilę milczał, po czym powiedział:

— Tę chatę zbudował mój dziadek. Mawiał, że można tu stać nad jeziorem i rozmawiać z Bogiem.

Zanieśli torby do środka. W domu było chłodno i załatywało stęchlizną, ale gdy Doug zaniósł bagaż do swojego pokoju, zdjął z kominka osłonę i zaczął rozpalać ogień. Katie zaprowadziła Holly do małej sypialni na tyłach domku. Stały tu sosnowe meble, na łóżku leżała własnej roboty narzuta, a okno wychodziło na podwórze, zarośnięte paprociami i rdzawymi krzewami starca.

Na ścianie wisiał mały olejny obraz, przedstawiający stojącą na polu kobietę. Miała na sobie niebieski fartuch i Uśmiechała się niepewnie, jakby nie mogła pojąć, dlaczego wszyscy uważają, że jest na tyle interesująca, by ją malować. Niedaleko niej — na pojedynczym słupku płotu — siedział wielki czarny ptak ze zmierzwionymi piórami.

Holly wróciła do kuchni. Katie właśnie rozpakowywała produkty.

— Pojedziemy na obiad do hotelu „Lyman”... spodoba ci się tam. A wieczorem zrobię moje sławne *chuletas veracruzana*.

Kiedy Holly weszła do salonu, stwierdziła, że Doug rozpalił ogromny ogień. Pomieszczenie

było wysokie, z pięknymi krokwiami, i stały w nich wielkie, wygodne kanapy, obite kwiecistym perkalem. Krokwie obwieszono miedzianymi garnkami i patelniami, a na ścianach wisiały szklane gabloty z wypreparowanymi rybimi łbami — łososi, pstrągów, troci i jesiotrów.

— Mój dziadek był zapalonym wędkarzem — powiedział Doug. — Widzisz tego jesiotra? Ważył ponad dwadzieścia kilo. — W tym momencie rozległo się pukanie i Doug uniósł palec. — To na pewno Ned!

Otworzył frontowe drzwi i Holly ujrzała zaparkowanego obok voyagera Douga brązowego land-cruisera.

— Polubisz go — oświadczyła Katie. — Obiecuję ci.

— Pamiętasz, co powiedziałam? — spytała Holly. — Żadnego swatania, bardzo was proszę.

— Co powiesz na piwo? Wiem, że jest nieco za wcześnie, ale w końcu mamy wolne.

— Jasne.

Wrócił Doug, tuż za nim szedł Ned. No cóż, pomyślała Holly, przynajmniej nie jest małym tłuściochem z włosami szczesanymi na łysinę. Był wysoki, barczysty, miał kędzierzawe rudawe włosy, brązowe oczy i kanciastą, opaloną twarz, która przypominała twarz Roberta Redforda — choć był od niego trzydzieści lat młodszy i znacznie masywniejszy. Był ubrany w granatowy sportowy płaszcz, koszulę w granatową kratkę i dżinsy od Armaniego.

— Holly, to jest Ned Fiedler. Ned — poznaj Holly. Ned skinął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Złożył dłonie w kształt litery Y, następnie rozsunął dłonie, wskazał na Holly i zakreślił sobie koło nad głową.

Holly uśmiechnęła się.

— Przepraszam... czytam z warg, ale nie migam. Ten ma całkiem inną gramatykę, a nie musiałam się go uczyć.

Ned poczerwieniał. Popatrzył bezradnie na Douga.

— I co teraz? — zapytał.

— Mów, to wszystko — powiedziała Holly. — Dopóki będę widziała twoje usta, będę rozumiała, co mówisz. Miło, że spróbowałeś się nauczyć języka migowego. To było bardzo... eleganckie.

— Byłem dobry?

— Chyba udało ci się powiedzieć: „Co słyhać, wielki kapeluszu?”.

Katie przyszła z kuchni z piwem.

— Ned, naprawdę się cieszymy, że mogłeś przyjechać. Od Święta Pracy próbuję przekonać Holly, aby wzięła sobie wolny weekend.

Ned wznosił toast.

— Też się cieszę, że mogłem przyjechać. Za nas wszystkich — i za to, żebyśmy się dobrze bawili!

— Za nas! — odpowiedzieli chórem. — I za to, żebyśmy się dobrze bawili!

Ned poważnieje

Pojechali na obiad do „Lymana” — otoczonego modrzewiami malowniczego hotelu z czerwonej cegły, zbudowanego w 1905 roku. Stał na cyplu, z którego rozpościerał się panoramiczny widok na wąwóz rzeki Columbia, a przez okna staromodnie urządzonego baru widać było migotanie wody, płynącej przez zamglone, ozłoczone słońcem góry. Rzeka była w tym miejscu dość szeroka i we wszystkich kierunkach przecinały ją różnokolorowe żagle desek surfingowych — czerwone, żółte, niebieskie.

— Próbowiałaś kiedyś pływać na desce? — spytał Ned. — Wspaniały sport. Naprawdę wspaniały... a tu jest najlepsze miejsce na całym cholernym świecie do jego uprawiania. Są tutaj silne, stałe wiatry, i równocześnie silny przeciwny prąd.

— Wolę jazdę na rowerze. Mam córeczkę i w weekendy jeździmy zazwyczaj po Forest Parku.

— Córeczkę? Ile ma lat?

— W maju skończyła osiem. Jest świetnym kompanem.

— Powinnaś w któryś weekend przyjechać z nią tutaj. Nauczyłbym ją windsurfingu. Ciebie też, gdybyś zechciała.

— Brzmi podniecająco.

— Możesz mi wierzyć...

Zapadło dłuższe milczenie. Holly pojadała sałatkę z kurczakiem z rusztu i majonezem, a Doug robił bałagan, rozrzucając po całym stole kawałki krewetek.

— Douga wychowały dzikie świnie — wyjaśniła Katie. — Dlatego tak je.

— Hej, po prostu cieszę się jedzeniem! Rozkoszuję się — nie tak jak ty! Lubię mieć z nim bliski kontakt!

— Prząd twojego swetra też ma z nim bliski kontakt.

Wzniesli kolejny toast. Doug beknął i znów zapadło milczenie. Przerwała je Holly:

— No więc, Ned... Pulpa papiernicza...

Obdarował ją czymś, co musiał uważać za ujmujący uśmiech.

— Zgadza się. Pulpa papiernicza. Fascynująca dziedzina. Pulpa... papiernicza.

— Co właściwie robisz?

— Jestem dyrektorem odpowiedzialnym za przerób surowców wtórnych. Oznacza to optymalne wykorzystanie resztkowego włókna i innych odpadów.

— Rozumiem.

Odłożył widelec, na którym tkwił kawałek starannie odciętego kawałka steku.

— Niewielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę, ale jest wiele rodzajów odpadów. Istnieją odpady przedkonsumpcyjne, czyli kawałki surowca, pozostające w trakcie produkcji papieru i opakowań papierowych. Ten rodzaj nazywamy „czystym odpadem”. Są też odpady pokonsumpcyjne, czyli wyroby wykorzystane zgodnie ze swoim przeznaczeniem i nadające się do likwidacji — na przykład SZP.

Holly patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

— Przepraszam... To po prostu stare, zniszczone pudełka.

— Aha.

Ned pochylił się ku niej jeszcze bardziej. Między jego przednimi zębami tkwił kawałeczek steku.

— Wtórny przerób odpadów ma znacznie większe znaczenie od degradacji biologicznej, ponieważ przy aktualnym stanie wysypisk śmieci niewiele rzeczy jest naprawdę degradowalnych. Do moich obowiązków należy wychwytywanie odpadów, zanim dotrą na wysypisko, i jak najlepsze ich wykorzystanie.

— Mówisz o tym, jakbyś wypełniał jakąś misję.

— Bo to jest misja, Holly. Masz rację. W Hood River Forestry Industries uważamy, że naszym obowiązkiem jest chronić i pielęgnować lasy Oregonu — dla naszych dzieci i dzieci naszych dzieci.

— Założę się, że także dla dzieci dzieci naszych dzieci — wtrącił Doug. — I dzieci dzieci dzieci naszych dzieci.

Katie dźgnęła go łokciem.

— Ile wypiełeś piw?

Ned uśmiechał się i patrzył na Holly oczami o barwie karmelu, a ona starała się nie widzieć kawałka mięsa, tkwiącego między jego zębami.

— Powinieneś pozwolić Holly opowiedzieć o tym, jak czyta z warg — oświadczył Doug, kiedy skończyli lody. — Jest w tym tak dobra, że umie określać, z której części stanu ktoś pochodzi.

— To nic wielkiego — powiedziała zażenowana Holly. — To dar, nic więcej.

— Dla mnie nie brzmi to jak „nic wielkiego” — stwierdził Ned. Oparł się wygodnie i założył nogę na nogę. Jego designerskie dzinsy były idealnie wyprasowane. — Możesz powiedzieć, w której części stanu się wychowałem?

Holly zawahała się, ale Doug napierał.

— No, Holly — powiedz mu!

— To chyba nie ma sensu... — mruknęła.

— No... powiedz... powiedz... — naciskał Ned. — Stawiam dwadzieścia dolarów, że się pomylisz.

— Dobrze, zakład stoi — odparła Holly. — Nie wychowałeś się w Oregonie, a przynajmniej twoi rodzice nie pochodzą z tego stanu.

— Czyżby?

— Tak sędzę. Twój akcent wskazuje bardziej na północny wschód Minnesoty albo północny zachód Wisconsin. W promieniu jakichś trzystu mil od Duluth. Mówiąc o cięciu drewna, dwa razy użyłeś słowa „koziół”, a w Oregonie używa się raczej określenia „krzyżak”.

— Mówiłeś jej? — spytał Ned Douga.

Doug uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Na pewno? To niesamowite! Masz naprawdę niezwykły talent! Mój ojciec założył w Babbitt w Minnesocie firmę drzewną i mieszkaliśmy w Minnesocie do mojego siedemnastego roku życia. Potem firmę ojca przejęła Norm Minnesota Timber i dostałem pracę w Hood River. Niesamowite! Skąd wiesz o kozłach i krzyżakach?

— Liznęłam trochę językoznawstwa... poczytałam trochę o lokalnych powiedzeniach i kolokwializmach. Pomaga mi to określić, kto skąd pochodzi i kim jest. No wiesz: jest fizycznym czy raczej umysłowym, pochodzi z miasta czy ze wsi...

— Holly pracuje dla portlandzkiego wydziału policji — powiedział z dumą Doug. — Jest jedyną zaaprobowaną przez sąd specjalistką od czytania z warg i...

— Doug... — przerwała mu Holly. Nie lubiła opowiadać o swojej pracy dla policji. Douga i Katie musiała wtajemniczyć, aby wiedzieli, dlaczego musi zwalniać się z pracy w najdziwniejszych godzinach, ale wolała, by wśród morderców, handlarzy narkotyków i zbrojców nie rozeszło się,

któ zdobył dowody, dzięki którym poszli siedzieć. Doug nie chciał jednak popuścić.

— Wczoraj czytała z warg faceta, który planował morderstwo czyjejś żony. Możesz w to uwierzyć? Siedział w hotelu „Compass” i szykował morderstwo, jakby zamawiał obiad.

— Niesamowite... — mruknął Ned. — Człowiek nie wie, co się wokół dzieje, dopóki nie nauczy się, gdzie ma patrzeć...

— Doug! — powtórzyła Holly, po czym zwróciła się do Neda: — Nie wierz we wszystko, co on mówi, zwłaszcza po pięciu piwach.

— Co ty... jeszcze nie wiesz najlepszego — mówił dalej Doug. — Najlepsze z tego wszystkiego jest to, że gość powiedział, co zamierza zrobić z ciałem kobiety po morderstwie!

— Naprawdę? Co?

— Przestań! — krzyknęła Holly, a Katie szarpnęła Douga za ramię i dodała:

— Doug, to wcale nie jest śmieszne!

— Oczywiście, że jest śmieszne. Dadzą ciało znajomemu, który robi w przemyśle drzewnym. Robi pulpę papierniczą! Zmielą je i przerobią na kartonowe pudełka! Więc kto jest podejrzanym numer jeden?!

Doug klepnął się w udo i ryknął śmiechem. Zaraz jednak zauważył, że nikogo poza nim to nie bawi i jego śmiech przeszedł w atak kaszlu.

— Wybacz, mój drogi — powiedział lodowatym głosem Ned — wiem, że żartowałeś, ale w Hood River z pełną odpowiedzialnością dobieramy surowiec do maszynowego przygotowywania papieru. A to, co określasz mianem „kartonowych pudełek” wcale nie jest kartonem, lecz wyrobem papieru niechlorowanego i elementu falistego, i składa się w stu procentach z pokonsumpcyjnego włókna odzyskiwanego.

Doug uniósł dłonie w geście poddania się.

— Dobrze, przepraszam. Ale kiedy Holly opowiedziała mi o facecie od pulpy, to muszę przyznać, że... już dobrze, przepraszam.

W chacie przebrali się w ciepłe stroje i buty do chodzenia po górach, zamierzając wybrać się do Wodospadu Siedmiu Łuków. Holly była gotowa pierwsza i weszła do salonu równocześnie z Dougiem, który zaczął dokładać do ognia.

— Doug... chcę, żebyś wiedział, że wcale nie złościsz się na siebie...

— Przepraszam, Holly. Niepotrzebnie otworzyłem moją wielką gębę, ale nie zmienia to faktu, że to, co robisz, jest niesamowite. Chciałem tylko, aby Ned wiedział, jak bardzo jesteśmy z siebie dumni.

— Doug, muszę myśleć o swoim bezpieczeństwie. Muszę dbać o Daisy i o siebie samą.

— Wiem, ale Ned... no cóż, znamy go z Katie od wieków.

— Uważasz, że można kiedykolwiek poznać kogoś do końca? Naprawdę poznać? Wydawało mi się, że przed małżeństwem znałam Davida, a bardzo się pomyliłam.

Doug dołożył do kominka kolejne polano.

— Pozwól, że coś ci powiem... Kiedy po raz pierwszy przyszedł do naszego wydziału, niemal stanęło mi serce. Przez wiele miesięcy usychałem z miłości do ciebie — ale w końcu stwierdziłem, że wcale się mną nie interesujesz, a ja nigdy nie zdobędę się na odwagę, by zaprosić cię na randkę. — Popatrzył na nią. W jego oczach tańczyły maleńkie płomyki. — Więc pogodziłem się z losem. Przełknąłem rozczarowanie. Katie jest wspaniałą dziewczyną i bardzo ją lubię, mimo to jednak czasami myślę o tobie i zastanawiam się, jak by to było, gdybyśmy byli razem, i wtedy znów boli mnie serce... zwłaszcza kiedy ogarnia mnie sentymentalny nastrój albo trochę sobie wypiję. Holly

ujęła jego dłoń.

— Przepraszam, że puściłem parę. To wcale nie było śmieszne, prawda?

— Nieważne, Doug. Zostało ci to wybaczone, ale pomyśl sobie, co by było, gdyby akurat Ned był tym gościem od pulpy?

Gorączka

W nocy, nie mogąc spać, Holly stanęła przy oknie, przycisnęła czoło do chłodnej szyby i przez długą chwilę wpatrywała się w Mount Hood. Góra wyglądała dziwnie eterycznie — jakby zrobiono ją ze zmiętej białej bibułki.

Holly była bardzo zmęczona. Po południu wspięli się na szczyt Wodospadu Siedmiu Łuków, skąd widać było siedem osobnych kaskad, spadających w dół zbocza do spienionych jeziorok i stamtąd spływających między drzewami i krzewami dalej w dół, do Jeziora Lustrzanego. Potem — skrajem lasu — zeszli zygzakowatą skalną ścieżką i po przejściu jakichś pięciu mil wrócili do chaty.

Ned cały czas trzymał się blisko Holly, podawał jej rękę za każdym razem, kiedy trzeba było się wspiąć na omszały głaz — a nawet wtedy, gdy nie było takiej potrzeby. Opowiadał o przerzedzaniu lasu, pozyskiwaniu surowca metodami ciągłymi i najlepszych metodach menedżerskich i zanim doszli do chaty, wiedziała tyle o leśnictwie oraz produktach z drewna, że mogłaby napisać o tym książkę — oczywiście na papierze z makulatury.

Po kolacji, na którą Katie podała *chuletas veracruzana*, czyli grube i mocno przyprawiane kotlety wieprzowe, usiedli na dywanie przed kominkiem, zaopatrzyli się w pękate kieliszki „brzoskwiniówki” z fabryczki w Clear Creek i zaczęli sobie opowiadać historie o duchach.

Ned niby przypadkiem objął Holly ramieniem, a kiedy mówił, odwracał do niej twarz i przesadnie poruszał wargami. Z pewnością uważał, że to miły gest, Holly umiała jednak czytać również z warg ludzi jękających się, mrużących albo mówiących tak szybko, że nawet przyjaciele prosili ich o przyhamowanie, i po jakimś czasie zaczęło ją to denerwować.

Katie opowiedziała historyjkę z czasów, kiedy miała pięć lat. Pewnego dnia wyszła na podwórze, gdzie matka rozwiesiła pranie, i na jednym z prześcieradeł zobaczyła przerażoną twarz, przypominającą płaskorzębę. Ale po chwili wiatr uniósł prześcieradło i okazało się, że za prześcieradłem nikogo nie ma.

Doug widział kiedyś przez chwilę swojego zmarłego ojca w sklepie Freda Meyera. Szedł za nim kolejnymi przejściami między regałami i próbował go dogonić, ale ojciec wyszedł ze sklepu i zniknął na zatłoczonym parkingu.

— W jednej chwili go widziałem — mówił — wiedziałem, że to on... miał nawet na głowie swój filcowy kapelusz... a w następnej słońce mnie oślepiło i rozpląnął się.

Holly zamierzała opowiedzieć o tym, że widziała porsche Davida, że kobieta w antykwariacie ją ostrzegła, uprzedził ją jednak Ned.

— Osobiście nigdy nie widziałem ducha. Byłem chyba wychowywany w zbyt racjonalnej atmosferze... ha, ha, ha! Ale wśród mieszkańców Minnesoty krąży historia o cieniu, który nocą napada na ludzi w lesie. Wyskakuje spomiędzy drzew, łapie człowieka za włosy, wciąga go do środka lasu i słuch po kimś takim ginie.

Wzięła do ręki zegarek. Dziesięć po drugiej. Chyba powinna spróbować zasnąć, czuła jednak jakiś irracjonalny niepokój — jakby szykowało się nieszczęście. Popatrzyła na obraz kobiety na polu, niemal oczekując, że czarny ptak wzniesie się ze słupka i pofrunie w namalowane niebo.

Po kilku minutach wróciła do łóżka i podciągnęła kołdrę pod brodę. Żałowała, że tu przyjechała, i najchętniej znalazłaby się natychmiast z powrotem we własnym mieszkaniu — z Daisy i Barbie w pokoju obok. Nie chodziło o to, że nie polubiła Neda, ale nie wydawał się jej

interesujący — ani on, ani przemysł papierniczy — a mimo to ciągle ją absorbował sobą i swoją pracą. Nawet kiedy poszła na werandę, by powdychać zapach sosen, wyszedł za nią, stanął nieprzyjemnie blisko i walnął przemowę w stylu „Reader’s Digest” o magii lasu i o tym, jak to jego serce jednoczy się z naturą. Nawet nie mogła odwrócić się do niego plecami, bo natychmiast stałoby się oczywiste, że nie chce go słuchać.

Kiedy w końcu zasnęła i śniła o najmroczniejszych ostępach leśnych, obudziło ją unoszenie się kołdry za jej plecami. Natychmiast się odwróciła — do jej łóżka wlaził nagi Ned. Miał owłosioną klatkę piersiową i uda. Objął Holly, a jego zeszywniały członek uderzył ją o biodro.

— Wyłaż stąd! — wrzasnęła. — Co ty wyprawiasz?! Wynoś się z mojego łóżka!

Ale on złapał ją za koszulę nocną i próbował jeszcze bardziej do siebie przyciągnąć. Wyszarpnęła mu się, kopnęła go piętami i wyskoczyła z łóżka. Kiedy zapaliła lampkę nocną, usiadł. Uśmiechał się.

— Wynoś się! — Powiedziała to nieco ciszej, bo nie chciała, aby jej głos brzmiał, jakby dolatywał spod wody. — Nie mam pojęcia, skąd ci przyszło do głowy, że jestem tobą zainteresowana, ale uwierz mi: nie jestem.

— Dość trudno mi w to uwierzyć — oświadczył bez śladu zażenowania. — Z tego, jak zachowywałaś się przez cały dzień, zdecydowanie odniosłem wrażenie, że masz ochotę na trochę zabaw dla dorosłych.

— Wyjdź stąd.

— Spokojnie, Holly... nie musisz być niemiła...

— Chcesz, żebym zawołała Douga i kazała mu cię wyrzucić?

— Douga? Wyrzucić mnie? Chyba nie mówisz poważnie.

Holly obeszła łóżko i otworzyła drzwi. Ned zaśmiał się i pokręcił głową, jakby nie wierzył, iż Holly naprawdę chce, by sobie poszedł.

— Wiesz, co Doug mi o tobie mówił? Powiedział, że jesteś naprawdę rozrywkowa.

— Chcesz wiedzieć, jak bardzo? Na tyle, by zaraz wezwać policję i złożyć skargę o próbę gwałtu.

— Przepraszam... sądziłem, że ktoś taki jak ty wykorzysta każdą okazję, by miłe spędzić czas z dobrze wyglądającym facetem...

— Jestem tylko głucha, Ned, nie mam trądu. A teraz już idź.

— Robi się. Twoja strata. — Wstał z łóżka i podszedł do niej. Zalaatywał alkoholem i potem, jakby przed wtargnięciem do jej pokoju dodawał sobie odwagi piwem i onanizmem; jego członek szybko wiądnął. Popatrzył Holly w oczy. — Nie wiedziałem, że głuchota osłabia popęd płciowy. Człowiek uczy się przez całe życie...

Wyszedł z pokoju, a Holly odwróciła się, by nie musieć patrzeć na jego plecy. Zamknęła drzwi i zaryglowała je. Serce waliło jej o żebra jak odbijająca się od muru piłeczka tenisowa. Usiadła w nogach łóżka i złożyła dłonie. Wydawało jej się, że powinna zapłakać, była jednak silniejsza od łez i nie mogła ich w sobie znaleźć.

Holly kłamie

— Przykro mi, że twoja córka zachorowała — powiedział Ned, osłaniając dłonią oczy przed porannym słońcem. — Mam nadzieję, że jej stan szybko się poprawi.

Holly czekała, aż Doug zapakuje jej bagaż do samochodu. Katie objęła ją i pocałowała.

— Przekaż Daisy wyrazy naszej miłości. Na pewno wszystko będzie dobrze.

Holly wsiadła do samochodu i Doug zatrzasnął drzwi. Kiedy jechali do autostrady, słońce migotało między drzewami jak błyskacz.

— Wszystko w porządku? — spytał po kilku milach Doug.

— Oczywiście. Martwię się tylko Daisy.

— To zrozumiałe. Przez to, co się stało w młodości z tobą, musisz się bardzo bać za każdym razem, kiedy dostaje gorączki.

Dojechali do Route 84 i skręcili ku Portland.

— Przykro mi, że zepsułam ci weekend.

— Nie przejmuj się, zdążę wrócić nad jezioro przed dwunastą. Zostanie mi mnóstwo czasu na wędkowanie. — zaproponował jej gumę, ale pokręciła głową. Wsadził sobie listek do ust. — Ned to wspaniały facet, prawda?

Holly skłamała, że tak, oczywiście.

Samotny weekend

Resztę weekendu spędziła samotnie. Czytała, oglądała telewizję, malowała paznokcie, jadła makaron z restauracji na dole.

Od czasu do czasu podchodziła do okna i wyglądała na ulicę. Raz albo dwa wydało jej się, że pod markizą antykwariatu na przeciwległym rogu widzi cień, nie miała jednak pewności, czy to cień, czy człowiek. Kontur raz był wysoki i poszarpany, a po chwili łopotał niczym rozpięty na wietrze płaszcz.

Pod wieczór natknęła się w dziale kulturalnym „The Oregonian” na fragment wiersza W.H. Audena:

*Lodowiec napiera na kredens,
Przez łóżko pustynny dmie wiatr,
Rysa na dnie filiżanki
To ścieżka na tamten świat*.*

Z jakiegoś powodu mocno ją ten fragment wzburzył i straciła ochotę na jakiegokolwiek kulinarne działania.

Pomalowała paznokcie świeżym, perłowym lakierem, nałożyła na twarz jaskrawozieloną maseczkę firmy Lancôme, a na nogi krem do depilacji, który śmierdzał jak spalony dywan. Gdy oglądała w łóżku *Przyjaciół*, z ulicy doleciał krzyk — tak przeraźliwy, jakby kogoś mordowano. Wyskoczyła z łóżka i wyrzała przez okno, zobaczyła jednak tylko cień — wyglądał znacznie bardziej pierzście niż za dnia.

Podejrzanie

Kiedy w poniedziałkowe popołudnie dotarła do domu Heilshornów, ulicę zasnuwał nieprzejrzysty opar. Była to typowa dla Portland lodowata mgła, która zamienia wschodnie przedmieścia miasta w milczące zgromadzenie domów-widm, z przejeżdżającymi ulicami samochodami—widmami i widmowymi dziećmi na chodnikach.

Drzwi do garażu były otwarte, w środku stało kombi. Przed garażem zaparkowano nowego czarnego lincolna limuzynę.

Holly zadzwoniła do drzwi i niemal natychmiast otworzył jej mężczyzna w średnim wieku. Był przeciętnego wzrostu, niemal łysy, miał pulchną twarz i lekkiego zeza, co sprawiało wrażenie, jakby patrzył ponad prawym ramieniem Holly. Miał na sobie białą biurową koszulę, czarne spodnie i skarpety w kratę.

— Pan Heilshorn? — Holly wyjęła legitymację. — Żona przekazała chyba, że byliśmy umówieni.

— Właśnie dlatego zostałem w domu — warknął pan Heilshorn. — Nie mam pretensji o to, co się dzieje, ale chcę pani powiedzieć prosto w twarz, że nasza rodzina nie ma nic do ukrycia.

— Mogę wejść?

Cofnął się i pozwolił jej wejść do holu.

— Pani... obuwie? — Skinął głową w dół. — Nowy dywan. Żona lubi, jeśli rzeczy wyglądają nieskazitelnie.

— Wiem. Mówiła mi o tym.

Zdjęła trzewiki i pan Heilshorn zaprowadził ją do salonu. Pani Heilshorn czekała w fotelu przy kominku — w żółtej satynowej sukni z głębokim dekoltem i żółto-brązowej chuście na ramionach. Obok niej — na podłokietniku fotela — siedziała blada dziewczynka z ostrzyżonymi na pazia kasztanowymi włosami i dużymi brązowymi oczami. Miała na sobie różową bawełnianą bluzę i spraną dżinsową spódnicę.

— Witam ponownie, pani Heilshorn... — zaczęła Holly. — A więc to jest Sarah-Jane.

— Sarah-Jane może potwierdzić, że siniaki są od jazdy na rowerze — oświadczył pan Heilshorn, nie czekając, aż zostanie o to poproszony.

Holly usiadła i położyła notes na kolanach.

— Sarah-Jane, mam na imię Holly i moim zadaniem jest zajmowanie się dziećmi, jeśli dzieje im się jakaś krzywda.

— Sarah-Jane posiniaczyła się na rowerze. Prawda, Sarah-Jane?

— Pani Heilshorn... jestem pewna, że nie mamy do czynienia z żadnym poważnym problemem, ale organa stanowe zleciły mi przeprowadzenie dochodzenia. Na pewno rozumie pani dlaczego.

— Proszę pani — wtrącił pan Heilshorn. — Jesteśmy szanowaną, respektującą prawo rodziną. Płacę podatki, pracuję w agencji handlu nieruchomościami Oregon-Pacific. Moja firma ufundowała dla muzeum sztuki fontannę.

— Panie Heilshorn, zostaliśmy zaalarmowani przez szkołę Sarah-Jane i z pewnością rozumie pan, dlaczego musimy się przyjrzeć tej sprawie.

— Muszę przyznać, że nie rozumiem. Oskarża mnie pani o...

Holly czekała, aż pan Heilshorn dokończy, a on machał ręką, jakby nie mógł wyrazić swej myśli.

— No... twierdzi pani, że... Boże, nie mógłbym nawet tego powiedzieć w obecności Sarah-Jane, nie mówiąc już o tym, aby o tym pomyśleć... Jezu, ona nawet by nie wiedziała, o czym mowa... Holly wzięła długopis.

— Nikt nikogo o nic nie oskarża, panie Heilshorn. Jeśli jednak pan się zgodzi, chciałabym przez kilka minut porozmawiać z Sarah-Jane sam na sam. Na pewno uda nam się wszystko wyjaśnić.

— Boże! To moja dziesięcioletnia córka!

— Wiem, panie Heilshorn. Gdyby mógł nas pan jednak zostawić same na pięć minut...

Pan Heilshorn wsunął ręce do kieszeni i wziął głęboki wdech.

— W porządku — mruknął w końcu. — Dobrze... może pani rozmawiać z nią w cztery oczy, proszę mi jednak wierzyć, że to tylko strata czasu. Mogę z góry powiedzieć, co zezna. Powie, że spadła z roweru, i to wszystko. — Wziął Sarah-Jane za rękę i ścisnął ją tak mocno, że małej aż pobielały kostki. — Dokładnie to powiesz tej pani, prawda, skarbie?

Sarah-Jane popatrzyła na ojca i ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Holly zauważyła dziwny wyraz jej oczu, ale nie było to przerażenie, które zobaczyła w oczach pani Heilshorn, lecz apatia i beznamiętność. Wykorzystywanie seksualne zawsze sprawia, że dzieci stają się beznamiętne.

— Twoja mama mówi, że dużo jeździsz na rowerze.

Sarah-Jane kiwnęła głową.

— Mówi, że jeździsz codziennie i czasem nawet nie wie, gdzie jesteś.

— Zawsze jej mówię. Jeżdżę tylko do Kylie w Tabor Vista. Czasami do Penny, ale ona mieszka daleko, przy 4 Division.

— Rozumiem. Masz kolegów?

Sarah-Jane zaczerwieniła się i pokręciła głową.

— Nie ma żadnego chłopca, którego szczególnie lubisz?

— Brata Kylie, Lenniego, ale to jej brat.

— A Lennie cię lubi?

— Nie wiem. Czasami ze mną rozmawia, to wszystko.

— Ile Lennie ma lat?

— Chyba szesnaście. Nie zachowuje się jednak, jakby tyle miał. Jest dla mnie miły.

— Pocałował cię kiedyś?

Sarah-Jane zaczęła nerwowo chichotać.

— Nie! Nigdy!

— Dotykał cię kiedyś?

— Ee...

— Nie dotknął cię nigdy w sposób, który mógłby spowodować siniaki na twoich udach?

Dziewczynka popatrzyła na Holly.

— Nigdy mnie nie dotknął. Nigdy.

— A czy ktokolwiek inny dotknął cię w sposób, który mógłby spowodować powstanie tych siniaków?

Sarah-Jane ponownie pokręciła głową. Holly czuła, jak bardzo mała jest spięta. Zacisnęła kolana, jakby natychmiast musiała iść do toalety, gryzła paznokcie lewej dłoni i pokasywała nerwowo.

— Twój tata i twoja mama mówią, że siniaki są spowodowane siodełkiem roweru. Mogłabyś mi powiedzieć, jak powstają?

— Chyba zeskakuję za szybko z siodełka, kiedy się zatrzymuję.

— Jak możesz zrobić sobie siniaka w ten sposób?

— Nie wiem. Ale robię je sobie. Ciągłe.

— Mogłabym obejrzeć twoje siniaki?

Sarah–Jane zawahała się, ale po chwili kiwnęła głową i podciągnęła spódnicę. Ukazały się znajdujące się blisko siebie ślady wielkości dużych, ciemnych winogron. Niektóre już żółkły, część była jednak świeża.

— Dziękuję, wystarczy. Kiedy ostatni raz zrobiłaś sobie siniaka?

— Wczoraj... — szepnęła Sarah–Jane.

— Muszę ci powiedzieć, że oglądałam twój rower. Ma duże, miękkie siodełko i trudno uwierzyć, że twoje siniaki to efekt wsiadania na rower i zsiadania z niego. Wiesz, na co mi te siniaki wyglądają?

— Nie.

— Jakby ktoś cię trzymał... ktoś silny. Mogło się coś takiego wydarzyć? Musisz wiedzieć, że jeśli coś takiego naprawdę miało miejsce, nikt nie będzie na ciebie zły. To nie była twoja wina. Jest bardzo ważne, abyśmy się dowiedzieli, skąd wzięły się te siniaki, ponieważ nie chcemy, żebyś znowu je miała. Nawet gdyby miało to oznaczać sfinansowanie przez stan Oregon nowego roweru dla ciebie.

Sarah–Jane spuściła głowę i zaczęła obracać na nadgarstku plastikową bransoletkę. Holly czekała, nie odzywając się. Wskazówki pseudorokokowego zegara na kominku powoli przekroczyły czwartą i choć Holly tego nie słyszała, podejrzewała, że wydzwonił przy tym jakąś melodyjkę.

Wzięła dziewczynkę za rękę.

— Sarah–Jane, wystarczy, że powiesz mi, co się naprawdę stało, i mogę sprawić, że nic takiego więcej się nie wydarzy. Nigdy.

Po policzkach małej zaczęły spływać łzy.

— To było siodełko... — wyjęczała, zakrywając twarz dłońmi i Holly nie mogła namówić jej nawet do tego, by na nią popatrzyła — nie wspominając już o dalszej rozmowie.

Tragedia

— Proszę państwa, muszę stwierdzić, że poważnie podejrzewam, iż Sarah–Jane była wykorzystywana seksualnie. Sądząc po wielkości i odstępach między znakami po palcach, najprawdopodobniej przez osobę dorosłą.

Lewe oko pana Heilshorna płonęło, posyłając błyskawice nad ramieniem Holly.

— Zdaje pani sobie sprawę z tego, co pani mówi?

— W zupełności. To samo podejrzewał szkolny lekarz, a teraz i ja, po obejrzeniu siniaków Sarah–Jane, myślę tak samo.

— Na jakiej pieprzonej podstawie?

— Panie Heilshorn, nie musi pan być napastliwy. Wykonuję jedynie moją pracę, która polega na ochronie dzieci takich jak pana córka przed urazami psychicznymi i fizycznymi.

— O co właściwie próbuje mnie pani oskarżyć?

— O nic pana nie oskarżam. Nie zajmuję się oskarżaniem. Do mnie należy jedynie ocena sytuacji, w jakiej znalazła się Sarah–Jane, a jeśli uznam to za konieczne — zalecenie dalszego dochodzenia. I właśnie tak zamierzam zrobić.

— Ona nigdy nie choruje — wtrąciła pani Heilshorn. — Je tylko bardzo zdrowe rzeczy, tak samo jak ja. Dużo owoców, mnóstwo warzyw.

— Pani Heilshorn, nie rozmawiamy o tym, co Sarah–Jane jada na obiad. Mówimy o tym, że ktoś mógł ją wykorzystywać seksualnie.

— Na podstawie kilku pieprzonych siniaków? Czego one dowodzą? Często się z Sarah–Jane kotłujemy — turlamy się po podwórku, i tak dalej. Czasami noszę ją na barana... i co z tego? Na Boga, jestem jej ojcem!

Pani Heilshorn nie odzywała się, ale zagryzała jasnoczerwone usta i miała przerażoną minę. Holly odłożyła notes.

— Zalecę, abyście państwo przywieźli Sarah–Jane do kliniki, by mógł ją zbadać lekarz policyjny. Jeśli rzeczywiście posiniaczyła się od roweru i turlania po podwórku, badanie to potwierdzi. Możemy teraz ustalić termin.

— Jest dziewicą — powiedział pan Heilshorn. — Mogę to pani zagwarantować, na sto dziesięć procent.

— Jak powiedziałam, niedługo to potwierdzimy.

— Boże, to nie do wiary! Nie mogę uwierzyć, że wchodzi pani ot tak do mojego domu i sugeruje, że... Jezu! Kim wy jesteście? Bandą zбочeńców?

— Przykro mi, panie Heilshorn. Wykonuję tylko moją pracę. Niech pan jutro rano przywiezie Sarah–Jane do kliniki, to zamkniemy sprawę.

— Natychmiast dzwonię do mojego adwokata! Ostrzegam panią! Oskarżę panią o zniesławienie i naruszenie godności osobistej!

— Być może naruszono czyjąś godność osobistą, panie Heilshorn, ale nie sądzę, żeby chodziło tu o pańską godność. Czy mogłabym przed wyjściem zamienić jeszcze kilka słów z Sarah–Jane? Chcę jej powiedzieć, co ją jutro czeka.

— Przyrowadzę ją — burknęła pani Heilshorn i wyszła. Pan Heilshorn milczał, wpatrywał się w Holly i posapywał. Holly zadzwoniła do kliniki i umówiła się na badanie Sarah–Jane.

— Może być za piętnaście dwunasta?

Pan Heilshorn zbył ją machnięciem ręki. Wróciła pani Heilshorn, wyraźnie zdenerwowana.

— Zamknęła się w pokoju i nie odpowiada.

— Wcale nie jestem zaskoczony. Myślisz, że jest głupia? Widzi, co się dzieje. Zarzucać mi, że molestowałem własną córkę... Jezu.

— Jest umówiona na za piętnaście dwunasta — oświadczyła Holly. — Możecie państwo zadbać o to, by przyjechała na czas? Na wizytówce napisałam adres, a z drugiej strony jest numer mojej komórki, gdybyście państwo mnie do czegoś potrzebowali.

Pan Heilshorn capnął wizytówkę.

— Holly Summers... nie powiem, że miło mi było panią poznać. Do widzenia, pani Summers.

— Muszę przed wyjściem zamienić kilka słów z Sarah-Jane.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Wtedy będę musiała wezwać policję, a jestem pewna, że nie chce pan mieć pod domem radiowozu.

— Spróbuję jeszcze raz zapukać — powiedziała pani Heilshorn.

— Boże!

Holly poszła za gospodynią korytarzem, wyłożonym błękitnym dywanem z długim włosiem. Weszły na piętro i pani Heilshorn podeszła na paluszkach do drzwi z ceramiczną plakietką w kwiatki i napisem: PAŁAC SARAH-JANE. Zapukała.

— Sarah-Jane? To znów ja, mama. Mogłabyś otworzyć drzwi? — Nie było odpowiedzi, więc ponownie zastukała. — Sarah-Jane, nie chciałabym musieć na ciebie krzyczeć...

— Może ja spróbuję — zaproponowała Holly i przysunęła się do samych drzwi. — Sarah-Jane, to ja, Holly. Zanim wrócę do pracy, muszę ci powiedzieć coś ważnego. Dzięki temu lepiej zrozumiesz, co się będzie działo jutro. — Przerwała na chwilę, po czym dodała: — Wiem, że to dla ciebie trudne, ale jesteś już duża i myślę, że poradzisz sobie z tą sytuacją. Mogłabyś wyjść? Chciałabym z tobą porozmawiać.

Nie było odpowiedzi. Pani Heilshorn popatrzyła na Holly i wzruszyła ramionami.

— Potrafi być bardzo nadąsana i uparta. Wie pani, jakie są dziewczynki w jej wieku...

— Uważam, że powinniśmy otworzyć drzwi.

— Ale przecież je zamknęła...

— Mimo to uważam, że powinniśmy je otworzyć. Czy mogłaby pani poprosić tu męża?

— Anthony, przyjdź na górę! Pani Summers uważa, że należałoby otworzyć drzwi.

— Jezu...

Holly i pani Heilshorn pukały jeszcze kilka razy, lecz w dalszym ciągu nie było odpowiedzi — i w końcu pan Heilshorn, głośno tupiąc, wlaźł na piętro i osobiście załomotał w drzwi.

— Sarah-Jane! Możesz przestać zachowywać się jak dziecko? Otwieraj te cholerne drzwi!

Cisza.

Heilshorn odwrócił się do Holly.

— Jeśli wyłamię drzwi, miasto mi za nie zapłaci, jasne?

— Panie Heilshorn, proszę je otworzyć.

Złapał rękami za ościeżnicę i energicznie kopnął. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Drzwi pękły wokół zamka i kiedy pan Heilshorn pchnął je barkiem, natychmiast się otworzyły.

Wnętrze Pałacu Sarah-Jane było niemal tak samo nieskazitelne jak Pałac Pani Heilshorn na dole. Łóżko z mosiężnymi zwieńczeniami i różową narzutą. Biała toaletka, na której wisiały koronkowe muślinowe spódniczki i leżał oprawny w srebro komplet do czesania włosów. Sterty pluszowych niedźwiadków, zajęcy z oklapniętymi uszami i zab. Plakaty gwiazd rocka.

— No a gdzie ona? — spytał pan Heilshorn.

— Musi tu być... zamknęła drzwi od środka. Chyba ze wyszła przez okno.

Pan Heilshorn podszedł do okna.

— Niemożliwe... jest zamknięte. — Stęknął i zajrzał pod łóżko. — Tu też jej nie ma... gdzie ona się schowała?

Holly otworzyła drzwi szafy. Na wysoko umieszczonej mosiężnej poprzeczce wisały — dobrane odpowiednio kolorami — płaszcze, sukienki i spodnie, idealnie uprasowane. Teraz jednak wszystko odsunięto na bok, by na poprzeczce można było zrobić pętlę z białego sznura i powiesić się na niej. Sarah–Jane stanęła na domku dla lalek, który odkopnęła w bok. Oczy wyszły jej na wierzch, a usta zsiniały. Przestała wyglądać jak ładna dziewczynka, z którą Holly rozmawiała na dole — przypominała teraz groteskową lalkę z *Ulicy Sezamkowej*.

Pani Heilshorn wydała z siebie przeraźliwy pisk i padła na łóżko, zasłaniając usta dłonią o czerwonych pazurach. Pan Heilshorn natychmiast wskoczył do szafy i objął Sarah–Jane wokół bioder, aby odciążyć szyję.

— Odwiąż ją! — wrzasnął do Holly. — Odwiąż ją!

Pani Heilshorn zeszła na dół — z rozmazanym makijażem i przekrzywioną chustą — i podała Holly kawałek papieru, który wyglądał na kartkę wyrwaną ze szkolnego zeszytu.

— Chyba powinna to zobaczyć policja — powiedziała.

Holly spojrzała na kartkę. Czerwoną kredką napisano na niej:

TO NIE WINA TATY TO MOJA WINA SARAH JANE

Godzina 23.17

Detektyw sierżant Gene Brushmore: Więc co nie jest pana winą?

Anthony Heilshorn: Nie wiem, co moja córka miała na myśli. Może martwiła się o siniaki, o oskarżenie, które wysunięto przeciwko jej ojcu?

Brushmore: Ma pan na myśli podejrzenie, że była wykorzystywana seksualnie?

Roger T. Floren (adwokat): Mój klient stanowczo odpiera tę sugestię i wykażemy, że jest stronicza i niesprawiedliwa... a lekarz ze szkoły imienia Hawthorna oraz pani Holly Summers z wydziału do spraw dzieci, którzy to podejrzenie wysunęli, są pośrednio sprawcami odebrania sobie życia przez Sarah–Jane.

Brushmore: Patolog w trakcie wstępnego badania stwierdził, że nie ma najmniejszej wątpliwości, iż Sarah–Jane była seksualnie... rozumie pan... miała stosunki płciowe. Była molestowana.

Floren: Nawet jeśli jest to prawdą, mój klient zaprzecza, aby to on był winien.

Heilshorn: Kochałem ją. Sądzi pan, że mógłbym...? O, nie... nie mógłbym.

Godzina 3.54 rano

Brushmore (kaszle): Panie Heilshora, detektyw Jane Spectorzy rozmawiała z pana żoną i pańska żona z własnej woli złożyła oświadczenie, że regularnie brał pan Sarah–Jane do łóżka, do swojego — jak pan to określa — „lwiego legowiska”. W celach seksualnych.

Floren: Sierzancie, niech pan da spokój... nie spodziewa się pan chyba, aby mój klient zamierzał odpowiadać na takie zarzuty.

Heilshorn: Sekundę! Nie rozumie pan, skąd się to wzięło, prawda? Po prostu nie rozumie pan tego. Od przyścia Sarah–Jane na świat nasze małżeństwo z Valerie praktycznie nie istniało. Straciła w stu procentach zainteresowanie sprawami cielesnymi. Nie pozwalała mi się dotykać, nie pozwalała mi nawet na siebie spojrzeć! Jest moją żoną, a od dziesięciu lat nie widziałem jej rozebranej! Tylko krótkie mignięcia nagiego ciała, ale co to jest?

Brushmore: Więc umówiliście się, że zamiast z nią, będzie miał pan seks z Sarah–Jane? Żona na to pozwalała, nawet do tego zachęcała — aby nie mieć seksu z panem?

Floren: Mój klient wcale tak nie twierdzi. Anthony — nie musisz odpowiadać więcej na pytania. Jest prawie czwarta rano i jesteśmy... to wywieranie presji na mojego klienta.

Heilshorn: Kochałem ją. Byłem bardzo delikatny. Robiłem, co mogłem, aby jej nie zranić.

Floren: Anthony, nie musisz tego mówić.

Heilshorn (zaczyna płakać): Nie rozumiecie tego? Kochałem ją.

Brushmore: Była pańską córką, panie Heilshorn. Miała tylko dziesięć i pół roku, a pan odbywał z nią regularne stosunki seksualne.

Heilshorn: Była dziewicą. Nigdy tego nie zrobiłem. Przysięgam na Boga, że była jeszcze dziewicą.

Brushmore: Co pan chce przez to powiedzieć? Pańska żona twierdzi, że często znajdowała na pańskim prześcieradle krew i inne plamy. Powiedziała: „Musiałam ściągać prześcieradło i prać je przynajmniej dwa razy w tygodniu... lubię, kiedy wszystko jest w idealnym stanie”.

Floren: Dość tego, sierzancie. Koniec przesłuchania.

Heilshorn: Jakie to ma znaczenie? Ona nie żyje!

Floren: Ma, Anthony. Ale nie musisz się oskarżać. To twoje konstytucyjne prawo.

Heilshorn: Ona nie żyje, jasne? Miałem z nią seks, oczywiście! Bawiłem się z nią. Kochałem się z nią. Nazywaliśmy to zabawą w lwy i tygrysy — nie wiem dlaczego. Wchodziłem w nią, tak, byłem jednak jej ojcem, podchodziłem do tego poważnie i dlatego nie odebrałem jej dziewictwa.

Brushmore: Chce pan powiedzieć, że...

Heilshorn: Tak, pośladki. Nazywaliśmy to jej małą pupiną.

Brushmore: Uprawiał pan analny seks z własną córką przynajmniej dwa razy w tygodniu i próbuje mi pan wmówić, że było to zachowanie typowe dla kochającego i odpowiedzialnego ojca?

Floren (rzuca ołówek): Boże, daj mi siłę...

Heilshorn: Nie rozumiecie tego. Kochałem ją, a ona kochała mnie.

Obejmując Daisy

Kiedy Marcella posprzątała w kuchni i poszła do domu, Holly usiadła z Daisy na kanapie i objęła ją mocno. Daisy doskonale wiedziała, kiedy mama widziała coś okropnego w pracy, bo zawsze ją wtedy czesała i patrzyła na nią tak, jakby nie mogła się napatrzeć. W mieszkaniu było ciepło i pachniało potrawką Marcelli z fasoli, a Holly chyba sześć razy puściła *Czy mówiłam ci ostatnio, że cię kocham?*

Gdy Daisy zasnęła, Holly przyszła do jej pokoju i dalej przyglądała się córce — jakby patrzenie na małą mogło wymazać z pamięci obraz wiszącej w szafie Sarah-Jane.

Nieprzyjemny poranek

Kiedy przyszła do pracy, Doug wezwał ją do siebie. Stał przy oknie z rękami w kieszeniach i gdy weszła, nawet się nie odwrócił.

— Doug...?

— Ukrzyżują nas za sprawę Heilshornów.

— Co miałabym zrobić inaczej? Rozmawialiśmy o tym w piątek. Nic nie wskazywało na to, że konieczne jest natychmiastowe działanie, poza tym nie sądzę, by czas odegrał tu jakąkolwiek rolę.

— Obawiam się, że prasa tak nie uważa. Oglądałaś rano telewizję? Czytałaś gazety?

— Nie miałam czasu. Musiałam wyprawić Daisy do szkoły.

Doug rzucił na biurko egzemplarz „The Oregonian”.

— Proszę bardzo: „Portlandzki wydział do spraw dzieci w stanie paraliżu”. „Zagrozone dzieci złożone w ofierze przez nadmiernie ostrożnych pracowników socjalnych”. „Za mało, za późno”. „Najpierw David Joseph, za tydzień Sarah—Jane Heilshorn”.

— Na Boga, Doug, przecież wiesz, jak trudno stwierdzić, czy doszło do molestowania! Rodzice kręcą, a dzieci są zbyt dezorientowane albo zastraszone, by cokolwiek powiedzieć. Bywa też, że ich kompas moralny ulega zniszczeniu... jak u Sarah—Jane.

— Holly, twoim zadaniem jest przeciwdziałać, zanim coś się wydarzy. Przyznaję, jesteś głucha, ale jeśli chodzi o dobro dzieci, nie mogę iść na żadne ustępstwa.

— Moja głuchota nie ma z tym nic wspólnego. Rozmawialiśmy o sprawie Heilshornów w piątek i zgodziłeś się, że bezpieczniej będzie zaczekać do poniedziałku.

— Byłaś w ich domu, kiedy mała się powiesiła! Byłaś tam! Widziałaś, co napisano w gazecie? „Pracownik socjalny Holly Summers jest głucha jak pień i należy wyrazić jej uznanie, że pokonała tę przeszkodę, pomagając dzieciom w potrzebie, w tym przypadku jednak okazała się nie tylko głucha, ale i ślepa — i niewinna dziewczynka straciła życie”. Mikę Pułaski szaleje.

Holly nie odzywała się. Doug kilka razy zdjął i znowu założył okulary, pomasaował sobie kark i poprzesuwał papiery na biurku.

— Co mam zrobić? — spytała w końcu Holly.

— Nie chcę, żebyś cokolwiek robiła.

— Zamierzałam dziś rano spotkać się z rodziną Pfeifferów, przy Południowo—Wschodniej Tiggets.

— Helen się tym zajmie.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że Helen się tym zajmie. Jesteś zawieszona.

— Zawieszona? Doug, o czym ty mówisz? Nie mogę zostać zawieszona... mam w tym tygodniu wagon spraw, a w przyszłym jeszcze więcej!

Doug popatrzył na nią i wcale nie była pewna, czy to naprawdę on. Bardziej przypominał Douga w szponach Pożeraczy Ciał.

— Przykro mi, taka jest decyzja.

— Co będzie dalej z Danielem Josephem? Kto napisze opinię w sprawie Heilshornów?

— Na pewno nie ty — odparł Doug. — Nie możemy ryzykować. Jeśli sąd uzna wydział winnym tego, co się stało z Danielem Josephem albo z Sarah—Jane Heilshorn, będą nas czekać milionowe odszkodowania.

— Jak długo ma potrwać to zawieszenie, jeśli wolno spytać?

— Nie wiem... ale pewnie przynajmniej do chwili, aż obie sprawy zostaną wyjaśnione.

— Rozumiem. Co mam teraz robić? Iść do domu i układać pasjansa?

Doug wzruszył ramionami.

— Przykro mi. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Moja posada też jest zagrożona.

— W porządku. Masz mój numer. Może porozmawiamy o tym wieczorem, po godzinach, jak przyjaciele?

— Hm... jest jeszcze coś. Tym razem nie dotyczy to pracy.

— Tak?

— Nie wiem, jak to wyrazić, ale w sobotę wieczór, w chacie...

— Tak? Mów dalej.

— Nie byłaś całkiem szczerą, gdy mówiłaś nam, czemu musisz wyjechać, prawda?

Holly wbiła w niego wzrok. Nie bardzo rozumiała, do czego Doug zmierza, a jemu najwyraźniej było trudno powiedzieć to, co zamierzał.

— Ned zdradził nam w tajemnicy, że przyszedł do jego pokoju.

— Słucham...?

— Był bardzo zażenowany. Nie zamierzał o tym wspominać, ale uznał, że powinniśmy o tym wiedzieć — na wypadek, gdybyśmy chcieli cię jeszcze kiedyś zaprosić nad Jezioro Lustrzane... z kimś, kto nie potraktowałby tego tak spokojnie. Holly poczuła, jak jej policzki czerwienieją.

— Spokojnie...? Chcesz wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło?

— Holly, nie zamierzam na ten temat rozmawiać. Mamy już chyba w wydziale dość problemów.

— Zaraz, zaraz — ustalmy coś! Naprawdę ty i Katie uważacie, że próbowałam uwieść tego kolesia?

— Ned jest od lat naszym bliskim przyjacielem. Jest uczciwy jak sędzia.

— A ja nie?

Zanim Doug zdążył cokolwiek odpowiedzieć, na telefonie zamigotała lampka. Podniósł słuchawkę.

— Słucham? Tak, Mikę, powiedziałem jej. Nie jest zachwycona, to oczywiste. Nikt z nas nie jest. O dziesiątej? Dobrze. Naprawdę jest nam bardzo przykro... Wszystkim. Całemu wydziałowi. — Odłożył słuchawkę. — To Mikę Pułaski.

— Domyśliłam się.

— Mamy o dziesiątej spotkanie na temat minimalizacji strat. Zobaczymy, co się da...

— Minimalizacji... strat? Doug skinął głową.

Holly wyjęła legitymację i rzuciła ją na biurko.

— Straty już zostały poniesione, Doug. Nie miałeś jaj, aby wesprzeć mnie w żadnej z obu tych spraw i na dodatek śmiałeś mi w żywe oczy zarzucić, że zachowałam się jak dziwka. Jeśli naprawdę taki jesteś, cieszę się, że zostałam zawieszona. Zwalniam się.

— Holly...

— Co jest?

— Nic. Przepraszam. Nic.

Świętowanie ze Szczupłym Mickeyem

Siedziała w domu przy komputerze i robiła notatki dotyczące spraw Daniela Josepha i Sarah–Jane Heilshorn, kiedy na ekranie pojawiła się poczta hotmailowa.

Spotkamy się o 18 w Barze Hugo? SM

Było już za piętnaście szósta, wyłączyła więc szybko komputer i poszła po płaszcz. Marcella była w kuchni i prasowała bluzki Daisy.

— Wychodzi pani, pani Summers? O której pani wróci?

— Niezbyt późno. Ktoś zaprosił mnie na drinka. Chyba mi się przyda po dzisiejszym dniu.

— Proszę się nie martwić. Zawsze będę się zajmowała Daisy.

Bar „Hugo” znajdował się przy Południowo–Zachodniej Alder, w wąskim budynku z czekoladowej cegły, wepchniętym między butik Esparto a nowiutki bank o marmurowej fasadzie. Mickey czekał w głębi, przy okrągłym dębowym stole, nad którym wisiała lampa od Tiffany’ego. Zielone ściany wokół zawieszono oprawionymi w mahoniowe ramki rycinami statków z kołami łopatkowymi na rufie.

Kiedy Holly weszła, Mickey wstał. Wyglądał na jeszcze bardziej wymizerowanego niż zwykle.

174

— Co ma być?

— Duży kieliszek pinot noir. Bardzo duży.

— Coś się stało?

— Zostałam zawieszona i zwolniłam się.

— Nie wierzę, że się zwolniłaś.

Opowiedziała mu o Sarah–Jane Heilshorn, a on uważnie wysłuchał całej historii, od czasu do czasu kiwając głową. Kiedy skończyła, miała oczy pełne łez. Położył dłoń na jej dłoni.

— Zawsze mówiłem, że Doug Yeats to palant, prawda? Nie mówiłem tak? Założę się, że kiedy był dzieciakiem, codziennie brał do szkoły jabłko dla swojego nauczyciela i polerował je własnymi glutami.

— Jezu, niedobrze mi...

— Nie martw się, mam dla ciebie dobre wieści. Dziś, tuż po drugiej, zatrzymaliśmy przed salonem fryzjerskim Roberta Herrery dwóch ludzi.

— Naprawdę?

— Złapaliśmy ich na gorącym uczynku. Próbowali siłą wepchnąć do stojącego przy krawężniku samochodu panią Gillian Rossabi. Jeden z nich to dobrze znany psychopata z Bendu — Jimmy Novak — a drugi to kolejne tutejsze marnotrawstwo miejsca na Ziemi — Frederick Drendel. Novak miał przy sobie czterdziestkępiątkę, plastikowe kajdanki i nóż sprężynowy.

— To wspaniale! Złapaliście ich! Przynajmniej raz coś poszło dobrze.

— Nie do końca. Aresztowaliśmy pana Johna H. Rossabiego, niezbyt kochającego męża pani Rossabi, niestety kiedy wpadliśmy do Merlina Kraussa, nie było go. Ale złapanie tego faceta to tylko sprawa czasu. Jestem też pewny, że znajdziemy gościa od pulpy.

Holly uniosła kieliszek.

— Gratulacje! Twoje zdrowie!

— Żartujesz sobie ze mnie? Gdyby nie ty, nawet byśmy się nie domyślili, że szykuje się to zabójstwo. Pani Rossabi została by przerobiona na kartonowe pudełka i nikt by się nigdy niczego nie dowiedział.

— Pudełek nie robi się z kartonu. To wyrób z papieru niechlorowanego i elementu falistego i składa się w stu procentach z pokonsumpcyjnego włókna odzyskiwanego.

Mickey zmarszczył czoło.

— Z każdym dniem coraz bardziej upodabniasz się do encyklopedii. Jak nazywa się stolica Wenezueli?

Śmiali się i żartowali, ale nagle Holly zobaczyła w boksie naprzeciwko baru kogoś tak czarnego, że wyglądał nie jak człowiek, a jak cień. Nie widziała twarzy, bo zasłaniała ją lampa. Widziała jedynie bark i ramię, osłonięte peleryną z kapturem. A może nikt tam nie siedział i wszystko było tylko grą światła, padającego na ozdobiony drewnianymi ozdobami kontuar?

Mickey zauważył, że przestała obserwować jego usta.

— Co się stało? Coś nie tak?

— Nie wiem. Tam, w rogu... widzisz tam kogoś?

— W boksie? Nie.

— Nie ma tam nikogo?

Spojrzał jeszcze raz i pokręcił głową.

— Nie, nikogo. Dlaczego pytasz?

— Mam wrażenie, że ktoś za mną chodzi.

Mickey dopił whisky.

— Nigdy nie wpadłaś na to, jak bardzo jesteś warta, by za tobą chodzić? Gdybym miał czas, sam bym to robił.

Trzy ciche dni

Następne trzy dni były tak ciche, jakby czas stanął w miejscu. Holly poszła na zakupy i kupiła sobie na placu Pioneer dwa nowe swetry —jeden rdzawy, drugi granatowy. Kiedy przymierzyła je w domu, rdzawy okazał się tak wielki, że musiała go zwrócić — niestety nie mieli mniejszego w tym kolorze.

Przejrzała papiery i porwała na kawałki wyciągi z banku i listy z ostatnich dziesięciu miesięcy. Zrobiła porządek w szufladach w sypialni, wyrzuciła mnóstwo pozaczynanych tubek z kosmetykami i starych szczoteczek do makijażu, które wyglądały jak zasuszone robaki. Kupiła trzy nowe albumy na fotografie i wysypała na stół w kuchni cztery plastikowe torby zdjęć, by je poukładać chronologicznie.

Problem polegał jednak na tym, że każde zdjęcie, jakie wzięła do ręki, rzucało na nią zaklęcie i do wieczora zapełniła jedynie dwie i pół strony pierwszego albumu. Na jednym David opierał się o swoje nowe porsche i szczyrzył zęby do słońca. Na drugim była ona sama — na cmentarzu, wyraźnie zdenerwowana. Na trzecim jedenastomiesięczna Daisy, tylko w pieluszcze, właśnie zamierzała się przewrócić — było to pierwszego dnia, kiedy zaczęła samodzielnie chodzić.

Po co to wszystko było? — myślała Holly. Po co przeżyłam te lata miłości, kłótni i udręki po śmierci Davida? Aby skończyć bez pracy, sama i niekochana, układając zdjęcia?

Przypomniały jej się słowa George'a Szare Oczy o Kruku: „Kruk to padlinożerca, który odbiera ludziom szczęście. Najpierw zabiera środki do życia, potem dom, następnie tych, których kochamy, na koniec szczęście”.

Pomyślała, że chyba jednak jest przeklęta.

W Ogrodzie Japońskim

W piątek po południu powietrze było ostre, a słońce jaskrawo świeciło, więc Holly pojechała do West Hills, by pospacerować po Ogrodzie Japońskim, który zawsze był jednym z jej ulubionych miejsc wypoczynku — pięć i pół akrów ścieżek, mostków i pojedynczych kamiennych stopni, biegnących między stawami, rabatami irysów i zwirowymi ścieżkami. W dali wznosiła się Mount Hood — góra-widmo.

Prawie nie było ludzi, a jesienne słońce migotało na wierzbach płaczących. Chłodne powietrze wypełniały ziemiste zapachy odchodzącego powoli roku. Holly przeszła obok pięciopiętrowej kamiennej latarni, za którą zaczynał się Ogród Stawu Przechadzek, i przeszła przez Księżycowy Most nad górnym stawem. Kawałek dalej, na Moście Zygzakowatym, stało dwóch pogrążonych w rozmowie Japończyków, a czternasto- lub piętnastoletnia Japonka klęczała na wystającym z wody dolnego stawu kamieniu i poruszała palcami w ciemnozielonej wodzie, próbując przyciągnąć uwagę karpi *koi*.

Holly zeszła omszałymi stopniami na przeciwległy brzeg niższego stawu. Karpie migotały pod wodą niczym ożywione plasterki pomarańczy. Mała Japonka popatrzyła na nią i uśmiechnęła się wstydliwie. Miała na sobie podbitą polarem dzinsową kurtkę i haftowane spodnie, a włosy spięła tak, jak miały je spięte Pokemony. Holly odwzajemniła uśmiech i pomachała jej.

Usiadła na rzeźbionej kamiennej ławce. Potrzebowała godziny refleksji, czasu, by poradzić sobie z doznany urazem i rozczarowaniem. Z drzew spadło kilka zwiniętych liści i zaczęły wirować na wodzie. Po chwili do jednego z nich podpłynął karp i zaczął go obgryzać. Młodszy z Japończyków zdjął biały kapelusz i wychylił się za poręcz, by przyjrzeć się dziewczynce.

— Nie sprawi żadnych kłopotów? — zapytał.

— Na pewno nie — odparł jego towarzysz. — Ojciec wychował ją tak, by była posłuszna.

— Mogę zaoferować dużo pieniędzy, ale będzie to zależało od tego, co zechce zrobić. Mamy nowe studio i profesjonalnego kamerzystę.

Mężczyzna w białym kapeluszu miał około trzydziestu pięciu lat i był ubrany w elegancki granatowy blezer. Drugi Japończyk mógł być starszy o jakieś dziesięć lat i był w zielonej kurtce przeciwdeszczowej. Zdjął okulary i zaczął je czyścić garścią chusteczek higienicznych.

— O jakiej sumie mówimy? Oczywiście w dolarach.

— Dwa tysiące. Więcej, jeśli sprzedaż będzie dobrze szła. Jest ładna i bardzo młoda, a tym razem mamy nadzieję zebrać ponad trzydziestu pięciu mężczyzn.

Starszy Japończyk odwrócił się plecami i Holly nie mogła czytać z warg, dalej jednak widziała, co mówi mężczyzna w kapeluszu.

— *Bukakke* to teraz największy hit. Dziesięciokrotnie przekracza wszystko, co sprzedawaliśmy dotychczas. Widziałem już nawet amerykańskie *bukakke*.

Bukakke. Holly poczuła spływający po plecach dreszcz. Nawet tutaj, w tym spokojnym japońskim ogrodzie, świat był zatruty. Po chwili wahania wstała, obeszła staw i doszła do Mostu Zygzakowatego. Japończycy przestali rozmawiać, jakby czekali, aż przejdzie, ona jednak podeszła prosto do nich. Uśmiechnęła się i pokazała trzymaną w ręku komórkę.

— Przepraszam bardzo, ale może któryś z panów zechce mi pomóc... Wyładowała mi się bateria, a muszę zadzwonić do córki i umówić się z nią.

— O! — zawołał mężczyzna w białym kapeluszu. Sięgnął do kieszeni i wyjął maleńki telefonik z chromowaną kłapką. — Proszę bardzo.

— To bardzo miłe z pańskiej strony. Nie wiem, co bym zrobiła bez pana pomocy.

— Proszę bardzo, żaden problem.

Holly przeszła na drugi koniec mostu i wystukała numer Mickeya. Kiedy odpowiedział, wysłała SMS-a:

ZAPISZ TEN NUMER. HOLLY

??? — odpisał.

XPLN L8R — wyświetliło mu się na ekraniku telefonu.

Holly powiedziała do słuchawki:

— Dobrze, skarbie. Spotkamy się za kwadrans w „Janinę”. Doskonale. — Oddała telefon właścicielowi. — Jeszcze raz dziękuję. Niektórzy uważają, że jestem wobec córki nadopiekuncza, ale w dzisiejszych czasach nigdy zbyt wiele ostrożności, prawda?

— Oczywiście — zgodził się starszy Japończyk.

— To pana córka, tam na dole?

— Bratanica.

— Musi pan być z niej dumny. Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia.

— Jestem — odparł starszy z nich. — Jestem bardzo dumnym wujkiem.

SMS

Na parkingu wysłała do Mickeya kolejnego SMS-a, wyjaśniając, czego się dowiedziała, czytając z ust. Patrzyła, jak dziewczynka, jej wuj i mężczyzna w białym kapeluszu wychodzą z ogrodu, zatrzymują się na chwilę i rozmawiają. Potem mężczyźni podali sobie ręce, skinęli głowami i rozeszli się. Dziewczynka wzięła wujka za rękę i ruszyli. Idąc, bujała jego ręką.

Mickey odpisał, że telefon należy do Studia Filmowego Butterfly, z adresem przy Boren Avenue w Seattle.

Dałem priorytetowo sprawę Detowi Nelsonowi — dodał.

Holly tylko dlatego wiedziała, co to jest *bukakke*, że w listopadzie minionego roku uczestniczyła w śledztwie dotyczącym sprawy wykorzystywania seksualnego, w trakcie której w wypożyczalni wideo w centrum skonfiskowano ponad 60 kaset z filmami *bukakke*. Był to najnowszy hit japońskiej pornografii, w którym grupa mężczyzn ejakulowała na twarz dziewczynki, aż wyglądała jak polukrowana. Czasami kazano ofierze mieć otwarte oczy, kiedy indziej kazano jej pić spermę — całymi szklankami, by zobaczyć, ile utrzyma w żołądku. Za coś takiego dumnemu wujkowi z Mostu Zygzakowatego proponowano dwa tysiące dolarów.

Nie ma Daisy

Holly pojechała do domu. Niebo się zaciągało. Marcella była w kuchni — obtaczała na posypanej mąką desce pulpeciki.

— Dzień dobry, Marcello! — Holly spojrzała na wieszak. — Daisy jeszcze nie ma?

Marcella pokręciła głową.

— Może poszła do koleżanki.

— Nic nie mówiła rano. Mogłabyś do niej zadzwonić?

— Oczywiście. — Marcella strzepnęła mąkę z ręki i wzięła słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu. Wykręciła numer komórki Daisy, zaczęła i po chwili pokręciła głową. — Ma wyłączony telefon.

— Dziwne. Mówiła, że na pewno będzie w domu przed piątą.

— Niech się pani nie martwi, pani Summers. Pewnie po prostu zapomniała, która godzina, to wszystko.

Holly podeszła do okna.

— Nie chcę, by tak późno kręciła się poza domem. Chyba szykuje się straszna burza.

Kiedy wskazówki kuchennego zegara przepełzły poza wpół do siódmej, a Daisy ciągle jeszcze nie było, Holly poprosiła Marcellę, by zadzwoniła do najlepszej przyjaciółki córki — Tracey Hunter. Niebo przybrało barwę łupku, krople deszczu zaczęły dziobać szyby. Matka Tracey oświadczyła, że Daisy wyszła od nich tuż po czwartej i zamierzała iść prosto do domu.

— Zaczynam się poważnie martwić — powiedziała Holly, kiedy Marcella odwiesiła słuchawkę. Hunterowie mieszkali jedynie trzy przecznice dalej, nad biurem podróży Columbia Valley. — Spróbuj zadzwonić do Williamsonów.

Marcella obdzwoniła wszystkie koleżanki, do których mogłaby pójść Daisy, żadna jednak jej nie widziała. Zadzwoniła także do Tyrone'a — na wypadek, gdyby mała dzwoniła do galerii — ale i on nie miał od niej wiadomości.

— Daj znać, jak tylko się znajdzie — poprosił Tyrone.

Holly ubrała się.

— Idę jej poszukać. Zadzwon, jeśli wróci.

— Oczywiście, pani Summers. Niech pani nie zapomni kapelusza. Leje jak z cebra.

Kiedy Holly wyszła na ulicę, woda spływała kaskadami z biało–żółtej markizy restauracji i przelewała się przez kratki ściekowe. Ludzie z parasolkami i trzymanymi nad głową gazetami w pośpiechu szukali schronienia. Holly podniosła kołnierz, wbiła ręce w kieszenie i ruszyła szybkim krokiem w kierunku domu Hunterów.

W połowie drogi, na Trzynastej Ulicy, zobaczyła biegnącą ku niej dziewczynkę, trzymającą nad głową różową kurtkę.

— Daisy! — zawołała z ulgą, nie była to jednak wcale Daisy, lecz mała Chinka, która przebiegła obok nawet nie odwracając głowy.

Przeszła całą drogę do biura turystycznego Columbia Valley, czując, jak deszcz zalewa jej oczy i skapuje z czubka nosa. W oknie wystawowym powieszono kolorowe fotografie, zachęcające do wykupienia wycieczek po rzekach Columbia i Willamette, do Wodospadów Multnomah, na Mount Hood czy do Ogrodu Badania Róż, gdzie rosło mnóstwo gatunków tych kwiatów. Holly rozejrzała się

wokół, ponieważ jednak nigdzie nie było ani śladu Daisy, postanowiła wracać.

Zajrzała do kilku sklepów i restauracji, pytając, czy nie widziano ośmiolatki w różowej kurtce, ale jedyną odpowiedzią było ponure kręcenie głowami. Stała w wejściu do Portlandzkiej Piekarni Rodzinnej i wysłała SMS-a do Mickeya, przekazując, co się stało.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast:

Nie martw się zajmę się tym idź do domu.

Mickey przynosi złe wieści

Usiadła przy stole kuchennym — w płaszczu przeciwdeszczowym — a obok niej Marcella.

— Nie mogę uwierzyć, by gdziekolwiek poszła, nie informując mnie o tym.

— Pani Summers... Daisy to dobre dziecko, ale nawet dobre dzieci robią czasami głupstwa.

— Była ostatnio zdenerwowana, że nie ma ojca. Obawiam się, że wchodzi w wiek, kiedy w życiu dziecka potrzebny jest mężczyzna.

— Hmm... to zależy od tego, czy pani potrzebuje mężczyzny. Była pani dla niej dobra, pani Summers, dobrze ją pani wychowywała.

Holly spróbowała się uśmiechnąć.

— Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Marcello. Chciałabym, żebyś zwracała się do mnie po imieniu.

Marcella pokręciła głową.

— Ile razy mnie pani o to prosiła? I co zawsze odpowiadałam? Pracuję dla pani, szanuję panią. W dzisiejszych czasach nikt nikogo nie szanuje. Mężowie nie szanują żon, dzieci rodziców. Gdzie się nie spojrzy, wszędzie brak szacunku.

Kilka minut po wpół do dziewiątej — Daisy w dalszym ciągu nie było — zapaliła się czerwona lampka nad dzwonkiem do drzwi i Marcella poszła otworzyć. Przyszedł Mickey — wyglądał, jakby przepłynął rzekę Willamette.

— Znalazłeś ją? — zapytała Holly. Mickey popatrzył na Marcellę.

— Musimy porozmawiać w cztery oczy.

— Marcelli można ufać.

— Wiem, ale sprawa jest nieco skomplikowana i będzie lepiej dla Daisy, jeśli nikt oprócz ciebie się o tym nie dowie.

— No cóż... dobrze. Marcello, mogłabyś nas na chwilę zostawić samych?

— Nie ma sprawy. Pójdę na dół, rozmawiam z Leo. Proszę mnie zawołać, jeśli będę potrzebna.

Kiedy Marcella wyszła, Mickey usiadł.

— Jakies dwadzieścia minut temu miałem telefon od naszego informatora, Nicky'ego Moranesa. Powiedział, że Merlin Krauss prosił go o przekazanie wiadomości.

— Merlin Krauss? Wiadomości? Na jaki temat?

Mickey wyjął czystą, choć nieco postrzępioną chustkę do nosa, po czym wytarł nią twarz i kark.

— Wygląda na to, że Krauss odkrył, że czytasz z warg i masz uprawnienia, by złożyć zeznania dotyczące zaplanowanego przez niego zabójstwa pani Rossabi. Nie pytaj mnie, jak się tego dowiedział. — Wziął głęboki wdech, po czym dodał: — Holly, obawiam się, że porwał Daisy i odda ci ją tylko wtedy, gdy obiecasz, że nie będziesz przeciwko niemu zeznawać w sądzie.

Folly usiadła powoli. Czowała, jak jej twarz zmienia się w bladą maskę.

— Porwał ją...? Powiedział, gdzie jest Daisy? Boże... nie skrzywdził jej chyba?

— Twierdzi, że jest cała i zdrowa. Chce spotkać się z tobą na osobności, żebyś mu obiecała, że nie pomożesz go wsadzić.

— Oczywiście! Gdzie on jest?

— Holly, to nie takie proste. Merlin Krauss jest poszukiwany za planowanie zabójstwa pierwszego stopnia — a teraz jeszcze za porwanie. Nie mam upoważnienia, by pozwolić ci na uzyskanie dla niego amnestii. To co innego od wystawiania osoby cywilnej na śmiertelne

niebezpieczeństwo.

— Ale przecież mówimy o życiu Daisy! Nie możesz mnie zmusić, żebym zeznawała przeciwko niemu, a bez mojego zeznania nie masz nic!

— Stawiasz mnie w bardzo trudnej sytuacji...

— W trudnej sytuacji? Trudnej? Sytuacji? Chodzi o moją córkę, Mickey! Jedyne dziecko mojego zmarłego męża!

— Holly, mamy do czynienia z człowiekiem, który organizuje zabójstwa! Kogoś, kto morduje dla zabawy i pieniędzy! Myślisz, że możesz mu zaufać, że puści Daisy — i ciebie? Jeśli się z nim spotkasz, prawdopodobnie załatwi was obie!

— Muszę spróbować, Mickey, a ty musisz mi na to pozwolić. Powiedz, gdzie go mogę znaleźć! Mickey pokręcił głową.

— To niezgodne z wszelkimi procedurami w wypadku porwania.

— Kto jeszcze wie o sprawie? Twój kapitan? Dowódca?

— Jak na razie... tylko ja.

— Więc jeśli nikt o niczym nie wie, nie będziesz musiał ponosić odpowiedzialności, prawda? Wystarczy, że powiesz mi, gdzie Krauss chce się ze mną spotkać.

— Przykro mi, Holly, ale nie mogę. Muszę zgłosić sprawę i zobaczymy, co uda się zrobić zespołowi negocjacyjnemu.

Holly chwyciła go za rękę.

— Błagam cię, Mickey! Pomóż mi! Jeśli Daisy coś się stanie, i tak nie będę miała ochoty dalej żyć.

Mickey patrzył na nią przez długą chwilę. Jego oczy niczego nie wyrażały. Sławny malarz Goya, który nagle ogłuchł, powiedział kiedyś, że daje mu to możliwość widzieć to, co naprawdę istnieje, a nie to, co mu się mówi, że istnieje.

— Dobrze... — odparł w końcu Mickey.

— Gdzie? Powiedz mi, gdzie on jest.

— W domu, znajdującym się niecałe pięć mil na południe od Bonneville, mniej więcej godzinę jazdy doliną.

— Jak go znajdę? Mickey wstał.

— Zawiozę cię tam. Jesteś zbyt wzburzona, by jechać sama. Poza tym, jeśli z tobą pojedę, masz jaką taką szansę, że wrócisz cała.

— Nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

— Zaraz, zaraz... lubię Daisy. Przecież jestem wujkiem Mickeyem.

— Tak, jesteś wujkiem Mickeyem... Popatrzył na zegarek.

— Wyjdę pierwszy. Zaparkowałem za rogiem. Lepiej, żeby nikt nie zauważył, jak wychodzimy razem.

— Co mam powiedzieć Marcelli?

— Powiedz jej... bo ja wiem? — że jedna z koleżanek Daisy domyśla się, gdzie mała może być. Zwolnij ją, niech idzie do domu.

— Mickey... dziękuję.

— Jasne. Oczywiście.

Niespodzianka!

Kiedy jechali Route 84 na wschód, wzdłuż rzeki Columbia, zaczęło grzmieć. Holly nic nie słyszała, ale za każdym błyskiem widziała, jak chmury robią się purpurowe.

Mickey jechał najszybciej jak mógł, deszcz był jednak tak gęsty, że ledwie widać było drogę i gdy z naprzeciwka nadjeżdżał samochód, przednia szyba wypełniała się jaskrawymi drobinami oślepiającego światła.

Z powodu ciemności trudno im było rozmawiać, ale kiedy zbliżali się do zjazdu na Bonneville, Holly dotknęła ramienia Mickeya.

— Co mam mu powiedzieć?

Mickey odwrócił się tak, by widziała jego usta w świetle zegarów tablicy rozdzielczej.

— Nie proponuj nic sama. Spytaj jedynie, czego chce, i powiedz, że się zgadzasz. Nie prowokuj go. Nie trać nerwów. Nie wymieniał żadnych nazwisk.

— Poradzę sobie. Miałam do czynienia z gorszymi ludźmi niż Merlin Krauss.

— Nie sądzę.

Asfaltowa droga zamieniła się w leśną. Drzewa wokół były mroczne jak w ponurej bajce, w której ludzie noszą czarne peleryny i miecze. Aurora Mickeya nie była przystosowana do jazdy terenowej, więc podskakiwali na dziurach i zarzucało ich na zakrętach.

Mount Hood była tak blisko, że aby ją zobaczyć, Holly musiała tylko pochylić głowę i wyrzucić przez okno. Od czasu do czasu zaśnieżony szczyt rozświetlały błyskawice.

— Psy tu dupami szczekają — mruknął Mickey.

Po kolejnych piętnastu minutach skręcili o niemal sto osiemdziesiąt stopni w lewo i znaleźli się przed dużym drewnianym domem z wielkim tarasem, stojącym na kamiennej podmurówce. Przed domem stało osiem, może dziewięć samochodów — luksusowe jeepy i toyoty. Wielkie okna były jasno oświetlone, a kiedy wysiadali, zobaczyli kręcących się w środku ludzi.

— Merlin Krauss tu się ukrywa? To nie kryjówka, ale raczej jakieś przyjęcie.

Mickey nie odpowiedział, ujął Holly za łokieć i poprowadził ją schodkami w górę, na taras. Kiedy dotarli do domu, odsunęły się drzwi tarasu i zza firanek wyszedł młody człowiek z kieliszkiem wina musującego w dłoni. Miał na sobie czarny golf i spodnie i z początku Holly nie skojarzyła, kim jest. Uniósł kieliszek i powiedział:

— Mickey! Udało ci się! Jesteś geniuszem!

Był to młody adwokat, którego lubieżną rozmowę odczytała z warg w kafejce w sądzie — ten, któremu podobały się jej „balony”.

Holly popatrzyła na Mickeya.

— O co chodzi? Co on tu robi?

Adwokat zrobił krok do tyłu i uklonił się, patrząc na Holly zmrużonymi oczami.

— Kenneth T. Mulgrew junior, do usług, ale dziś możesz mi mówić Kennie. Specjalizacja: rozwody i kontrakty małżeńskie, niekoniecznie w tej kolejności.

— Mickey... co tu się dzieje? Gdzie Daisy? Gdzie Krauss?

Spróbowała wyrwać łokieć, ale Mickey mocno ją trzymał.

— Wejdźmy do środka, Holly. Paru ludzi nie może się ciebie doczekać.

— Mickey, puść mnie! Sprawiasz mi ból! Przyciągnął ją blisko siebie.

— Posłuchaj, Holly: nie jest to do końca to, o czym mówiłem, ale jeśli nie będziesz się

odpowiednio zachowywać, Daisy może stać się krzywdą. Jasne?

— Mickey...? — Nagle przestała rozpoznawać jego głos. — Mickey, co tu się dzieje? Powiedz mi!

— Miałaś rację, Holly, to nie kryjówka, ale przyjęcie. A ty będziesz jego główną atrakcją.

Kenneth J. Mulgrew wziął ją za drugą rękę i we dwóch przepchnęli Holly przez drzwi na taras i przez widmowe firanki, jakby była panną młodą, wprowadzaną przez drużbów na własny ślub. Znaleźli się w wielkim salonie z masywnymi skórzanymi kanapami i fotelami, o ścianach obwieszonych landszaftami w grubych ramach. W środku było kilkunastu mężczyzn — Holly wszystkich знаła osobiście albo z widzenia. Kiedy przechodziła przez firanki, unieśli kieliszki.

Holly odwróciła się do Mickeya.

— Gdzie jest Daisy?!

— Powiem ci, nie martw się. Ale później, dobrze?

— Gdzie Daisy?! — zawyła, a „delfinowe” brzmienie jej głosu natychmiast uciszyło obecnych.

Mickey kiwnął głową.

— Jest bezpieczna, Holly, uwierz mi. I tak też pozostanie, musiałem jednak coś wymyślić, aby wyciągnąć cię tu w tę ciemną i deszczową noc, prawda?

Holly wyszarpnęła się i podeszła do grupy mężczyzn. Wszyscy byli w domowych, swobodnych strojach — niektórzy mieli na sobie błyszczące szlafroki w stylu Hugh'a Hefnera. Większość z nich była w średnim wieku, może dwóch było młodszych. Patrzyła na nich i nie wierzyła własnym oczom. Siwy, krótko ostrzyżony Martin A. Brimmer z dołeczkiem w podbródku — naczelnik Rejonu Centralnego. Podobny do Omara Sharifa Gerry Valdez — zastępca prokuratora okręgowego. Pulchny i zawsze opalony Oliver Pearson — starszy partner w jednej z najbardziej szanowanych kancelarii adwokackich Oregonu, Pearson, Greenbaum&Traske. Wysokiej rangi oficerowie policji, urzędnicy sądowi i nawet Randolph Bruckman, czarujący i zawsze chętny do pomocy radca prawny biura gubernatora.

Patrzyła na nich po kolei, ale żaden nie był speszony. Uśmiechali się do niej, unosili kieliszki, a jeden albo dwóch mężczyzn pomachało jej. W powietrzu unosił się ciężki zapach płynu po goleniu — Obsession i Hugo Bossa, podkreślany słodkim smrodkiem marihuany.

— Co jest grane? — spytała w końcu. — Co tu się dzieje? Gerry... Randolph... o co tu chodzi? Co zrobiliście z moją córką?

Z tyłu grupy wyszedł siwy mężczyzna w pikowanym czarnym szlafroku w japońskim stylu, związanym szarfą. Był to sędzia Walter Boynton, który zawsze przypominał Holly Raya Walstona z *Mojego ulubionego Marsjanina*.

— Pani Summers! Jak miło, że mogła pani przybyć! Powiem pani, co tu robimy. Bawimy się. To przyjęcie z niespodzianką.

— Chcę dostać z powrotem moją córkę i jechać do domu. Natychmiast!

— Wezwie pani w tym celu policję?

Holly popatrzyła rozpaczliwie na Mickeya, ale on tylko wzruszył ramionami.

Sędzia Boynton podszedł i chciał ją objąć ramieniem, cofnęła się jednak.

— Niech mnie pan nie dotyka! Proszę odwieźć mnie do Portland i oddać mi córkę!

— Hm... obawiam się, że to niemożliwe.

— Jeśli chce pan, żebym zapomniała, co się stało, przyrzekam, że to zrobię. Proszę mi tylko oddać moją córkę.

— Uczciwie powiem, że nie bardzo mogę. W pewnym sensie spaliliśmy za sobą mosty. Wie pani, kim jesteśmy... widziała pani nasze twarze.

— Czego ode mnie chcecie? Po co to wszystko?

— Niech pani podejdzie, coś pani pokażę — powiedział sędzia.

— Co?

— Proszę podejść. Obiecuję, że pani nie dotknę.

Poszli w kierunku okien w głębi, grupa mężczyzn rozdzieliła się przed nimi. Holly szukała wzrokiem oznak sympatii albo wsparcia, widziała jednak tylko lubieżne uśmiechy.

Sędzia Boynton stanął przy oknie. Widziała w szkle jego i swoje odbicia, ale za oknem widać było coś jeszcze. Za parkingiem kuliły się ciemne krzaki i głązy, nad którymi unosiła się widmowa biała postać, falująca na wietrze.

— Wie pani, co to jest? Rozprysnięta woda, spadająca z wodospadu. Zawsze, kiedy wieje wiatr, przybiera kształt tańczącej kobiety. Indianie uważają, że to duch Akuli, cudotwórczym o tak wielkiej mocy, że mogła odebrać męskość każdemu mężczyźnie, który wszedł jej w drogę. Dlatego miejsce to nazwano Wodospadem Fantomowej Kobiety. Zbudowanie tu domu weekendowego okazało się odpowiednim wyborem, bo razem z moimi przyjaciółmi przez wiele lat obserwowaliśmy, jak kobiety odbierają męskość mężczyznom we wszystkich zawodach — ale przede wszystkim w naszej branży. Urządzane tutaj przyjęcia zaczęły być dla nas, dęciaków z wymiaru sprawiedliwości, okazją, by poczuć się trochę bardziej na luzie. Nazwaliśmy się Ligą Sprawiedliwości... tak jak w komiksie. Zamawialiśmy dziewczynę albo dwie, sporo piliśmy, szliśmy na ryby i pewnego dnia jeden z nas opowiedział, jak bez sensu awansowano pewną kobietę w ministerstwie sprawiedliwości — najwyraźniej tylko dlatego, że była kobietą. Oświadczył wtedy: „Najchętniej przywiózłbym ją tutaj na weekend, aby poczuła na własnej skórze, co to znaczy zostać wydymanym”. Aby nie przeciągać, powiem, że załatwiliśmy to dla niego.

Upił łyk wina i uśmiechnął się.

— Tak się to wszystko zaczęło. Zamiast prostytutek, zaczęliśmy sprowadzać na nasze przyjęcia kobiety, które zbyt wysoko wleciały, i — mówiąc najprościej — uświadamialiśmy im, do czego Bóg stworzył kobiety: do tego, aby służyły mężczyznom, były posłuszne i zawsze, kiedy potrzeba, dawały przyjemność.

Holly wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— Co się z nimi działo potem? — zapytała.

— Co się działo potem...? — Sędzia wydawał się nie rozumieć pytania.

— Dlaczego żadna się nie poskarżyła? Bo chyba tak się nie stało, inaczej wasz proceder dawno by się urwał.

— Ma pani rację. Żadna się nie poskarżyła. Może się więc pani napije, odpreży i spędzimy wieczór na wspólnej rozrywce?

— Wychodzę. Mickey, odwieź mnie do Portland. Jeśli nie chcesz, daj mi kluczyki.

Mickey zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie fotela. Rozpiął mankiety koszuli.

— Holly, przez całe życie kobiety, których pożądałem, odrzucały mnie albo znieważały, albo patrzyły na mnie z góry.

— To znaczy?

— To znaczy, że mam tego dość... tak samo jak moi obecni tu przyjaciele.

Podszedł do niej i stanął tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech.

— Mam na ciebie ochotę — powiedział. — Wiem na pewno, że Kennie też, tak samo Mark, Randolph i inni, więc wszyscy będziemy cię mieć. Możesz nam to ułatwić i uznać, że tak czy siak będzie, co będzie, i mieć z tego nieco przyjemności, ale możesz też nam to utrudnić i wtedy ktoś będzie ci musiał dać ci klapsa, abyś otrzeźwiała.

Holly przełknęła ślinę. Mężczyźni przysunęli się bliżej, ciągle uśmiechnięci. Kiedy się odezwała, miała ściśnięte gardło.

— Jeśli... — zakaszła — ...jeśli wam na to pozwolę, czy przysięgniesz, że nic się nie stanie Daisy?

Sędzia Boynton roześmiał się i uniósł kieliszek.

— To jedna z cech, które naprawdę lubię w kobietach: instynkt macierzyński!

Zemsta Kruka

— Oto arena — oznajmił z dumą sędzia Boynton, prowadząc Holly do sypialni. Na środku stało wielkie łoże z rzeźbionymi w sośnie kolumnami i zagłówkiem, z grubymi pomarańczowozłotymi brokatowymi draperiami i taką samą kapą. Podłogę wyłożono kremowym dywanem z długim włosiem, a na ścianach wisały olejne obrazy o erotycznej treści, które można by opatrzyć wspólnym tytułem *Nagości świata*.

Mickey wprowadził Holly do pokoju. Idący tuż obok Martin A. Rimmer powiedział:

— Zapomnij o swoich zahamowaniach, Holly. To szczególne miejsce. Prywatne. Nikt się nie dowie, co tutaj się działo.

— Co tu mają do rzeczy zahamowania? — odparła Holly. — To zwykły zbiorowy gwałt, dokonany przez bandę starców, zbyt starych i paskudnych, aby jakakolwiek kobieta chciała się z nimi przespać.

— Holly... — syknął ostrzegawczo Mickey. — Myśl o Daisy, dobrze?

— O, przepraszam, wujku Mickeyu. I pomyśleć, że pozwoliłam ci usiąść na łóżku mojej córki i opowiedzieć jej bajkę do poduszki...

— To była opowieść o kimś, kto zrobił komuś przysługę i został za to nagrodzony.

— Nie — o mężczyznach, którzy dostają to, czego chcą, za pomocą oszustwa, a jeśli nie mogą czegoś dostać za pomocą oszustwa, biorą to sobie siłą.

— Daj spokój, Holly — wtrącił Randolph Bruckman. — Przecież wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

— Jak możesz uważać się za mojego przyjaciela?

Randolph uśmiechnął się do niej.

— Jeśli mam powiedzieć prawdę, zawsze chciałem cię zaprosić na kolację. Ale nigdy nie miałem odwagi.

— Oszczędzisz sobie teraz wydatku.

W tym momencie inicjatywę przejął sędzia Boynton.

— Panowie — zaczynajmy!

Mickey i Martin złapali Holly za ramiona, a ktoś inny zarzucił jej na usta szal, mocno go zacisnął, by nie mogła krzyczeć, i zawiązał z tyłu głowy supeł. Próbowwała kopać i walczyć, ale mężczyźni byli zbyt silni. Drugim szalem zawiązano jej oczy. Nic nie widziała ani nie słyszała i zaczęło w niej wzbierać przerażenie.

Uniesiono jej ręce i siłą ściągnięto sweter. Drżące ręce rozpięły biustonosz. Rzuciła biodrami, ale dwóch mężczyzn rozpięło i ściągnęło jej spodnie, a potem zerwano z niej majtki.

Nic nie widząc, nie wiedziała, co jej oprawcy mówią — milczą, śmieją się czy pokrzykują z podniecenia. Z powodu nagości czuła się bezbronna, jeszcze bardziej przerażała ją jednak to, że nie miała pojęcia, co się za chwilę z nią stanie.

Przeniesiono ją na łóżko. Czterech albo pięciu mężczyzn położyło ją na plecach, rozłożyło na bok jej ramiona i szeroko rozchyliło nogi. Po chwili poczuła, że jej nadgarstki i kostki oplatają cienkie nylonowe linki, które uczyniły ją kompletnie bezradną.

Nastąpiła chwila przerwy i mogła jedynie zgadywać, co się dzieje. Próbowwała się uspokoić, oddychając głęboko i spokojnie, tak jak uczył ją instruktor jogi, ale z zakneblowanymi ustami było to bardzo trudne, bo musiała co chwila przetykać ślinę.

Zastanawiała się, co zamierzają zrobić z nią ci mężczyźni. Nie myślała o gwałcie, o wykorzystaniu seksualnym, ale o tym, co zrobią z nią potem. Sędzia, komendant policji, kilku szanowanych adwokatów, porucznik policji, oficjel sądowy...

Jak mogli pozwolić jej po tym wszystkim przeżyć?

Sędzia Boynton powiedział, że żadna z dotychczasowych ofiar się nie poskarżyła, a powód mógł być tylko jeden... Przypomniały jej się Sarah Hargitay, Jennie McLellan, Kay Padowska i Helena Carlsson. Wszystkie były niezależnymi, silnymi i atrakcyjnymi kobietami i wszystkie zniknęły bez śladu. Znalezione jedynie but Sarah Hargitay — kilka mil od tego miejsca.

O Boże, a Daisy?! Niech robią ze mną, co chcą, ale niech mnie nie zabijają... Co się stanie z Daisy, jeśli mnie zabiją?

Poczuła, jak jej policzków dotyka coś miękkiego i ciężkiego. Spróbowała odwrócić głowę, ale coś dotknęło drugiego policzka — coś twardszego. Po chwili dotknęło jej barku. Poczuła, że ktoś wspina się na łóżko, a potem ktoś jeszcze i ktoś jeszcze. Wszyscy jej dręczyciele byli nadzy, owłosieni i aby się podniecić, pocierali członkami jej ciało — nawet podeszwy jej stóp.

Nie wiedziała, jak długo trwa ta katorga — może minęło dopiero kilka minut — ale napawało ją to takim obrzydzeniem, że cała się trzęsła. Potem zaczęły ją obmacywać palce, szarpały jej sutki i wsuwały się w jej wnętrze — po trzy, cztery palce naraz. Miała wrażenie, że przepaska na oczach, knebel w ustach i głuchota zredukowały ją do roli żywego przedmiotu, którego można używać, jak się chce.

Znów nastąpiła chwila przerwy, po czym na łóżko wspiął się ktoś gruby i ukląkł między jej nogami. Czowała odór wina, płynu po goleniu i czosnku. Otworzył ją palcami i poczuła w kroku dotyk napęczniałego penisa.

Boże...

Coś musiało się stać, bo grubas gwałtownie odskoczył, jakby znalazł w łóżku węża. Kilku innych mężczyzn zaczęło się niespokojnie poruszać — trzech albo czterech zderzyło się z bokiem łóżka. Holly nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, co się dzieje, ale w ciągu kilku sekund wszyscy stracili zainteresowanie orgią.

Zdawało jej się, że przez przepaskę na oczach widzi jakieś mignięcia i nagle jej nozdrza wypełnił kwaśny, dymny zapach. Chyba nie zapalił się dom i nie uciekną, zostawiając ją związaną! Zaczęła wściekle rzucać się na boki, tak mocno jednak zawiązali linki, że nie dało się ich poluzować.

Poczuła na czubku głowy dłoń — jej dotyk był delikatny, choć pewny, jakby ktoś chciał przekazać Holly, by zachowała spokój. Potem uniesiono jej głowę z poduszki i zdjęto przepaskę z oczu.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że w domu jest całkowicie ciemno. Coś stało nad łóżkiem, coś wielkiego i ciemnego. Patrzyła na to — ciągle zakneblowana — w straszliwym przerażeniu. Było to coś znacznie gorszego od Ligi Sprawiedliwości. To, co człowiekowi zabiera szczęście. Inkarnacja nieszczęścia i pecha, która wreszcie ją dogoniła.

Błyskawica za oknem rozświetliła Mount Hood i Holly ujrzała czarne, błyszczące pióra i ślepie, które migotały w ciemności niczym żuki.

W drzwiach pojawił się następny czarny kontur, potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Znów błysnęło. Powinna była wiedzieć, że góra ściągnie ją w końcu w otchłań śmierci.

Rozwiązano jej knebel i jeden z cieni podszedł do nóg łóżka. Błysnęło ostrze noża — uwolniono jej kostki i zaraz po tym nadgarstki. Wielka postać uniosła Holly z łóżka i owinęła ją

narzutą.

Po sekundzie zapaliło się światło i Holly stwierdziła, że siedzi obok George'a Szare Oczy. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, a błyszczące czarne pióra okazały się jego szeszanymi do tyłu, nasmarowanymi tłuszczem włosami. W nogach łóżka stał Indianin, którego nie знаła, i składał scyzoryk. Miał dwadzieścia parę lat i szeroką przystojną twarz, a flanelowa koszula nie ukrywała jego budowy kulturysty. Po chwili zjawił się trzeci Indianin — drobniejszy i chudszy od tamtych, w okularach, z torbą na narzędzia przy pasie.

George Szare Oczy wziął Holly za rękę.

— Wszystko w porządku? Tu masz swoje ubranie. Dlaczego się nie ubierasz?

Pokręciła głową.

— Muszę znaleźć Daisy.

— Daisy nic się nie stało. Ktoś ją porwał, kiedy wracała do domu, i jeździł z nią samochodem przez parę godzin, a potem wysadził ją niedaleko waszego domu.

— Jak mnie znalazłeś? Skąd wiedziałeś, co chcą mi zrobić?

— Ciii... — mruknął uspokajająco George. — Wyjaśnię ci to później. Teraz zostawię cię na kilka minut, abyś się ubrała, i musimy iść.

— Myślałam, że jesteś Krukiem. Naprawdę.

Kiedy Holly się ubrała, wróciła do salonu. Wszędzie była krew — rozprysnięta po ścianach i meblach. Sędzia Boynton leżał twarzą do dołu na jednej z kanap, biały i chudy jak Obcy z Roswell, jego plecy były prawie całe wyrwane przez pocisk. Randolph Bruckman zwinął się w kącie — z wielką dziurą w owłosionym brzuchu. Trzech kolejnych mężczyzn upadło w otwartych drzwiach do kuchni — nagich i martwych — tworząc dziwną plątaninę rąk i nóg.

Szczupły Mickey dotarł prawie do drzwi na taras — leżał na brzuchu, jego stalowoszare oczy były szeroko otwarte, jakby robił inspekcję dywanu. Spod jego klatki piersiowej wypełzała strużka krwi.

Holly ze zdziwieniem zauważyła, że ręce Mickeya są usiane dziesiątkami małych okrągłych blizn — białych i pomarszczonych — a jego plecy przecinają poblądłe skośne pasma. Widywała takie znaki wielokrotnie — choć świeższe — na ramionach i plecach dzieci, którym rodzice gasili na skórze papierosy i bili je pasami i laskami.

Nie wiedziała, czy ma czuć złość, czy żal.

— A co z pozostałymi? — spytała w końcu.

— Uciekli do lasu z gołymi tyłkami — odparł z uśmiechem Indianin we flanelowej koszuli.

— Co teraz zrobicie? George... Boże, pozabijaliście ich! Nie wezwiesz policji?

— Ci ludzie są policją i sądownictwem. Co by się wtedy według ciebie stało?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ale jeśli to możliwe, chciałabym teraz iść do domu.

George objął Holly ramieniem i uścisnął ją.

— Bez dwóch zdań, otworzyłaś puszkę z robakami, ktoś jednak zamknie pokrywę.

Wyszli z domu i zeszli schodami. Gran cherokee czekał przed wejściem i George pomógł Holly zająć miejsce pasażera. Odwróciła się i popatrzyła na dom i w tym momencie jaskrawa błyskawica rozświetliła Mount Hood, jakby to była scenografia melodramatu.

Zabobon

George przyszedł do niej dwa dni później. Marcella zrobiła pieczonego kurczaka w czerwonym occie i otworzyli butelkę *barolo*.

— Co mówi policja? — zapytała Holly, odrywając kawałek chleba, by umoczyć go w sosie.

— Że działałem w samoobronie i nie zostanie wysunięte oskarżenie.

— Naprawdę?

— Aha.

— Powiedzieli, że to samoobrona, choć zastrześliłeś sędziego i trzech innych ludzi w jego domu, a wszyscy byli nadzy i nieuzbrojeni?

— Prawdę mówiąc, ktoś strzelił do nas pierwszy. Podejrzewam, że Mickey. Wiesz, co mawiał mój ojciec? Prawo to jedynie punkt widzenia.

— Słyszałeś coś o pozostałych?

— Nie byłbym zaskoczony, gdyby ciągle jeszcze biegali w garniturach z dnia narodzin po parku Mount Hood, żywiąc się orzechami i jagodami.

— Biegać w garniturze z dnia narodzin to niezbyt eleganckie — zauważyła Daisy.

— Zgadza się — przyznał George — ale niektórzy ludzie nie mają wstydu.

— Ciągle nie rozumiem, jak mnie znalazłeś, jak mnie uratowałeś.

George przygładził włosy.

— Ten kurczak jest naprawdę smaczny. Twoja Marcella musi mi dać przepis.

— George... powiedz mi.

— Trochę mi niezręcznie o tym mówić, bo pewnie zabrzmiałoby to, jakbym był zabobonny. Ale nie znalazłbym cię, gdybym nie wierzył w Kruka. Uwierzyłem też w przekleństwo, które rzucił na ciebie Elliot Joseph. Kiedy to zrobił, zacząłem cię sprawdzać, nawet śledzić... aby upewnić się, że Kruk cię nie ściga.

— Naprawdę sądziłeś, że po mnie przyjdzie?

— Chyba tak... Kiedy cię śledziłem, zauważyłem, że jeszcze inni ludzie cię śledzą i sprawdzają, co robisz. Najpierw pytał mnie o ciebie ten adwokat, a potem się dowiedziałem, że rozmawiał o tobie z kumplami — a ze sposobu, w jaki mówił o tobie, wywnioskowałem, że szykuje się coś dziwnego. Nie powiedziałem ci o tym, bo nie miałem dowodów, a ty i tak byłaś dostatecznie zdenerwowana i myślałaś, że każdy ciemny cień to dowód, że Kruk się zbliża.

— Kruk pukał do mojego okna — oświadczyła Daisy.

— Jeśli tak, to próbował cię jedynie ostrzec. Kruk przynosi nieszczęście tylko tym, którzy są przeklęci, ale dzieciom nie zagraża.

— Więc co się stało w piątek wieczór? — spytała Holly.

— Piłem po pracy drinka z Johnem Śpiewającą Skałą i jego bratem Henrym, w barze „Pioneer”. Mieliśmy ciężki dzień i potrzebowaliśmy relaksu. Zobaczyłem w barze tego młodego prawnika — razem z jego dwoma kumplami. Był naprawdę podniecony. Powiedział, że Mickey Kavanagh ma cię zabrać z domu i zawieźć do Wodospadu Fantomowej Kobiety i wszyscy... — popatrzył na Daisy — ...i będzie juhhuuu.

— Mamo, co to jest juhhuuu? — spytała Daisy.

— Zabawa, coś w rodzaju przyjęcia.

— A co to jest poduszka juppii?

— Też coś do zabawy. Taka poduszka, która pruka, kiedy się na niej siada.

— Możesz mi taką kupić?

— Nie potrzebujesz nic takiego — stwierdziła Holly i znów odwróciła się do George'a. —

Śledziłeś nas? Mnie i Mickeya?

George skinął głową.

— W tej burzy nie było to łatwe. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, zajrzeliśmy przez okna i zobaczyliśmy, co się dzieje, więc Henry poszedł do piwnicy i wyłączył generator.

— Uratowałeś mi życie, George. Wiesz, co dla mnie zrobiłeś?

— Chyba nie trzeba do tego aż tak wielkiej wyobraźni.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Dzięki Bogu też jesteś głuchy, inaczej nie wiedziałbyś, co mówią ludzie w barze „Pionier”...

Holly położyła Daisy do łóżka i resztę wieczoru spędzili na rozmowie przy świecach. Opowiedziała George'owi, w jaki sposób Mickey zwabił ją do Wodospadu Fantomowej Kobiety — mówiąc, że chce z nią rozmawiać Merlin Krauss.

— Nie widziałaś w wiadomościach? — zdziwił się George. — Patrol drogowy aresztował Kraussa tuż za Klamath Falls. Chyba wczoraj rano, za jazdę z nadmierną prędkością. Policja twierdzi, że jest bliska określenia tożsamości człowieka, który miał usunąć ciało tej kobiety. Wygląda na to, że w końcu będziesz miała w sądzie swój dzień chwały.

Rozmawiali też o przypadku Josephów. Mały Daniel wracał do zdrowia, choć nigdy nie odzyska wzroku w lewym oku. George nie słyszał nic nowego w sprawie Heilshornów — poza tym, że drugiego dnia pobytu w Zakładzie Penitencjarnym Hrabstwa North Anthony Heilshorn w tajemniczy sposób złamał sobie obie nogi.

Prezent od Neda

Kiedy George otwierał kolejną butelkę wina, zapaliła się czerwona lampka nad dzwonkiem do drzwi.

— Jakiś późny gość — powiedział. — Mam otworzyć?

— Nie, ja otworzę — odparła Holly. — Nalewaj wino. To pewnie Marcella... któregoś dnia zapomni o własnej głowie.

Zeszła na dół i otworzyła frontowe drzwi. Na zewnątrz stał mężczyzna w brązowym płaszczu. Trzymał ogromny bukiet żółtych róż.

— Holly Summers?

— Tak, to ja.

— Prezent od Neda — powiedział mężczyzna, uniósł w górę róże i strzelił jej z najbliższej odległości prosto w twarz, rozpryskując wokół deszcz żółtych płatków.

GRAHAM MASTERTON, popularny pisarz angielski, urodził się w 1946 roku w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach — m.in. *Mayfair* i angielskim oddziale *Penthouse'a*. Jest autorem licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów, poradników seksuologicznych.

Swój pierwszy utwór z gatunku horroru zatytułowany „Manitou” wydał na początku lat siedemdziesiątych. Łącznie napisał ponad 30 powieści o łącznym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy; ponad dwa miliony książek mistrza horroru kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce ugruntował cykl poradników seksuologicznych — przede wszystkim „Magia seksu” i „Potęga seksu”. „Tengu” i „Kostnica” otrzymały wyróżnienia literackie w USA i Europie, zaś „Manitou” została zekranizowana. Najnowsze bestsellery pisarza to powieści grozy „Bonnie Winter” (2001) (w USA przygotowywana jest wersja filmowa książki), „Anioł Jessiki” (2002) i „Koszmar” (2002). Wkrótce ukaze się *Holy Terror* („Święty terror”). Praca nad kolejną książką *The Devil in Grey* („Diabeł w szarym garniturze”) dobiega końca.

Graham Masterton mieszka w Cork w Irlandii.

* Kto jest twoim jedynym?/Zielone rośnie sitowie /Jeden to jeden i całkiem sam i jeszcze bardziej tak będzie (przyp. tłum.)

* *Z Gdy szedłem raz wieczorem*, przełożył St Barańczak